

Marek Koszur

TVSiódemka

internetowy miesięcznik
niesformatowany

05/2025 (005) Maj 2025

Szczecin i Żmść (& Mars)

ISBN: 978-83-974443-4-8

cena: 25,00

Mówisz do mnie
Mówisz do mnie
— moja —
a ja jestem niczyja —
jak wiosna,
co skowronkom i przebiśnięgom sprzyja,
jak gwiazda,
która wieczorem we mgle gęstej mokie,
i jak smutny cień brzozy
porzucony na oknie.
Znajdziesz moje odbicie
we wszystkich wodach świata,
lecz gdy zanurzysz dłoń,
ażeby je schwycić,
przecieknie ci przez palce
poświata księżyc.

Helena Raszka

Koncert na moście

jak bezkarność tańczy
z nieodpowiedzialnością

Trzask prask i...

prezydent wyporkował
marszałka

Kinder des Krieges

Niemieckie dzieci znają
tylko... koniec wojny

Wszyscy już... umarliśmy

Recenzja - z tamtej
strony teatru

Każda wojna jest... atomowa

Ta, między nami

Maszynka do... mielenia historii

Niepublikowane zapiski
Marii Kureckiej-
Wirpszowej

Szczecińskie bramy donikąd

Kontynuacja raportu
o obnażaniu miasta

Płot

którego nie ma
tam, gdzie jest

List trzeci

tekst i fotografie - Małgorzata Wrzosek

Właściwie to ja Pana... nie znam.
Więc dlaczego miałabym opowiadać Panu o sobie.

Przedstawiłam się. Jestem W – R.

Tak, dostrzegłam, że wystrzył Pan wzrok, aby zobaczyć, co jest między tymi inicjałami. Niepotrzebnie. Bo widział, kiedy kto, co jest w... wietrze?

Zdradzę Panu... Ja tam jestem.

Gdybym pisała pamiętnik, musiałabym zanotować takie zdanie: niektórzy rozmawiają z Bogiem, ja rozmawiam z wiatrem. Jest moim sprzymierzeńcem, przewodnikiem, ratownikiem. To przestrzeń, wolność, zapachy, ale też ból, bezsilność i upór. Gwałtowny i demoniczny, jak mój ukochany koncert d-moll na klawesyn i orkiestrę BWV 1052, cz. 1.

Wiatr... Srogi nauczyciel pokory i twardego charakteru.

Nigdzie nie znalazłam perfum o zapachu wiatru. Mówią, że są zbyt ulotne, nietrwale – nawet bardziej niż chwila. Kto kupiłby by takie?

Muszą mi wystarczyć te, które przywożę z wyprawy. W ostatnich sekundach każdej z nich wdycham głęboko ich moc. Wtedy uśmiech pojawia się na twarzy.

On, wiatr jest moim przyjacielem. Wsluchuję się w jego szum, łapię echa słów. Zawsze ma dla mnie nowe historie. Pokazuje zaskakujące możliwości. A ja, u jego boku, czuję się częścią nieustannego tańca życia, tańca, który oby nigdy się nie skończył!

Ps. Wiatr, nieuchwytny, zuchwały w swojej swobodzie, nie pozuje do pamiątkowych zdjęć.

Jednak zdołałam uchwycić w kadrze chwilę, gdy swoim podmuchem rozpraszał siwe, przędne nici splątanych traw.



Dokąd? A może... donikąd...?



Czwarty numer miesięcznika TVSiódemka wzbudził Państwa zainteresowanie i... gwałtowne reakcje. Ktoś, komentując okładkę napisał – tani chwyt. Inny: nareszcie ktoś uświadomił nam, w jakim szambie mieszkamy.

Dla dziennikarza nie ma nic gorszego, jeśli jego refleksja zbywana jest milczeniem. Ale też nagannym jest wywoływanie reakcji, które nie pozostawiają po sobie śladu. W tym przypadku, niestety, nic nie osiągnęliśmy. Za późno. Jako społeczność miejska - **utraciliśmy instynkt odpowiedzialności za dobro wspólne.** Jeden z korespondentów napisał krótko: „a z butów ciągle słoma nam wystaje”.

Choćbyśmy nie wiem jak piękne kwiatowe klomby zakładali i lamki kolorowe wieszali, a budynek Filharmonii podświetlali bengalskimi refleksami, to w ten sposób nie zmienimy faktu szczurzego charakteru setek klatek schodowych, piwnic, podwórek, strychów w samym centrum naszego miasta.

Nie dalej jak kilkadziesiąt lat temu, przed wojną, te wszystkie miejsca swoim szykiem nie ustępowały najbardziej reprezentacyjnym wnętrzom w Stettinie. Oczywiście, Stettin miał także slumsy. I choć śladu takich miejsc nie znalazłem, to natrafiłem na opisy domów biednych, wręcz nędznych, ale o brudzie czy nieobyčajności słowa tam nie było. Żaden właściciel nie pozwoliłby sobie na niestosowne traktowanie jego własności! Gotów jestem uznać, że te same miejsca, które pokazaliśmy w poprzednim numerze miesięcznika, nigdy wcześniej nie osiągnęły poziomu tak gnijącej, zatęchłej i butwiejącej **oazy naszej obojętności.**

Najbardziej zasmuca fakt, że tak doskonale rozpoczęty kontakt z Miejskim Konserwatorem Zabytków – został przez tegoż urwany. **Nie słabniemy w wysiłkach, by dialog utrzymać.** Nie widzimy innej możliwości. Panie Konserwatorze. Czekamy na Pańską odpowiedź, na reakcję.

Dziś, kontynuujemy opowieść o jawnej dewastacji naszego pięknego miasta. Małgorzata Wrzosek „oczaruje” Państwa wandalizmem XXI wieku w odniesieniu do kamienic w samym centrum Szczecina (odcinek drugi).

Ponadto, w numerze przywołamy lata pierwsze Szczecina, zaledwie szkielet, zaznaczając pierwszy ślad kształtowania się „kolonii literatów”, organizowanej przez wojewodę Leonarda Borkowicza. Siegnąłem do zapisków pani Marii Kureckiej-Wirpszy, która wspomina Tadeusza Borowskiego i pisze o literackim klimacie powojnia.

Sprawdzimy, co nasi niemieccy sąsiedzi, a więc - za ścianą - oglądają w poniedziałkowe wieczory w ich pierwszym programie telewizyjnym. Sygnał telewizyjny nie zatrzymuje się na granicy w Lubieszynie czy Kołbaskowie. Czy wśród milionowej widowni programów

historycznych kanału ARD są także widzowie ze Szczecina, Stargardu, Świnoujścia? Nazajutrz spotykamy się na przygranicznych targowiskach, u fryzjera, optyka, na targu kwiatowym. Rozmawiamy o latach II wojny światowej? O tym, co działo się w miejscach dziś tak gromadnie przez nas, wspólnie z Niemcami, odwiedzanych?

W klimacie tych rozważań jest miejsce na **wydarzenie**, na scenie kameralnej Teatru Polskiego w Szczecinie. Chyba nigdy wcześniej nie byłem w tym teatrze tak usatysfakcjonowany jak podczas spektaklu „Kopenhaga”. Na szczęście, kilka dni później, teatralny walec rozpląszał mnie już na samym początku przedstawienia-ekscesu pod tytułem „Po burzy”. Rzecz, m.in. dotyczy przemocy, jaką dyrektorzy teatrów stosują wobec aktorów. To okropne i wstrętne praktyki. Ale „Po burzy” ja uznaję za fundamentalny przykład **przemocy teatru wobec widza.**

Bodaj dwa dni wcześniej, w Filharmonii, zorganizowano konferencję o przemocy w sztuce. Na prawach VIP-a uczestniczył w niej reżyser „Po burzy”. Ale bohaterem konferencji został dyrektor artystyczny Teatru Współczesnego, Michał Buszewicz. Jak się później tłumaczył, nikt nie rozumiał jego „żartu”. To prawda, nikt, bo wszystkich na widowni ów żart „zamurował”. (szczegóły w numerze czerwcowym TVSiódemki) Dyrektor Adam Opatowicz, niestety, w chwilę po wystąpieniu kolegi ze Współczesnego, nagle „przypomniał sobie”, że ma coś strasznie ważnego do załatwienia i zszedł ze sceny, opuścił ekspertów dyskutujących o przemocy w sztuce... Mam nadzieję, że pan dyrektor zdążył załatwić tę jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę...?

Ponadto - **w stylu „bez stylu”**, zakończył się trwający chyba rok eksces pod nazwą Kwartał Kultury. Prezydent miasta, niespodziewanie i przy wyludnionej majówce widowni – podjął decyzję, gdzie stanie nowy teatr współczesny. Bo to jego teatr. Basta, panie marszałku. Nie będziesz mi się tu szarogęsił! Czy marszałek został o tym ruchu uprzedzony? Nie wiem. Na Facebooku chwalił się, że żegluję, jeździ rowerem, robi zatem to, co mu najlepiej wychodzi!

W takich okolicznościach majowych pękł wreszcie **balon megalomanii**. Nowy teatr budować będziemy przez przynajmniej sześć lat, teatr „niewiadomajaki”. Bo nad tą kwestią nie zastanawia się nikt. A już najmniej – pan Edward Osina, który zimą, podczas biznesowej gali rzucił hasło: szczecińscy kapitaliści, którzy wzbogacili się dzięki klimatowi, jaki stwarzało im miasto – dadzą po milionie na nowy teatr. Czy był to tylko medyczny gest? Pan Edward Osina zapewniał mnie, że tak, że nie kryje się za tym żadna biznesowa otoczka. Poza nim, nikt – jak słyszę, złamanego grosza nie zadeklarował, a szef klubu biznesmenów, proszony przez pana Osinę o nadanie rozmachu akcji „po milionie”, rzecz skwitował na zamkniętym zebraniu: **nic bez marszałka nie zrobimy**. I słowa stały się ciałem. Ale pan Edward Osina – nie rezygnuje...

Prezesa biznesmenów od dwóch miesięcy proszę o spotkanie. Ten stosuje (jego biuro) najbardziej egzotyczne metody kontaktu z prasą. Np. w odpowiedzi na prośbę o spotkanie otrzymuję numer telefonu prezesa, żebym się sam z nim dogadał. A numer przekazuje mi ktoś, kto się nie przedstawia, nie mówi dzień dobry i znika w Internetowym niebycie. Tak działa sekretariat szefa biznesmenów? A jak Elon Musk zostanie potraktowany, jeśli zapragnie pogawędzić z prezesem?

Na szczęście – mamy MAJ... Ja zawsze czytam go wspak: JAM. **To jest mój miesiąc.** Najpiękniejszy miesiąc w życiu. W maju świat ma prawo stanąć na głowie, z radości odrodzenia nadziei.

Jestem pewny, że to było w maju, gdy w Księdze Rodzaju (1:28 UBG) Bóg powiedział do nas: **“Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, napełniajcie ziemię i czyście ją sobie poddaną; panujcie nad rybami morskimi i nad ptactwem niebieskim, i nad wszelkimi zwierzętami, które poruszają się po ziemi”**.

Dziś dochodzę do wniosku, że mam problem. Bo jak się wytłumaczyć Stwórcy, że nie zostałem wędkarzem? Każę mi życie przeżyć jeszcze raz? Nie zaprotestuję!

Ze wstydem i wielkim niesmakiem rzecz pewną (wreszcie) opiszę. Dlaczego? Bo w pewnym sensie sam się do tej sytuacji przyczyniłem. Świadomie. Dokonując wyboru, wpisując znak krzyżyka w niewłaściwym, jak się okazuje - kwadraciku arkusza wyborczego.

Koncert na moście



Nie mogłem wprost uwierzyć, że w głowie męża stanu (a jego rzeczniczka prasowa przekonywała mnie, że w głowach wszystkich członków Zarządu Samorządu) mogła wykiełkować tak absurdalna idea.

Z przebiegu korespondencji wnoszę, że mogły tu zaistnieć dwa warianty: **imprezę wymyślił marszałek**, a podlegli mu samorządowcy nie bezmyślnie (!) zaakceptowali kosztorys, albo – wariant drugi - kpiarz-pracownik, znając słabości pryncypała, podłożył mu propagandową „**skórkę od banana**”, którą ten „kupił” jako świetny pomysł na kolejny lans, a to, że przy jego realizacji polityk wyciął nam wszystkim hołubca wstydu – dla obu lekkoduchów nie miało żadnego znaczenia. Są bezkarni! To największe osiągnięcie demokracji.

Jak można podobnym pomysłem kompromitować urząd tak znaczący?

Analiza tego przypadku winna stać się podręcznikowym przykładem wszystkiego, tylko nie umiaru i odpowiedzialności. Trzymając się klasyki, przypadek odmienny od rozsądnego nazwać winniśmy zgodnie ze słownikiem profesora Witolda Doroszewskiego:

fircykować ndk IV daw. «zachowywać się jak fircyk; trzpiotować»: Jeszcze młoda jest i ona, ależ wdowa — doświadczona, zna proporcję, mocium panie, i nie każe fircykować, po kuligach balansować. **FREDRO A. Zem. 9. // SW**

Mit poroniony

Most Siekierki – Neurüdnitz powstał w 1892 r. i był najdłuższym tego typu obiektem na Odrze...

Tak zaczyna się ta opowieść. Jej źródłem – strona Biura Prasowego Urzędu Marszałkowskiego Województwa Zachodniopomorskiego. Każde kolejne zdanie i następna wypowiedź narratora tego horroru sięgała wyżej o oktawę na skali megalomanii. Przykład:

Most w Siekierkach połączył marzenia.

I tak grafomańska „Pieśń o moście” popłynęła w świat... Każdy, kto otrzymał ten materiał prasowy umieszczał go na swoich stronach i bezmyślnie dopowiadał ciąg dalszy (wszystkie cytaty - oryginalne):

To świadek historii, który obserwował rozkwit rewolucji przemysłowej i wojenną zawieruchę, której sam stał się ofiarą. Pod koniec II Wojny Światowej obiekt wysadziły wycofujące się wojska niemieckie. Po wojnie został odbudowany i zapomniany w trakcie zimnej wojny. Szansą na jego rewitalizację stały się środki unijne.

W tym i cytowanych dalej wypowiedziach znów z pomocą przychodzi nam pan profesor Doroszewski.

konfabulacja ż I, Im D. ~cji a. ~cyj psych. «zmyślanie, podawanie faktów nie istniejących, objaw występujący przy zaburzeniach pamięci, w niektórych chorobach umysłowych oraz u dzieci»: Chorzy [psychicznie] łatwo zapominają to, co przed chwilą spostrzegli, powiedzieli lub usłyszeli, i te luki w pamięci wypełniają w dobrej wierze zmyśleniami, bajkami, które się z łacińska nazywają konfabulacjami. **Wiedza 174, s. 8.**
<łc. confabulatio = rozmowa>

Świadek historii... Oto podręcznikowy przykład personifikacji.

Do jak intymnego zbliżenia musiało dojść między urzędnikiem piszącym podobne banialuki, a mostem, że ten - marszałkowskiemu skrybie - rdzawymi łzami wypłakał się w mankiet? Mnie most o sobie słowa nie szepnął. Musiałem więc odwołać się do Wikipedii.

Po wojnie, mimo znalezienia się na nowej granicy polsko-niemieckiej (*coż za figura stylistyczno-nielogiczna?* – podkr. M.K.), został odbudowany w związku z radziecką doktryną wojskową zakładającą szybką ofensywę przeciw państwom zachodnim. **Pomimo odbudowy, aż do likwidacji linii kolejowej w 1999 r. nie kursowały po nim pociągi.**

Dobry tekst. Mimo – pomimo... Skoro/mimo/pomimo padał deszcz, ceny lodów na Saharze wzrosły o pół kilograma... I znów uprzedzam i uczulam na logikę późniejszych cytatów. Gdyby takim językiem, z taką logiką opracować instrukcję budowy rakiety kosmicznej, w efekcie otrzymalibyśmy taczkę, ale z baldachimem.

Zajrzałem na portal RynekKolejowy.pl:

Most łączący Siekierki i Neurüdnitz znajduje się w odległości 77 km od Szczecina i 66 km od Bramy Brandenburskiej w Berlinie. Wokół jego 785-metrowej konstrukcji rozciągają się tereny starorzecza Odry nazywane Kostrzyńskim Rozlewiskiem. To wyjątkowo cenne, naturalne rozlewisko Odry w Cedyńskim Parku Krajobrazowym, część transgranicznego kompleksu przyrodniczego, położonego wzdłuż koryta Odry, znanego po stronie polskiej i niemieckiej jako **Unikalna** Dolina Dolnej Odry. Obszary te objęte są ochroną siedliskową i ptasią w ramach europejskiej sieci Natura 2000

Równie rzeczowo o miejscu tym pisze autor portalu inżynierbudownictwa.pl, cytując:

Most Siekierki – Neurüdnitz znajduje się w Dolinie Dolnej Odry - cennym przyrodniczo obszarze Europy. Występuje tu ponad 170 gatunków ptaków, w tym również unikalnych. Tu polują bieliki, występuje puchacz Bubo-Bubo. Właśnie dla tego gatunku zbudowano specjalne platformy lęgowe, na których może on zamieszkać (dobrowolnie? zrobił to? - podkr. M.K.) podczas prac budowlanych.

Prac budowlanych... O! Tak przechodzimy do prozy życia. Za 12 milionów złotych postanowiono odnowić most o długości od 660 do prawie 800 metrów (zależnie od źródła informacji) przewidując, że stanie się atrakcją turystyczną. A w kosztorysie prac jaką długość podano? Faktyczną czy wirtualną? Kontynuuję - z zachowaniem pisowni oryginalnej, znów ze strony Urzędu Marszałkowskiego:

Brama do rowerowego pogranicza, miejsce wypoczynku na łonie unikalnej przyrody Pomorza Zachodniego i Brandenburgii - po wielu latach starań Samorząd Województwa Zachodniopomorskiego zmodernizuje most europejski Siekierki-Neurüdnitz i przystosuje go do ruchu turystycznego tworząc unikalną atrakcję. (...)

Czy – wyraz: unikalny występuje tu w charakterze czkawki? Rowerowe pogranicze... Ale całość opisu - bardzo sexy... Ten Samorząd... Po wielu latach starań, Samorząd... Który z uniwersyteckich kursów pisania powieści ukończyli autorzy marszałkowskich tekstów?

Most europejski...

Atrakcją są Wały Chrobrego, wieża Eiffla, Big Ben, Łazienki, Gubałówka. I do tego grona z paszportem Samorządu Zachodniopomorskiego – wkroczył most dostępny wyłącznie dla piechurów i rowerzystów. I tu miejsce na nowy monolog Hamleta:

Długo czekaliśmy na ten moment, w dzisiejszych czasach znalezienie wykonawcy jest bardzo trudne. To jedna z kluczowych dla nas inwestycji. Głęboko wierzymy w potencjał turystyczny naszego regionu i przepięknego dorzecza Odry, gdzie mocno inwestujemy w nowe trasy rowerowe. Połączymy tworzone przez nas systemy ścieżek rowerowych z tymi w Brandenburgii. Dzięki modernizacji ten **most ożyje** i będzie świadczył o dobrych polsko-niemieckich relacjach - podkreślał marszałek województwa zachodniopomorskiego Olgierd Geblewicz. Zmodernizowany most Siekierki – Neurüdnitz stanie się przysłowiowymi wrotami do przygód i wycieczek na szlakach rowerowych Pomorza Zachodniego oraz Brandenburgii. Obiekt będzie także miejscem odpoczynku i punktem obserwacji **unikalnej** przyrody **urokliwej** Doliny Dolnej Odry.

Czyli – rowerowa aneksja Brandenburgii. Rowerzyści w roli „zielonych ludzików”. A przy okazji... Czy ktoś zna przysłowie - w jakimkolwiek języku - o moście, który jest wrotami do przygód i wycieczek? Nie ma takiego. Język służy do wyrażania myśli. Ale jak widać – nie tylko.

I dalej – z zachowaniem oryginalnej pisowni cytuję „Odyseję” ze strony Urzędu Marszałkowskiego:



- Widzicie szczęśliwego człowieka, dziękuję za tą inwestycję. Cieszę się, że udało się wszystko spiąć finansowo. Do tej ścieżki mieszkaniec Cedyni ma 14 km. Będę realizował ścieżkę rowerową Cedynia – Osinów, gdzie przekraczając most i idąc już ścieżką po stronie niemieckiej będziemy zrobić pętlę. To będzie piękna atrakcja turystyczna – mówił burmistrz Cedyni Adam Zarzycki.

Inwestycja jest elementem wartego blisko 22 mln zł projektu Zespołu Parków Krajobrazowych Województwa Zachodniopomorskiego i Urzędu Gminy Barnim-Oderbruch, który pozwoli na modernizację całego, liczącego 660m obiektu. Zadanie zostało w 85% dofinansowane z programu INTERREG Va. Oprócz modernizacji infrastruktury, działaniu towarzyszyć będą warsztaty dla lokalnych mieszkańców, które mają pomóc w wykorzystaniu atrakcji turystycznej.

O! I oto coś wreszcie interesującego. Ale znów, nie znalazłem śladu, gdzie, kiedy, przez kogo prowadzone były i na jaki temat – warsztaty dla lokalnych mieszkańców... Czy szło o naukę jazdy figurowej na rowerze, może Nordic Walking? Albo praktyki survivalowe? Proszę, ktokolwiek słyszał – ktokolwiek wie, niech podzieli się doświadczeniami z tych warsztatów.

Unikalna Dolina

Próba uczynienia z tych dziewiczych terenów (wierzę, że nigdy się to nie uda), celu turystycznych pielgrzymek obraża inteligencję nawet sowizdrzała. Mniej istotne, z jakich szkół pisarskich pochodzą marszałkowie skrybowie. Ważne, **kto teksty te zamawia i zatwierdza, a co gorsze – publikuje.**

Proszę policzyć i wypisać wszystkie cytowane określenia terenów wokół mostu. Biblijny opis raju to grafomania w porównaniu z tą literaturą.

Most zatem wyremontowany. Pora na huczne otwarcie. Pan marszałek nie uznaje półśrodków, a przypadłości takie jak umiar czy skromność są mu obce. I ma rację. Bo przecież - czytaliśmy wyżej – osiągnął cel nadzwyczajny – podarował mieszkańcom i ptactwu wielką atrakcję turystyczną. Ludzie z domów się wyprowadzą, ojcowiznę zostawią, pod mostem zamieszkają, pośród szuwarów i... i perkozów. Taka to atrakcja!

Fakt otwarcia mostu trzeba było godnie oprawić.

Zorganizowano koncert

W notatce prasowej rzecznika marszałka czytam:

Nietypowy koncert na moście. Muzyczna uczta w Siekierkach. Pierwszy w historii koncert na dawnym moście kolejowym w Siekierkach... (most był, jest i będzie kolejowy - podkr. M.K.)

I dalej:

W programie zaplanowano m.in. utwory z takich legendarnych filmów jak „Śniadanie u Tiffany'ego”, „W 80 dni dookoła świata”, „Mroczny Rycerz”, „Mission impossible”, „007”, „Ben Hur”, „Ogniem i mieczem”, „Harry Potter”, „Piraci z Karaibów”, „Casablanca” czy „Indiana Jones”. Wystąpią m.in.: Katarzyna Dondalska (Polska, Niemcy) - sopran koloraturowy, Stefan Johann Walter (Niemcy) – dyrygent oraz orkiestra symfoniczna Filharmonii Koszalińskiej.

Repertuar... Czy ma cokolwiek wspólnego z mostem albo Euro-regionem? Z rowerami i pieszymi? Nic. A musi mieć? Nie. Nie ma takiego obowiązku. *Logisch...* A artyści? Organizator napisał, że „między innymi”? Byli jacyś „między” wymienionymi? Nie. Więc? Czego się pan czepiasz?

Więcej – przy nazwiskach artystów wskazano nazwy krajów. Zapytałem dyrektora Filharmonii w Koszalinie – w czym rzecz? Coś się plecie marszałkowskiemu Koszałkowi Opalkowi, czy mamy tu jakąś międzynarodową, oficjalną reprezentację? Fragment korespondencji mailowej:

TVSiódemka: Pani Katarzyna Dondalska reprezentuje – zgodnie z informacjami prasowymi – Niemcy i Polskę na tym koncercie. Została zaangażowana przez Państwo? Jako artystka polska czy niemiecka?



Urząd Marszałkowski
Województwa Zachodniopomorskiego
Biuro Prasowe
rzecznik@wzp.pl

GM-1.0620.444.2024.TT

Szczecin, 15.07.2024 r.

Nietypowy koncert na moście
Muzyczna uczta w Siekierkach

Pierwszy w historii koncert na dawnym moście kolejowym w Siekierkach odbędzie się w najbliższy piątek, 19 lipca. Na koncert muzyki filmowej w wykonaniu 30 artystów Filharmonii Koszalińskiej zaprasza Marszałek Województwa Zachodniopomorskiego Olgierd Geblewicz.

W programie zaplanowano m.in. utwory z takich legendarnych filmów jak „Śniadanie u Tiffany'ego”, „W 80 dni dookoła świata”, „Mroczny Rycerz”, „Mission impossible”, „007”, „Ben Hur”, „Ogniem i mieczem”, „Harry Potter”, „Piraci z Karaibów”, „Casablanca” czy „Indiana Jones”.

Wystąpią m.in.: Katarzyna Dondalska (Polska, Niemcy) - sopran koloraturowy, Stefan Johann Walter (Niemcy) – dyrygent oraz orkiestra symfoniczna Filharmonii Koszalińskiej.

- Wstęp na koncert jest darmowy – warto zabrać ze sobą rodzinę i przyjaciół, by wspólnie cieszyć się tym niezapomnianym wieczorem pełnym dźwięków i niesamowitych widoków – zaprasza marszałek Olgierd Geblewicz.

Koncert rozpocznie się o godzinie 18.00 i potrwa ok 2 godzin. Na miejscu będą przygotowane krzesła, ale ich ilość będzie ograniczona. Warto wziąć ze sobą coś, na czym można przysiąść – np. koc.

Wydarzenie organizowane jest przez Pomorze Zachodnie oraz Gminę Garz, a dofinansowane z Funduszu Małych projektów w ramach Programu Współpracy Interreg VI A Meklemburgia - Pomorze Przednie / Brandenburgia / Polska 2021-2027 w Euroregionie Pomerania.

Biuro Prasowe

Biuro Prasowe
Gabinet Marszałka
Urząd Marszałkowski Województwa Zachodniopomorskiego
70-421 Szczecin, ul. Piłsudskiego 40
tel.: +48 91 454 29 60 do 64
e-mail: rzecznik@wzp.pl
www.wzp.pl
www.facebook.com/PomZachodnie

Filharmonia: Podobnie jak dyrygent pan Stefan Johann Walter, pani Katarzyna Dondalska została zaangażowana przez filharmonię. Nie reprezentuje ona w sensie formalnym ani Niemiec, ani Polski. To, że jest Polką mieszkającą w Niemczech jest co najwyżej dobrze korespondującą okolicznością z miejscem i jedną z idei koncertu.

Zatem wiemy już, że na most przyjechała z Koszalina tamtejsza orkiestra filharmoniczna. Za pulpitem dyrygentkim – artysta z Niemiec, a na blaszanej platformie zaśpiewała mezzosopranistka, uznana za „ósmą cud świata”. Głos i talent, w istocie - niezwykle. Ptaki miały się z pyszna. Wreszcie ktoś im pokazał, jak śpiewać należy. A tym kimś był pomysłodawca koncertu. Czyli – kto?

Kto wymyślił ten koncert?

Biuro prasowe ignorowało to pytanie, powtarzane przeze mnie w korespondencji kilka razy. Wreszcie tak rzecz ująłem:

Pytanie: Kto był pomysłodawcą - pan O. Geblewicz? Wszędzie w materiałach każda informacja zaczyna się od jego nazwiska. Proszę upewnić mnie, że nie popełnił błędu przypisując autorstwo tego projektu panu Geblewiczowi. Zarówno Państwa materiały o tym informują jak i prasa regionalna. Wolę się jednak upewnić: tak, to pomysł pana Geblewicza.

Odpowiedź: Decyzję o organizacji koncertu plenerowego na Moście w Siekierkach podjął Zarząd Województwa Zachodniopomorskiego.

Komunikacja na poziomie: dwa dodać dwa równa się pada deszcz.

Kto wpadł na pomysł, żeby na blaszany, rozgrzany most, w jeden z najbardziej upalnych dni 2024 roku sprowadzić orkiestrę, by ta dała koncert muzyki symfonicznej? W repertuarze tematy nie kolejowe, nie batalistyczne czy konduktorsko-rowerowe tylko - filmowe. Co most wspólnego ma z Hollywood?

Oto przykład megalomanii i lansu pana marszałka za pieniądze unijne, polskie czy kogokolwiek w końcu. Za - nasze!

Dlaczego, zastanawiałem się, wybrano wariant orkiestry symfonicznej? Impreza plenerowa, w pełnym słońcu, biwakowo-sielankowa, a do grilla ma przygrywać maestro, diva i symfonia we frakach?

Zapytałem u źródła. Z Koszalina, od dyrektora Filharmonii, pana Roberta Wasilewskiego otrzymałem odpowiedź (cytuję z oryginalną pisownią):

Filharmonia Koszalińska złożyła ofertę na przesłane przez Wydział Współpracy Terytorialnej i Turystyki Urzędu Marszałkowskiego Województwa Zachodniopomorskiego zaproszenie do wzięcia udziału w rozeznaniu cenowym następującego projektu:

Realizacja projektu „Muzyka bez granic - Koncerty muzyczne w plenerze” polegać będzie na organizacji transgranicznych koncertów plenerowych, które będą miały na celu promowanie atrakcji turystycznych regionów partnerskich poprzez wydarzenia kulturalne zwiększające wiedzę oraz atrakcyjność turystyczną promowanych obiektów. W ramach projektu planuje się zorganizować 3 lub 2 koncerty plenerowe w nietypowych, ale atrakcyjnych miejscach turystycznych. Wstępnie zakłada się lokalizację: Wieża w Widuchowej, Most w Siekierkach oraz Nabrzeże w Mescherin (miejscę wybrane przez Partnera). Koncerty byłby gólnodostępne dla zainteresowanych odbiorców. Jednocześnie w celu rozszerzenia dostępności Wydarzenia szerszemu gronu odbiorców przewiduje się na transmisję koncertów na żywo w mediach społecznościowych. Nagranie z koncertu dodatkowo umieszczone byłoby na Kanalach Województwa i Partnera Projektu.

Filharmonia szczecińska – wiem to od rzecznika marszałka - odpada z rywalizacji. Dlaczego? Cytuję z listu rzecznika z 3 marca 2025 roku:

Filharmonia Szczecińska przedłożyła ofertę na realizację koncertów przez zespoły kameralne (kwartet oraz kwintet), co nie wpisało się w zamysł projektu.

Bo zaproponowała udział... kwartetu... Czyli – czterech muzyków. Kpina. Marszałek i czterech muzyków!? Jaka skucha!

Bezczelność czy dezynwoltura?

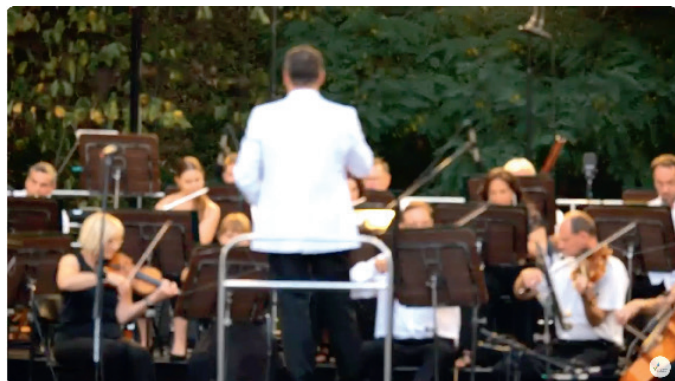
W mailu dopytywałem dyrektora koszalińskiej filharmonii:

TVSiódemka: Czy uznają Państwo obszar szczególnie wrażliwy pod względem przyrodniczym za najwłaściwsze miejsce do prezentacji spektakularnych kompozycji muzyki filmowej, często bardzo dynamicznej i pełnej ekspresyjnych środków wyrazu?

Filharmonia: To pytanie raczej do organizatora koncertu, czyli Wydział Współpracy Terytorialnej i Turystyki Urzędu Marszałkowskiego Województwa Zachodniopomorskiego. Filharmonia Koszalińska jest w tym kontekście tylko zleceniobiorcą. (To pytanie pewnie też warto zadać w przypadku np. Opery Leśnej w Sopocie, amfiteatrów w Szczecinie, Koszalinie, Mrągowie i wielu innych).

TVSiódemka: Co skłoniło Państwa do zaakceptowania udziału w koncercie.

Filharmonia: (...) Zdecydowaliśmy się na udział w nim ze względu na naszą artystyczną misję.



Artystyczna misja

Ta nie zna granicy wyrzeczeń. Sztuce i jej konsumentom gotowiśmy w ofierze złożyć nawet naszą powagę. Panie marszałku... Pański pomysł został podjęty przez filharmoników, którzy przyjęli zlecenie jako element ich misji. A gdyby odrzucili? Rozważali taki wariant? Byliby zdolni i na tyle nierozsądni, aby odmówić?

Skazał pan tych ludzi na wielogodzinną podróż, na występ (to są artyści) w warunkach urągającym ich umiejętnościom, talentom. Tak każe pan zarabiać na życie ludziom sztuki? Ponadto – przypisał pan do godności artystów – nazwy krajów. W jakim celu? By dopompować balon próżności? Jak można tak traktować artystów, kogokolwiek? Uzyskał pan zgodę na tę formę pewnej stygmatyzacji tych ludzi w świadomości społecznej? Jakiś minister brał ślub w kopalni... Asystentowi innemu – oddawano honory wojskowe. Chce pan wejść do tego grona?

W upale, po koncercie muzycy wrócili do Koszalina. Sprawdził pan, czy następnego dnia grali kolejny koncert? Ale od czego w końcu są artyści? Mają tworzyć! Marzyli o tym. Uczyli się fachu przez kilkanaście lat i wreszcie dostali życiową szansę – zagrali na starym moście – w zachodniopomorskim Carnegie Hall pana marszałka. Więc – proszę! Przecież nie za darmo! (Oj, coś ciągnie się za panem to Carnegie Hall?).

Dygresja... Na dworze królowej Elżbiety nikt nie dał plastikowymi sztuczkami, a pan artystyczne srebra regionu rzucił do grilla.

Kiedy się ja do wizyty królewskiej przygotowywałem, to zwrócono mi uwagę, abym skorzystał z oferty specjalistycznego sklepu i zakupił: koszulę, krawat, marynarkę i resztę – stosowną do osoby i miejsca, jakie miałem odwiedzić. Koszula, a więc i spinki – to była największa atrakcja. Umarłaka takie wdzianko przywróciłoby życiu. A ja, patrząc na zapis video koncertu w Siekierkach i widząc martyrologię artystów, odzianych w koncertowe stroje, ociekających potem, posadzonych na rozgrzanej blaszanej platformie, grających koncert po przebyciu kilkuset kilometrów w mam nadzieję – klimatyzowanym autokarze. Oto przykład misji artystycznej, o której wspominał dyrektor Wasilewski. Tę misję definiuje i jej standard wyznacza swoimi pomysłami pan marszałek, który – UWAGA! – na koncercie się nie pojawił. Ani w Siekierkach, ani w... Mescherin. Bo, pamiętamy, koncerty były dwa.

Mescherin

To przeurocza, ledwie widoczna na mapach sztabowych niemiecka, nadodrzańska wioseczka, jakby zapomniana przez świat i cywilizację. Cudne miejsce. I nasz marszałek postanowił pokazać się tam w wielkomiejskim stylu na łące, nieopodal brzegu Odry.

Czytam odpowiedzi rzecznika marszałka w sprawie uzasadnienia takiej właśnie, koncertowej formy uświetnienia i promocji nie tylko mostu ale także rowerowych ścieżek przygranicznych:

Liczne badania (w tym raporty UNWTO) pokazują ścisłe powiązanie kultury z rozwojem turystyki. UNWTO w swoich raportach podkreśla, że koncerty, festiwale i inne wydarzenia plenerowe, mają **kluczowe** (podkr. M.K.) znaczenie dla promocji miejsc turystycznych.

Na przykład – festiwal muzyki funeralnej na festiwalu sukien ślubnych. Taka logika kieruje strategiami pana marszałka?

Tuż przed koncertem (pierwszy ze względów pogodowych odwołano, odbył się w innym terminie) polska prasa, media, portale krzyczały

i zapraszały polską widownię. Po niemieckiej – cisza, jak makiem zasiał. A to przecież współorganizatorzy.

Marszałek Olgierd Geblewicz zaprasza na wyjątkowe wydarzenie – pierwszy raz w historii, na Moście Europejskim w Siekierkach w dniu 15 czerwca odbędzie się koncert muzyki filmowej w wykonaniu 30 artystów Filharmonii Koszalińskiej!

W programie m.in. utwory z takich legendarnych filmów jak „Śniadanie u Tiffany’ego” (...)

Wykonawcy: Katarzyna Dondalska (Polska, Niemcy) – sopran koloraturowy (...)

Wstęp jest darmowy – zabierzcie ze sobą rodzinę i przyjaciół, by wspólnie cieszyć się tym niezapomnianym wieczorem pełnym dźwięków i niesamowitych widoków. Koncert rozpocznie się o godzinie 17.00 i potrwa ok 1,5 godziny. Do zobaczenia!

Kto o tym wydarzeniu nie informował? Kurier-kolejowy.pl nie chciał być gorszy od służb marszałkowskich:

Pierwszy w historii koncert na dawnym moście kolejowym w Siekierkach odbędzie się w najbliższy piątek, 19 lipca. Na koncert muzyki filmowej w wykonaniu 30 artystów Filharmonii Koszalińskiej zaprasza Marszałek Województwa Zachodniopomorskiego Olgierd Geblewicz (...)

- *Wstęp na koncert jest darmowy – warto zabrać ze sobą rodzinę i przyjaciół, by wspólnie cieszyć się tym niezapomnianym wieczorem pełnym dźwięków i niesamowitych widoków* – zaprasza marszałek Olgierd Geblewicz.

Koncert rozpocznie się o godzinie 18.00 i potrwa ok 2 godzin. Na miejscu będą przygotowane krzesła, ale ich ilość będzie ograniczona. Warto wziąć ze sobą coś, na czym można przycupnąć - np. koc.

Co to znaczy zρέcznie rzucić mediom zadanie. Te – bezkrytycznie – jak pelikan, chwycą każdą niedorzeczność i rozwiną ją do granic absurdu.

Przypomniał mi się stary dowcip. Nie na temat, ale go lubię. Rosjanie wylądowali na Księżycu. A tu, zza węgła, wychodzą Chińczycy.

- A jak wyście się tu dostali?

- A zwyczajnie, jeden na drugiego, jeden na drugiego... i weszliśmy.

Wyborcza.pl, w tandemie z marszałkiem – dorobiła rowerowy sos do całego wydarzenia. Próbowałem znaleźć kogoś, kto skorzystał z takiej rady jak ta, opisana poniżej. Żeby nie zapomnieć – proszę, oglądając relację video z koncertu, policzyć, ilu na koncercie było rowerzystów?

Jak dojechać na koncert na moście w Siekierkach. (...) Ze Szczecina na most w Siekierkach jest około 100 km. Google Maps proponuje trzy trasy, w tym dwie przez Niemcy. Wybór zależy od aktualnych warunków na drodze, ale zazwyczaj najlepiej sprawdza się trasa przez przejście graniczne w Rosówku, dalej przez Schwedt do Krajnika Dolnego już po polskiej stronie. Należy się liczyć z tym, że podróż samochodem może zająć nawet dwie godziny.

Przy wjeździe na nasyp prowadzący na most nie można zaparkować. Duży, legalny parking, znajduje się około 150 metrów wcześniej (jadąc od północy), tuż przy dawnym budynku stacji kolejowej, po lewej stronie.

Jest też jednak jeszcze ciekawsza możliwość. To wykorzystanie pociągu i rowerów. W piątek można wyjechać ze Szczecina pociągiem regionalnym, który zatrzymuje się na stacji w Godkowie. Stąd mamy nieco ponad 20 km ciekawej, asfaltowej drogi rowerowej poprowadzonej szlakiem dawnej linii kolejowej. Należy jednak pamiętać, że w pociągach jest ograniczona liczba miejsc na rowery i bilet na jednoślad należy wykupić wcześniej. Dostępne są pociągi odjeżdżające ze Szczecina o godz. 8.35, 12.35 i 14.55. Przejazd do Godkowa trwa 55 minut.

A co z powrotem? W przypadku wyjazdu rowerem z góry należy założyć nocleg. Pogoda będzie sprzyjać wypadowi z namiotem. W najbliższym sąsiedztwie mamy trzy pola namiotowe.

Ilu entuzjastów mostu nawiedza go wykorzystując gazetowe podpowiedzi? Widzę, widzę! Las rąk... Opuszczonych.

Już o tym pisałem, że jakiś czas temu wymyślono filharmonię jako właściwe miejsce dla orkiestry symfonicznej. Promenadowe koncerty, organizowane od lat, szalenie popularne, by wymienić najślawniejsze jak ten w lesie berlińskim czy u stóp pałacu cesarskiego w Wiedniu – przygotowane są w oparciu o bazę i wyposażenie filharmoniczne. Transmitowane na cały świat! W transmisji z Mescherin – asynchron. Dźwięk płaski, a interpretacja? Najdłużej wpatrujemy się w plecy dyrygenta. Więcej na ten temat – za chwilę.

I trzeci akt tej farsy

Organizacja, przebieg i widownia.

Od pani Magdaleny Bulikowskiej, kierownika Biura ds. Turystyki w Urzędzie Marszałkowskim otrzymałem poniższą informację:

Partnerem w projekcie jest Gmina Gartz. Partner był zaangażowany w przygotowanie projektu i bierze udział w jego realizacji, jest odpowiedzialny za pomoc w uzgadnianiu niezbędnych elementów podczas realizacji koncertu po stronie niemieckiej.





Nie udało mi się po stronie niemieckiej i polskiej dowiedzieć, o jakich elementach tu mowa. Na stronie internetowej Gartz znalazłem komunikat o koncercie, potem o odwołaniu pierwszego terminu. O plakatach, anonsach prasowych, reklamie – ani słowa. Więc na czym dokładnie polegało „uzgadnianie niezbędnych elementów”?

Następna kwestia. Grupa przerażonych pomysłem obywateli zaprotestowała w związku z zakłóceniem naturalnych warunków środowiska w okresie lęgowym rezerwatu ptactwa wodnego. Pismo w tej sprawie otrzymałem od pana Tomasza Tadeusza Banacha p.o. zastępcy dyrektora Wydziału Współpracy Terytorialnej i Turystyki Urzędu Marszałkowskiego, który potwierdził, że Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska zaakceptowała pomysł koncertu. Więc – nie ma tematu.

Pojawiła się wręcz groźba, że to ptactwo może zakłócić przebieg koncertu! Tak! Skandal!

Widownia koncertu

Pan marszałek ma gest. Podstawił cztery autokary. W innym liście od rzecznika czytam, że trzy autokary: za 4733 PLN. Wg biura prasowego – 126 osób przewieziono tymi autobusami ze Szczecina. W mojej ocenie - 80% uczestników darmowej wycieczki do Siekierk stanowili emeryci. I wspaniale! Bajka! Królewski gest. Tak sam mógłby dotyczyć np. amfiteatru w Parku Kasprowicza. A najlepiej – Filharmonii, której – idę o zakład – 95% uczestników koncertu plenerowego w Siekierkach nigdy nie odwiedziło. A Filharmonia to też cud! Architektury, bo sztuki – niekoniecznie. Ale nikt, a szczególnie pomysłodawca koncertu nie akceptuje łatwizny. Poza tym – nie chodziło o koncert. Tu szła gra o most! Wielkie batalistyczne i logistyczne przedsięwzięcie. Dlatego na pierwszy plan wysuwa się heroiczna walka artystów o dotrwanie do końca koncertu. Proszę popatrzeć na relację video (z niej pochodzą zdjęcia w tym tekście).... Jaka radość, beztraska i szczęście płyną z oczu wiolinistek. Jak radują się trębacz i kontrabasisci. O takim koncercie zawsze marzyli! Do końca życia nie zapomną siekierkowskich doznań i wzruszeń.

W ramach tego samego projektu – jak już wiemy - kilka tygodni później odbył się drugi koncert. Na zielonej trawce, nad Odrą, po niemieckiej stronie, w maleńkim Mescherin. Znów muzycy z Koszalina, inna solistka i dyrygent.

O ile w Siekierach, moim zdaniem w koncercie uczestniczyło około 600 osób (zdaniem Urzędu – nawet 900) to w Mescherin – porochałbym widownię na niemalże własnych palcach. Od rzecznika marszałka dowiedziałem się: z Polski wyjechał jeden autokar oraz jeden bus. Po stronie niemieckiej na listę widzów wpisało się 37 osób. Ilu się pojawiło?

Żal czy wstyd?

Przed koncertem pojechałem do Gartz. Nic się nie dowiedziałem. Napisałem list do pani Marzeny Wazińskiej z urzędu w Gartz.

Z mojej strony mogę Pana poinformować, że rolę partnera niemieckiego było zebranie uczestników z Niemiec, którzy wzięli udział w koncertach, reklama koncertów po stronie niemieckiej oraz pomoc w organizacji koncertu w Mescherin.

Jestem osobą odpowiedzialną w Urzędzie Związku Gmin w Gartz nad Odrą za projekty i kontakty polsko-niemieckie.

W rozmowie telefonicznej natomiast usłyszałem:

- Tak, było ogłoszenie o koncercie na stronie gminy Gartz. Zainteresowanie Niemców – 15 rezerwacji miejsc na koncercie w Siekierkach. Żeby zorganizować wyjazd autokaru do Opery w Szczecinie potrzebuję od sześciu miesięcy do roku, aby skompletować odpowiednią ilość osób. Tu mieszkają ludzie starzy. A połowa z nich to...Polacy.

Rozmawiałem też z artystami. Muzykami i solistami. Dlaczego godzą się na takie propozycje? A ile innych nie otrzymujemy – odpowiedzi. W mailu od dyrektora Filharmonii czytam kolejne odpowiedzi na moje pytania:

TVSiódemka: Czy związki zawodowe filharmonii akceptują taki harmonogram pracy?

Filharmonia: Związki nie zajmowały stanowiska w tej sprawie, ale nie ma powodu, aby go kwestionowały.

TVSiódemka: Wszystko jest zgodne z regulaminem pracy, który - jak widzę - ostatni raz był modyfikowany 15 maja 2007 roku o godzinie 11:23:57

Filharmonia: Wszystko jest zgodne z regulaminem pracy z 9 maja 2018 r.

Nie użyłem określenia: przymus ekonomiczny, bo dziś jest o wiele więcej innych elementów „gry o etat” niż tylko oprotowanie wyjazdu na taki koncert.

Ale marszałek i jego służby odnotowały – było wspaniale, choć – jak wspominałem – sam pomysłodawca na koncercie nie był.

Zapytałem: kto był, z nazwiska, personalnie, proszę. Usłyszałem: odpowiedzialni pracownicy urzędu.

I uwaga końcowa: przekładając poniesione koszty na ilość widzów koncertu otrzymalibyśmy wartość przekraczającą ceny VIP-owskich biletów do La Scali czy Filharmonii w Wiedniu.

Ale celem był ruch rowerowy. Pan dyrektor Banach napisał, że dysponuje danymi za lata 2022-23. Za rok 2024 – danych brak. Jednak szczegółów, ilu rowerzystów przemierza most w Siekierkach - nie przekazał. W piśmie z dnia 9.12.2024 przeczytałem:

Na moście nie zlokalizowano czujnika do zliczania rowerzystów. Pomiar ruchu rowerzystów realizowane są na trasie rowerowej Pojezierzy Zachodnich w okolicach Nowego Objezierza. Z danych licznika rowerowego widać wyraźny wzrost liczby rowerzystów. W czerwcu zliczono 3.667 rowerzystów, w lipcu 4.151 rowerzystów, natomiast w sierpniu już 5.550 rowerzystów.

Zakładając, że tendencja jest stała, w grudniu 2024 tych rowerzystów powinno być na moście ponad 10 tysięcy! **Uwielbiam, jak urzędnik z petenta robi wariata.**

Oba koncerty zostały zarejestrowane i są dostępne w Internecie. Transmisja na żywo jednego koncertu plenerowego: 14 700,00 zł (w tym jest dodatkowo: spot zapowiadający, spot podsumowujący oraz video). Łączna wartość umowy: 34 580,00 zł. Reklama w mediach: Łączna kwota za reklamę na FB 2653,44 zł

Linków do transmisji w mediach partnera niemieckiego – nie znalazłem. Nie twierdzą, że ich nie ma. Mnie się znaleźć ich nie udało.

Jakość transmisji, walory dźwiękowe, realizacja telewizyjna – w mojej ocenie – nadzwyczaj amatorska. Jak długo można patrzeć na muzyków schowanych za wielkimi, drewnianymi pulpitemi na nuty? Ale urzędnicy pana marszałka znają się na rzeczy i robotę filmowców przyjęli. Liczyłem na wgląd w protokół kołaudacyjny. Ale za słabo liczę.

Wysłałem kilka pytań do firmy realizującej to zlecenie, m.in. na temat kwalifikacji zawodowych osób uczestniczących w filmowaniu przedsięwzięcia. Odpowiedzi - oczywiście - brak.

Na pytanie – od jak dawna, w ilu podobnych wydarzeniach współpracuje ta warszawska firma z urzędem marszałkowskim – odpowiedzi brak.

Przetargi na realizację? Nie było takiego obowiązku, albowiem koszt usługi był niższy od kwoty, od której konkurs ofert jest wymagany.

Urząd Marszałkowski skorzystał z trybu zapytania ofertowego, „którego wartość nie przekracza wyrażonej w złotych równowartości kwoty 130 000 złotych”. I dalej: „Zamówienia udziela się Oferentowi, który zaoferował najniższą cenę lub najkorzystniejszy bilans ceny i innych kryteriów. **Nie kwestionuję przepisów, nie komentuję praktyki. Odnotowuję fakty. Tylko i jedynie.**

Natomiast ocenę wykonanej pracy poddaję najwyższej krytyce. Stwierdzam, że Urząd Marszałkowski nie ma najmniejszych kompeten-

cji, w osobach swoich pracowników, a tych w piśmie do mnie rzecznik nie wymienił z nazwiska, którzy zaakceptowali jakość wykonanej dokumentacji video.

Proszę zaproponować te obie relacje – z Siekierę i Mescherin – jakiegokolwiek stacji telewizyjnej. Kupi ten materiał CNN albo BBC? A czym widzownie telewizji światowych różnią się od widzów relacji opłaconych przez pana marszałka? Proszę wymienić jedną cechę niepełnosprawności takiego „marszałkowskiego” widza, któremu można za 35 tysięcy złotych wmawiać, że ogląda relację telewizyjną?

Czekam, aż ten sam urząd ogłosi, że od najbliższej niedzieli będzie udzielał odpustów i prowadził ostatnie namaszczenia. Na czym jeszcze się zna ta instytucja?

Głupie 150 tysięcy złotych...

A ile radości?

Kilka dni temu natrafiłem na poniższą informację. Strona: Bartłomiej Gracz. Jednodniowe wydarzenie z udziałem Rafała Trzaskowskiego, którego podejmował pan marszałek w dniu 21 marca 2025 – zapłacił 350 tysięcy PLN. Sprostowania tej informacji – nie znalazłem. Natomiast dowiedziałem się, że do przygotowania tego „eventu” zgłosiła się tylko jedna firma, pana Marcina Wypchły. Tenże jest równocześnie prezesem fundacji... Campus Polska.

Co odpowiedział rzecznik pana marszałka?

Ad.1: Forum ekologiczne kosztowało 349 320,00 zł brutto. Podczas wydarzenia wystąpiło 30 panelistów i prelegentów.

Ad.2: Zamówienie przeprowadzone zostało przy użyciu platformy e-zamawiający. W toku postępowania 10 potencjalnych oferentów zarejestrowało się na platformie i wykazało zainteresowanie postępowaniem. 4 podmioty zadały pytania. Finalnie ofertę złożyła tylko firma 2event.

Nadzwyczajne!

Ale z faktami się nie dyskutuje. Nie było w Polsce i Zachodniopomorskim organizatora zdolnego unieść to wyzwanie?

Tak. Wszystko jasne. Tylko – nadal nic nie wiadomo.

Rzecznicy nie komentują, nie wdają się w polemikę z dziennikarzem. I słusznie. Informują. A informacje są przetwarzane. Czytelnicy, jak celnicy, w każdym działaniu władzy doszukują się drugiego dna. Jedno dno ma kolejne dno, a nawet jeszcze dwa. Bo władza i finanse to najbardziej inspirowany związek. Nic nie napędza naszej wyobraźni tak, jak łatwa kasa, którą bezkarnie można wydawać. Bez żadnej kontroli. W oparciu o... no właśnie... urzędową literaturę piękną.

Dziś nie pytam o cel jednodniowego kongresu ekologicznego, o to, co wynika z 30 wystąpień. Coś załatwiono? Proszę wymienić jeden osiągnięty „szczyt”. Jeden materialny fakt. Taki, jak grzech ciężki, a nawet śmiertelny. Mamy coś takiego? Poza fakturami na 350 tysięcy?

Henryk Sienkiewicz pokazał, jak nabijać na pal. Pamiętamy, za co? My uszlachetniliśmy i udoskonaliśmy tę metodę: cały naród nabijamy na propagandowy pal. Ale naród to... lubi i ochryplym głosem woła: jeszcze, jeszcze!

Podsumowanie

Temat koncertu na moście i okoliczności z nimi związane – przyznają Państwo – błahe. Ale nie o te kwestie w powyższym tekście rzecz idzie. Mówimy o bezkarności. O przyzwyczajeniu. O uczciwości.

Ale przede wszystkim o **kompetencji**. Co możemy powiedzieć o kimś, kto organizuje filharmoniczny koncert na moście?

1. Psychologiczny profil decydenta Nadmierna potrzeba autoprezentacji (ekshibicjonizm władzy)

Decydent może cierpieć na przerost ego lub narcystyczne cechy osobowości. Publiczne występy, nawet przy marginalnych okazjach, traktuje jako okazję do promocji własnej osoby.

Objaw: obsesja na punkcie obecności w mediach, ekspozowanie nazwiska, obecność logo, imienia na tablicach, plakatach itd.

Brak kompetencji organizacyjnych i proporcjonalnego osądu

Taki polityk może nie mieć wyczucia skali – nie rozróżnia, co jest wydarzeniem rangi państwowej, a co gminnym wydarzeniem infrastrukturalnym.

Skłonność do populizmu ceremonialnego

Potrzeba wywołania sztucznego efektu „sukcesu” prowadzi do widowiskowego opakowania banalnych działań.

2. Społeczno-ekonomiczne konsekwencje działania Trwonienie środków publicznych (deficyt etyki urzędniczej)

Z punktu widzenia rachunku ekonomicznego i zasad gospodarności, angażowanie orkiestry symfonicznej do wydarzeń niskiej rangi może być oceniane jako marnotrawstwo.

W administracji publicznej obowiązuje **zasada adekwatności wydatku do celu** – często wpisana do regulaminów finansowych.

Brak transparentności i odpowiedzialności za decyzje finansowe

Wydatkowanie dużych środków na działania symboliczne może służyć zaciemnianiu rzeczywistej efektywności inwestycji.

3. Wizerunek i relacje społeczne Autokratyczna skłonność do centralizowania uwagi na sobie

Taki decydent często marginalizuje wkład zespołów, ekspertów i obywateli – istotne jest „kto przecina wstęgę”, nie „co zostało zrobione i jak działa”.

Brak wyczucia społecznego nastroju

Organizowanie kosztownej ceremonii przy jednoczesnym braku inwestycji w potrzeby podstawowe (np. edukacja, zdrowie) może wywołać alienację obywateli.

Odniesienia teoretyczne i źródła:

Max Weber: typ „władzy charyzmatycznej” może degenerować się w pseudocharyzmatyczną farsę, jeśli lider próbuje bez przerwy udowadniać swoją wyjątkowość rytuałem i gestem.

David Easton – system polityczny jako proces alokacji wartości: błędna alokacja środków podważa legitymizację władzy.

Prawo samorządowe (Polska): art. 44 ustawy o finansach publicznych – „wydatki publiczne powinny być dokonywane w sposób celowy i oszczędny”.

Zatem:

Taki decydent może być określony jako:
narcystyczno-populistyczny technokrata pozoru, administrator fasady, estetyczny dyktant o gestach cesarskich, ale horyzontach zarządcy gminnego, polityczny teatroman nieodróżniający premiery od próbki scenicznej.

Ponadto – szastanie, szermowanie, opatrywanie każdego działania własnym nazwiskiem. Odpowiednie przepisy mówią wyraźnie – patronat nad przedsięwzięciem sprawuje marszałek, a więc urząd, funkcja – a nie konkretny z nazwiska człowiek. Przywilej patronatu (anachroniczny, idiotyczny, bezsensowny i niczym nieuzasadniony) nie może być sposobem na promocję osoby lub opcji politycznej.

****„Władza nie deprawuje ludzi; to głupcy, którzy dostają się do władzy, deprawują władzę.”****

(„Power does not corrupt men; fools, however, if they get into a position of power, corrupt power.”)

— George Bernard Shaw



Nabicie na pal

metoda egzekucji - Z Wikipedii, wolnej encyklopedii

Opis egzekucji znajdujemy u Jędrzeja Kitowicza oraz u Henryka Sienkiewicza, „Pan Wołodyjowski”.

Nabicie na pal (zwane także nawlekaniem na pal) – jedna z form wykonywania kary śmierci, praktykowana od starożytności do XVIII wieku. W okresie starożytnym stosowana była przez Hetytów w Anadolii i na Bliskim Wschodzie, a od średniowiecza rozpowszechniła się na ziemiach najeżdżanych przez Imperium Osmańskie bądź podległych temu państwu – głównie na Bałkanach, ale też na południowo-wschodnich krańcach Rzeczypospolitej.

Tej karze poddany był Azja Tuhaj-bejowicz **za zdradę Rzeczypospolitej w Panu Wołodyjowskim**.

ROZDZIAŁ XLIX.

Zbiegowie lipkowscy dali znać o klęsce ordzie białogrodzkiej, górze zaś od niej ponieśli wieść do Orduihamajunu, to jest do cesarskiego obozu, w którym nadzwyczajne uczyniła wrażenie.

Pan Nowowiejski nie potrzebował, prawdę mówiąc, umykać zbyt śpiesznie, ze swoim łupem do Rzeczypospolitej, bo nie tylko w pierwszej chwili, ale i przez dwa następne dni, nikt go nie gonił. Sułtan zdumiał się tak, iż nie wiedział, co począć. Na razie wysłał czambuły białogrodzkie i dobrudzkie, by sprawdziły jakie wojska są w okolicy. Te poszły niechętnie, bo im o własną skórę chodziło. Tymczasem wieść, podawana z ust do ust, wzrosła do rozmiarów znacznej klęski. Tych z mieszkańców głębokiej Azji lub Afryki, którzy nigdy dotąd nie chodzili na wojnę do Lechistanu, a słyszeli z opowiadań o strasnej jeździe niewiernych, zdjął strach na myśl, że już znajduje się wobec tego nieprzyjaciela, który nie czeka na nich w swych granicach, ale szuka ich w samym państwie padyszacha. Sam wielki wezyr i „przyszłe słońce wojny,” kajmakan Czarny Mustafa, nie wiedzieli również, co o tym napadzie myśleć. Jakim sposobem ta Rzeczypospolita, o której beśsilności mieli jak najdokładniejsze relacje, występowała nagle zaczepnie, tego nie umiała odgadnąć żadna turecka głowa, dość, że pochód okazał się odtąd mniej pewnym i mniej do łatwego tryumfu podobnym. Sułtan na radzie wojennej przyjął i wezyra i kajmakana z groźnym obliczem.

— Zwiędliście mnie — mówił — nie muszą Lachowie być tak słabi, skoro nas aż tu szukają. Mówiliście, że Sobieski nie będzie Kamieńca bronił, a owóż pewnie to on z całym wojskiem przed nami...

Wezyr i kajmakan próbowali tłómaczyć panu, że mogła to być jakowaś luźna wataha zbójcka, ale wobec znalezionych muszkietów i troków, w których były kołoty dragońskie, sami w to nie wierzyli. Niedawna nad wszelką miarę zuchwała, a jednak zwycięska wyprawa Sobieskiego na Ukrainę pozwalała przypuszczać, że groźny wódz wołał i teraz zaskoczyć nieprzyjaciela.

— Niema on wojsk — mówił po wyjściu z rady wielki wezyr do kajmakana — ale lew w nim mieszka, trwogi nieznaną; jeśli choć kilkanaście tysięcy zebrał i jest tu, tedy we krwi pójdziemy do Chocimia.

— Chciałbym się z nim zmierzyć — rzekł młody Kara Mustafa.

— Oby Bóg odwrócił wówczas od ciebie nieszczęście! — odpowiedział wielki wezyr.

Powoli jednak czambuły białogrodzkie i dobruckie przekonały się, że nie tylko większych, ale i żadnych wojsk w pobliżu niemasz. Odkryto natomiast ślady oddziału, liczącego około trzechset koni, który śpiesznie dążył ku Dniestrowi. Ordyńcy, mając w pamięci los Lipków, nie ścigali go z obawy zasadzki. Napad na Lipków pozostał czemś zdumiewającym i niewytłómaczonym, ale spokój wracał powoli w Orduihamajunie — i wojska padyszacha rozpoczęły znów pochód, podobny do powodzi.

Tymczasem Nowowiejski wracał bezpiecznie ze swoim żywym łupem do Raszkowa. Wracał śpiesznie, ale doświadczeni zagońcy już drugiego dnia poznali, że nie są ścigani, szli więc, mimo pośpiechu tak, aby nie zdrożyć zanadto koni. Azja jechał ciągle między Nowowiejskim a Luśnią, przykrępowany sznurami do grzbietu bachmata. Ponieważ dwa żebra miał złamane i osłabł srodze, bo i rany, zadane przez Basię w twarz, otworzyły mu się wskutek szamotania się z Nowowiejskim, a następnie wskutek jazdy ze zwieszoną głową, więc straszny wachmistrz miał o nim staranie, aby nie umarł przed przybyciem do Raszkowa i nie udaremnił zemsty. Młody Tatar chciał zaś umrzeć, wiedząc co go czeka. Najprzód postanowił się zamorzyć głodem i nie chciał przyjmować pokarmów, lecz Luśnia podwładał mu zaciśnięte zęby nożem i wlewał przemocą do ust gorzałkę i moldawskie wino, zaspane startym na proch sucharem. Na popasach oblewał mu też twarz wodą, aby rany w oku i w nosie, na których podczas jazdy siadały gęsto muchy i bąki, nie poczęły gnici i nie przypałyły o zbyt wczesną śmierć nieszczęsnego junaka. Nowowiejski nie mówił do niego przez drogę; raz tylko na początku podróży, gdy Azja za cenę swej wolności i życia, obiecywał wrócić Zosię i Ewkę, porucznik rzekł mu:

— Łeżesz psie! Sprzedałeś obie do Stambułu kupcowi, który je odprzeda tam na bazarze.

I wnet postawiono mu do oczu Eliaszewicza, który powtórzył mu wobec wszystkich:

— Tak jest, effendi! sprzedałeś ją, sam nie wiesz komu, a Adurowicz sprzedał siostrę bagadyra, chociaż była już z nim ciężarna...

Po tych słowach zdawało się przez chwilę Azji, iż Nowowiejski pokruszy go natychmiast w swoich strasznych rękach; więc potem, gdy już utracił wszelką nadzieję, postanowił doprowadzić do tego młodego olbrzyma, aby go zabił w uniesieniu, i oszczędził mu tym sposobem przyszłych mąk; że zaś Nowowiejski, nie chcąc go spuszczać z oczu, jechał tuż przy nim, ów przeto począł się chępcie okropnie i bezwstydnie wszystkim, czego dokonał. Mówił, jak zarzezał starego Nowowiejskiego, jak Zosię Boską miał w namiocie, jak nasycił się jej niewinnością, jak wreszcie darł jej ciało pułką i kopał ją nogami. Nowowiejskiemu pot w gęstych kroplach spływał po bladej twarzy; słuchał, nie miał siły, nie miał chęci odjechać; słuchał chciwie, ręce mu drgały, ciało wstrząsały konwulsje, lecz panował nad sobą i nie zabijał.

Zresztą Azja, dręcząc nieprzyjaciela, dręczył i sam siebie, bo własne jego opowiadania przywoływały mu na myśl dzisiejszą niedolę. Oto niedawno jeszcze rozkazywał, żył w rozkoszy, był ulubieńcem młodego kajmakana, a teraz jechał do końskiego grzbietu przywiązany i jedzon żywcem przez muchy, na straszną śmierć! Najlżej mu teraz było, gdy z bólu, ran i zmęczenia omdlewał. Przytrafiało się to coraz częściej, tak, że Luśnia począł się obawiać, czy go żywym dowiezie. Lecz jechali dniem i nocą, tyle tylko koniom wypoczywając, ile było koniecznie potrzeba — i Raszków był coraz bliżej. Rogata dusza tatarska nie chciała jednak opuścić sturbowanego ciała. Natomiast przez ostatnie dni był w ciągłej gorączce, a chwilami zapadał w ciężki sen. Nieraz w tej gorączce lub śnie marzyło mu się, że jest jeszcze w Chreptowie i że razem z Wołodyjowskim ma ruszyć na wielką wojnę; to znów, że odprowadza Basię do Raszkowa, to znów, że ją porwał i ma ją w swoim namiocie; czasem widywał w malignie bitwy i rzezie, w których jako hetman polskich Tatarów, wydawał z pod buńczuka rozkazy. Lecz przychodziło przebudzenie, a z niem przytomność; wówczas otworzywszy oczy, spostrzegał twarz Nowowiejskiego, Luśnię, hełmy dragonów, którzy już pozrzucał baranie czapki koniuchów — i tę całą rzeczywistość tak straszną, że właśnie wydała mu się zmorą senną. Każdy ruch konia przeszywał go bólem, rany piekły go coraz bardziej i znów mdlał, a trzeźwiony cucił się, by zapaść w gorączkę, z niej w sen — i znów się obudzić.

Były chwile, w których wydawało mu się niepodobieństwem, by on, taki nędzarz, miał być Azyą, synem Tuhay-beya, i by jego życie, nadzwyczajnych zdarzeń pełne, które jakieś wielkie przeznaczenia zdawało się zapowiadać, miało skończyć się tak prędko i tak strasznie.

Czasem przychodziło mu także do głowy, że zaraz po męce i śmierci pójdzie do raju, ale sam niegdyś wiarę chrześcijańską wyznawał i żył długo między chrześcijanami, więc brał go strach na myśl o Chrystusie. Ten nie będzie miał dla niego miłosierdzia; gdyby zaś prorok był od Chrystusa mocniejszy, toby go w ręce Nowowiejskiego nie wydał. Być może jednak, że prorok okaże nad nim jeszcze miłosierdzie i wymie z niego duszę, nim go męką zmorzą.

Ale tymczasem Raszków był tuż. Wjechali w kraj skalisty, bliskość Dniestru oznajmujący. Azya pod wieczór wpadł w stan półgorączkowy, półprzytomny, w którym mary mieszały się z rzeczywistością. Więc owo zdawało mu się, że przyjechali; że stają, że słyszy koło siebie powtarzany wyraz: „Raszków, Raszków!” Następnie zdało mu się, że słyszy odgłos siekier, rąbiących drzewo.

Wtem poczuł, że mu głowę ochlustywają zimną wodą, a potem długo i długo leją w usta gorzałkę. Wtedy ocknął się zupełnie. Noc była nad nim gwiaździsta, a tuż koło niego migotało kilkanaście pochodni. Do uszu jego doszły słowa:

— Przytomny?

— Przytomny. Patrzy rozumnie...

I w tej chwili ujrzał nad sobą twarz Luźnia.

— No, bratku — mówił wachmistrz spokojnym głosem — czas na cię!

Azya leżał na wznak i oddychał dobrze, albowiem ramiona miał wyciągnięte po obu stronach głowy, przez co rozszerzona pierś jego poruszała się swobodniej i nabierała więcej powietrza, niż wówczas, kiedy leżał przykępowany do grzbietu bachmata. Rękoma nie mógł jednak poruszać, bo były przywiązane nad głową do dębczaka, idącego wzdłuż jego pleców, i okręcone umaczaną w smołę słomą. Tuhay-beyowicz domyślił się zaraz, dlaczego to uczyniono, lecz w tej chwili spostrzegł i inne przygotowania, które zwiastowały, że męka jego będzie długą i okropną. Oto od połowy ciała aż do stóp był rozebrany — i uniósłszy nieco głowy, ujrzał między swymi nagimi kolanami świeżo obrobione ostrze pała. Grubszy koniec tego pała oparty był o pień drzewa. Od każdej nogi Azyi szedł powróż, kończący się orczykiem, do którego przyprężony był koń. Azya przy blasku pochodni dojrzał tylko zady końskie i stojących nieco dalej dwóch ludzi, którzy widocznie trzymali konie przy pysku.

Nieszczęsny junak objął te przygotowania jednym rzutem oka, potem, spojrzawszy niewiedomo dlaczego ku górze, dostrzegł nad sobą gwiazdy i błyszczący sierp księżycy.

— Będą mnie nawlekać! — pomyślał.

I zacisnął zaraz zęby tak silnie, że aż kurcz chwycił go za szczękę. Pot wystąpił mu na czoło, a jednocześnie uczyniło mu się zimno w twarzy, bo krew z niej uciekła. Potem zdało mu się, że ciało jego leci i leci w jakąś niezgłębiąną przepaść. Na chwilę stracił świadomość czasu, miejsca i tego, co się z nim dzieje. Wachmistrz podważył mu zęby nożem i znów począł lać gorzałkę w jego usta.

Azya krztusił się i wypluwał palący płyn, lecz musiał go także i polukać. Wówczas wpadł w dziwny stan: nie był pijany, przeciwnie, nigdy rozeznania jego nie było jaśniejsze, umysł bystrzejszy. Widział, co się dzieje, rozumiał wszystko, tylko ogarnęło go jakby nadzwyczajne podniecenie i jakby niecierpliwość, że to wszystko trwa tak długo i nic się jeszcze nie rozpoczyna.

Wtem obok dały się słyszeć ciężkie kroki i stanął przed nim Nowowiejski. Na ten widok zadygotały w Tatarze wszystkie żyły. Luźni nie bał się, zbyt nim pogardał, ale Nowowiejskim nie pogardał, ba! nie miał za co; natomiast każde spojrzenie na jego twarz napędzało duszę Azyi jakimś zabobonnym strachem, wstrętem, ohydą. Pomyślał sobie w tej chwili: „Jestem w jego mocy i boję się go!” — a było to tak straszne uczucie, że pod jego wpływem włosy wyprężyły się na głowie Tuhay-beyowicza.

A Nowowiejski rzekł:

— Za to, coś uczynił, w męce zginiesz!

Lipek nie odrzekł nic, tylko począł sapać głośno.

Nowowiejski usunął się na bok, nastała cisza, którą przerwał Luźnia:

— I na panią podniosłeś rękę — rzekł ochrypłym głosem — ale pani teraz już u pana w komorze, a ty w naszych rękach! Przyszedł twój czas!

Od tych słów akt męki dla Azyi już się rozpoczął. Oto straszny ten człowiek w godzinę śmierci dowiadywał się, że zdrada jego i wszystkie okrucieństwa na nic się nie przydały. Gdyby choć Basia zmarła w drodze, miałby tę pociechę, że nie będąc jego, nie będzie niczyją. I tę to pociechę odjęto mu teraz właśnie, gdy ostrze pała było o tókieć odległe od jego ciała. Wszystko na próżno! Tyle zdrad, tyle krwi i tyle bliskiej kary — za nic! za nic zupełnie!... Luźnia ani wiedział, o ile cięższą uczyniły śmierć Azyi te słowa: gdyby był wiedział, byłby je powtarzał przez całą drogę.

Lecz teraz nie było już czasu na duszną zgryzotę, bo wszystko musiało ustąpić w obec egzekucji. Luźnia pochylał się i wzięwszy w obie ręce biodra Azyi, tak, aby mógł nimi kierować, zawołał na ludzi, trzymających konie:

— Ruszaj! a powoli, razem.

Konie ruszyły: wyprężone sznury pociągnęły za nogi Azyi. Ciało jego sunęło się przez mgnienie oka po ziemi i trafiło na zadzierzyste ostrze. Wówczas ostrze poczęło się w nim pograżać i jęło się dźgać coś strasznego, coś przeciwnego naturze i człowieczym uczuciom. Kości nieszczęśnika rozstępowały się, ciało darło się na dwie strony; ból niewypowiedziany, tak straszny, że graniczący niemal z potworną rozkoszą, przeniknął jego jestestwo. Pał pograżał się głębiej i głębiej. Tuhay-beyowicz zwarł szczęki, wreszcie jednak nie wytrzymał — zęby jego wyszczerzyły się okropnie, a z gardzieli wydobył się krzyk: A! a! a! — do krakania kruka podobny.

— Wolno! — skomenderował wachmistrz.

Azya powtarzał swój straszny krzyk coraz szybciej.

— Kraczesz? — spytał wachmistrz.

Poczem krzyknął na ludzi:

— Równo! stój! Ot, i już! — dodał, zwracając się do Azyi, który umilkł nagle i tylko rzeźił głucho.

Szybko wyprężono konie, zaczęto podniesiono pał, gruby jego koniec spuszczone w umyślnie przygotowany dół i poczęto obsypywać go ziemią. Tuhay-beyowicz patrzył już z wysoka na tę czynność. Był przytomny. Straszliwy ten rodzaj kary był tem straszniejszy, że ofiary, nawleczone na pał, żyły czasem przez trzy dni, Azyi głowa zwisała na piersi, wargi jego poruszały się, mlaszcząc jakby coś żuł i smakował; czuł teraz wielką omdłość i widział przed sobą jakby niezmierną białawą mgłę, która, niewiedomo dlaczego, wydawała mu się okropną, ale w tej mgle rozeznawał twarze wachmistrza i dragonów, wiedział, że jest na palu, że ciężarem ciała obsuwa się coraz głębiej na ostrze; zresztą począł drętwieć od nóg i stawał się coraz nieczulszy na ból.

Chwilami ciemność przesłaniała mu tę okropną białawą mgłę; wówczas mrugał swoim jedynym okiem, chcąc patrzeć i widzieć wszystko aż do śmierci. Wzrok jego przechodził ze szczególną uporczywością z pochodni na pochodnię, bo wydawało mu się, że koło każdego płomienia tworzy się jakby tęczowe kolisko.

Lecz męka jego nie była skończona; po chwili wachmistrz zbliżył się do pała ze świadrem w rękę i zawołał na stojących:

— Posaďte mnie!

Dwóch silnych chłopów podniosło go ku górze. Azya począł patrzeć na niego z bliska, mrugając ciągle, jakby chciał poznać, co to za człowiek wspina się aż do jego wysokości. Tymczasem wachmistrz rzekł:

— Pani wybiła ci jedno oko, a ja sobie ślubowałem, że ci wywiercę drugie.

I to rzekłszy, zapuścił ostrze w żrenicę, zakręcił raz i drugi, a gdy powieka i delikatna skóra, otaczająca oko, owinęły się już naokół skrętów świadra — szarpnął.

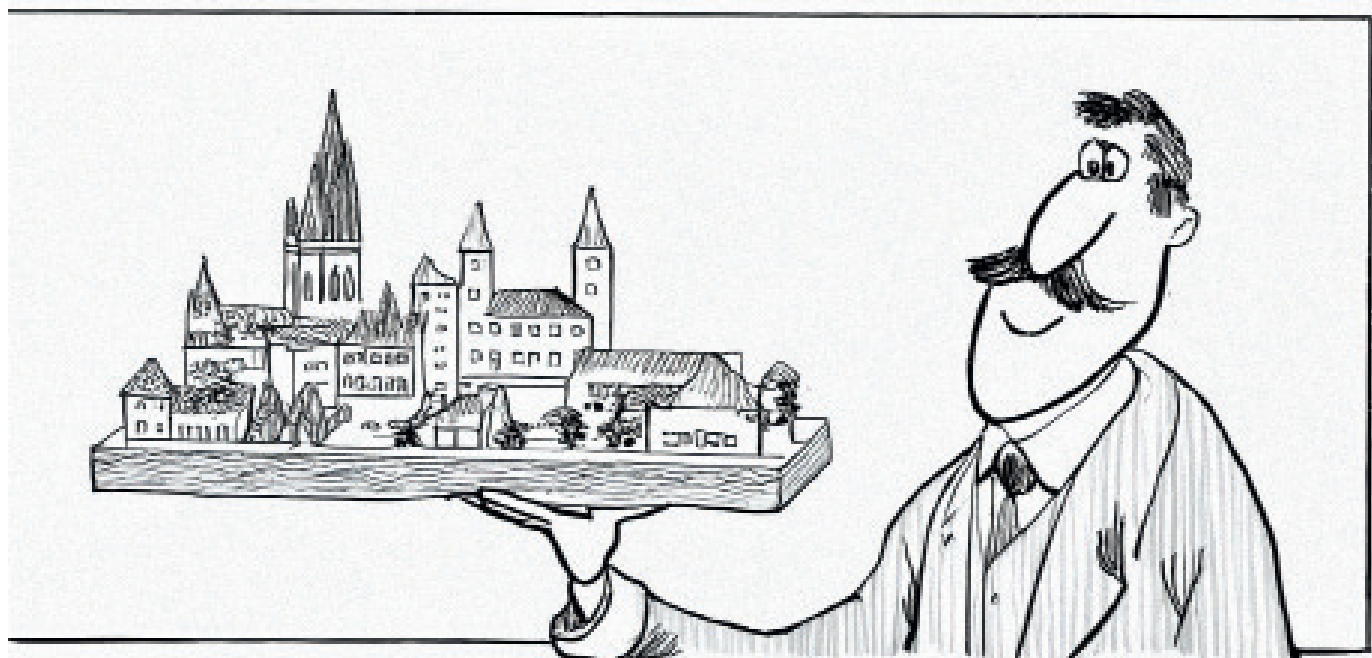
Wówczas z obu jam ocznych Azyi wypłynęły dwa strumienie krwi i płynęły jakby dwa strumienie łez po jego twarzy.

Twarz sama zbiała i stawała się coraz bielsza. Dragoni poczęli gasić w milczeniu pochodnie, jakby wstydząc się, że światło oświeca dzieło tak okropne — i tylko od księżycowego sierpa szły srebrne, lecz niezbyt jasne blaski na ciało Azyi. Głowa jego pochylała się zupełnie na piersi, tylko przywiązane do dębczaka i owinięte smolną słomą ręce sterczały ku górze, jakby ten syn Wschodu wzywał zemsty tureckiego półkسیężca na swych oprawców.

— Na koń! — rozległ się głos Nowowiejskiego.

Przed samem wsiadaniem wachmistrz zapalił jeszcze ostatnią pochodnię owe wzniesione ręce Tatara, poczem oddział ruszył ku Jampolowi, a wśród gruzów Raszkowa, wśród nocy i pustki, został tylko, na wysokim palu, sam Azya, syn Tuhay-beya — i świecił długo...

|| ...nawet jeśli sytuacja tak wygląda, to nie ma się z czego śmiać



Trzask prask i...

(o tym jak prezydent – marszałka...)

„A gdy obaczy, że się pacholek uwaha z mieczem i umorduje, toż dopiero jako znowu nań trzask prask zaskakując bije, jako ten który jest poskoczny...”

Uwahany szermierz

Ten cytat pochodzi z „Ksiąg Hetmańskich” Stanisława Sarnickiego z 1574 roku. Dzieło opisuje staropolską sztukę walki, a przede wszystkim różne style szermierki. Oto doświadczony szermierz wykorzystuje moment zmęczenia przeciwnika, aby zaskoczyć go szybkim atakiem.

„uwaha z mieczem i umorduje” – „uwaha” oznacza wahać się, być niezdeterminowanym; „umorduje” to zmęczy się. Zatem: przeciwnik staje się niepewny i wyczerpany.

„trzask prask zaskakując bije” – „trzask prask” to onomatopeja oddająca dźwięk szybkich, gwałtownych uderzeń; „zaskakując bije” to niespodziewany atak.

„jako ten który jest poskoczny” – „poskoczny” oznacza zwinny, szybki w ruchach. Innymi słowy – skuteczny szermierz.

Sarnicki podkreśla znaczenie cierpliwości i obserwacji w szermierce. Doświadczony szermierz nie atakuje od razu, lecz czeka na moment, gdy przeciwnik się zmęczy i uśpi swoją czujność. W naszym przypadku – pewność siebie. Wtedy, ten drugi szermierz, pan Piotr Krzystek, wykorzystując swoją zwinność, wykonał szybki, zaskakujący atak i odniósł zwycięstwo. W naszym przykładzie – niczym gajowy Marucha, ze swojego lasu prezydent przepędził marszałkowskiego szabrownika, który w mieście chciał mu teatr budować. Bo miał na to pieniądze? A przynajmniej mieć miał!

Oto lekcja filozofii walki – jak cierpliwością i obserwacją wybrać najlepszy moment do ataku.

Zmęczenie przeciwnika...

W naszym przypadku, prezydent miasta wykazał się dobrą znajomością... ornitologii. **Wie, jak zapolować na głuszcza.** A co ważniejsze – kiedy skuteczne to polowanie przeprowadzić. Przypomnę...

Tokowanie głuszca (*Tetrao urogallus*) to widowiskowy i złożony rytuał godowy, który odbywa się wiosną, zazwyczaj od marca do maja. Jest to kluczowy element rozrodu tego gatunku i zarazem jedno z najbardziej fascynujących zjawisk w świecie ptaków leśnych. Głuszcze tokują, a to o perspektywach, o możliwościach, o szansach, celach, o ważnych, słusznych, pożytecznych i cennych... kwestiach. **Ważnych dla głuszców, nie dla lasu.** Tokują – pięknie. Wikipedia np. wskazuje na cztery fazy pieśni tokowej:

Kłapanie – seria stukotów przypominających uderzenia kijów lub kastanietów.

Trelowanie – szybka sekwencja dźwięków przypominających klekotanie.

Korkowanie – pojedynczy dźwięk podobny do wyciągania korka z butelki.

Szlifowanie – cichy, syczący dźwięk przypominający ostrzenie kosy.

Podczas fazy szlifowania samiec na krótko traci zdolność reagowania na bodźce zewnętrzne, co dawniej wykorzystywali myśliwi do podejścia do ptaka. Tę metodę wykorzystał także Prezydent Miasta.

Tokowanie rozpoczyna się przed świtem, gdy samce zajmują swoje miejsca na drzewach, zwane „zapadami”. W miarę upływu czasu schodzą na ziemię, gdzie kontynuują swoje pieśni i prezentacje. W ciągu jednego poranka samiec może powtórzyć swoją pieśń nawet 200 razy. A nasz? – oj, lubi, ten to lubi się powtarzać. Robi to w studiach radiowych, przed kamerami blogerów internetowych, a najchętniej – przed szpalerkami zachwyconych pracowników. I na sowim FB!

Podczas toków samce prezentują swoje upierzenie: rozkładają wachlarzowaty ogon, opuszczają skrzydła, stroszą pióra i wyciągają szyję. Ich brwi (tzw. róże) stają się intensywnie czerwone, a pióra na piersi połyskują metalicznymi barwami.

Samice obserwują prezentacje samców i wybierają partnera na podstawie jego kondycji, pieśni i wyglądu. Głuszcze jest gatunkiem poligamicznym; dominujący samiec może kopulować z kilkoma samicami. Po kopulacji samce nie uczestniczą w wychowie potomstwa. Ups... Ale to już inny temat...

W okresie toków samce mogą wykazywać agresywne zachowania wobec rywali, a czasem nawet wobec ludzi, tracąc naturalną płochliwość.

Jak było w naszym, szczecińskim przypadku? Rzeczniczka prasowa urzędu uspokoiła mnie odpowiedzią na pytanie o koszty, jakie ponieśliśmy w związku z tokowaniem pomysłu: Kwartał Kultury.

Urząd Marszałkowski nie poniósł żadnych kosztów związanych z Kwartałem Kultury, ponieważ koncepcja miała charakter wstępnej wizji, która stała się przyczynkiem do dyskusji o przyszłości remontu i rozbudowy siedziby Muzeum Narodowego oraz Teatru Współczesnego.

Teatr Współczesny nie jest jednostką Samorządu Województwa, w związku z tym Urząd Marszałkowski Województwa Zachodniopomorskiego nie ingeruje w jego artystyczny profil.

Za darmo

Zapominała jednak pani Gabriela Wiatr, że ileś osób przez wiele miesięcy myślało, koncipowało, szkicowało, planowało, obliczało, referowało, spotykało się, opiniowało, zlecało ekspertyzy, uzasadniało je, występowało na forach, w mediach – ZA DARMO??? A może jeszcze i po godzinach pracy, z samarytańskim uśmiechem na twarzy, **pro publico bono**? Ba! – nie można wykluczyć, że nawet dopłacali do tego „nic nie robienia” – jak sugeruje pani Rzeczniczka, tego „nic niekosztującego tokowania”, inwestując, jednakże – o, podli! – w bezpłatne tokowanie swoje nadzieje na jakąś posadkę, pozycję, możliwości, pole do popisu? W przyszłości!

Na szczęście... Na szczęście wytrwani łowcy wiedział, kiedy przypada koniec kwietnia i początek maja. Data efektowej katastrofy. I lupnęło. Cóż za poruta!!

Prezydent ogłosił swoją decyzję o lokalizacji nowego teatru w sposób zaskakujący najbardziej przebiegłych zwiadowców. Na sekundę przed początkiem Wielkiego Majowego Weekendu. Marszałek nawet bańki z siebie nie puścił po zatopieniu wizji jego kulturalnego **metro-polis**, z wielką salą, powiedzmy – bankietową albo szkoleniową, o powierzchni równej całemu trzy scenicznemu teatrowi. A takiej Sali Próżności Szczecin nie ma. Przykład majowego Kongresu Morskiego wręcz wbija w fotel obserwatorów nie tylko wizję morskiego rozmachu Pomorza Zachodniego. Cały Teatr Polski został zamieniony w twierdzę opanowaną przez ochroniarzy i event-manów, którzy za – o! ho ho! – kwotę, zapewnił premierowi rządu pół godziny na wystąpienie, w którym po osiemdziesięciu latach polskiego Szczecina – ten poinformował świat, że **będziemy budowali statki!** Że morze będzie polskie.

Temat na dalece bardziej wnikliwą analizę. Może przy najbliższej okazji?

Kilka godzin przed kongresem zapytałem jednego ze szczecińskich, czołowych pracowników gospodarki morskiej sektora prywatnego.

– A po co? – zdziwiłem się słysząc odpowiedź na pytanie, czy będzie uczestniczył w kongresie. – My nie gadamy, my budujemy statki. Zaraz muszę jechać do stoczni. Przepraszam, espresso i gazowaną, ale szybko, poproszę! – uśmiechnął się do kelnerki i pochyliwszy się w moją stronę konfidencjonalnie zapytał: – Czy któryś z uczestników tego kongresu był kiedyś przy budowie statku?

Pytanie to, jak niespodziewanie puszczone kotwica, uderzyło o podłogę kawiarni.

I pojechał. W filiżance po niedopitej kawie, jak w statkowej zęzie, zostały opłki słów o morzu pięknym i groźnym, karmiącym, wzruszającym, o podstawie naszego zachodniopomorskiego bytu... A zaczniemy tę nową polską epopeję morską tak, jak w 1920 roku, od statku zdolnego nieść rzeczywiście polską banderę na maszcie. Wtedy był to stary bark, wysłużony i poobijany przez wszystkie morza świata, niezdolny już do pracy morskiej, ale jedyny, na który nas było stać i godny, by na jego maszcie powiewała polska bandera. To „Lwów”. Pierwszy polski żaglowiec szkolny.

My będziemy mieli nowy żaglowiec, od razu z przychówkiem mniejszych stateczków. Za coś, około miliarda!?

Alę przecież nie o pieniądze tu idzie, złoci moi!

Jeszcze dwa lata temu szczecińska szkoła „była-morska” odstąpiła, nie myślała o powrocie do szkolenia kadr morskich na żaglowcach. Bo po co? Komu te kadry miałyby być potrzebne? Kto po pięcioletnich studiach chce na długie miesiące płynąć w rejsy na koniec świata? A dziś – uskrzydleni przemową premiera rektorzy i kapitanowie znów zapadają w sen złoty i płyną z wiatrem, a nawet pod wiatr, na poduszce puchowej, we wzorki z misiami, latawcami, łopatkami i stateczkami...

*A a a, a a a,
były sobie statki dwa,
aaa, aaa...*

p.s. nie pytam, ile nas te pół godziny kosztowało? Premier, na szczęście, wyraźnie zaznaczył, żeby nikt sobie nie myślał, że on tu w ramach kampanii przedwyborczej przyjechał. Nie, absolutnie nie.

Natomiast rzeczywiście zapytam, wszyscy zapytajmy – jakimi gruszkami obrodzi nam morską wierzba, zapyłona podczas Kongresu Morskiego?

W numerze czerwcowym TVSiódemki chcemy tymi kwestiami zająć się nieco dokładniej.



Rzeczowa dyskusja

Wśród moich bliskich, pewną ich udręka, były „karteluski”.

- Oooooo! Nie wyrzucaj, bo tam coś ważnego mogłem zapisać... I upychałem te moje fiszkowe „raporty” - gdzie się dało, by po latach odnajdywać je ku zadumie, radości, stresowi, ale zawsze z wielkim sentymentem.

Dziś treści „kartuszek” łączę w całość ze współczesnością, oglądaną przez szybę Czasu, zmatowioną jego upływem. Ot, taki „porannik codzienny”.



Niemcy

– część czwarta

Gumieńce (druga połowa lat 60.)

Nikt tam nie był, ale każdy o ich dobrobycie słyszał. W zakamarkach świadomości tkwiło w nas przekonanie, że to Krzyżacy, odwieczne łobuzy, faszyci, mordercy, sprawcy największej hekatomby w dziejach ludzkości. Bywało, wchodziliśmy na strych domu moich Rodziców. Przez małe szczytowe okno, przy dobrej pogodzie można było dostrzec granicę. Lepiej rysowała się ta graniczna kreska oglądana z najwyższych gałęzi kasztanowca, na poniemieckim cmentarzyku przy ulicy Krakowskiej. Jak tam jest? Zastanawialiśmy się w kryjówce na zarastających zielskiem gruzach jakiegoś rozpadającego się zabudowania. Tam, w Niemczech. U tych Szwabów...

Ludzie mówili, że Niemcy są największymi bogaczami na świecie. Wzbogacili się na żydowskich majątkach, na zagrabionych dziełach sztuki i kosztownościach. Mordowali niewinne ofiary, delektując się kameralistyką Schuberta, wzniosłością Beethovena, głębią poezji Goethego itd., itp.

Gadali. Jak to ludzie. Zawsze gadają i gadać będą.

Refleksja pojawiła się później. Niemcy to społeczność, która znalazłszy się w specyficznym czasie, w określonych warunkach ekonomicznych, a przede wszystkim politycznych, przekształciła się w stado monstrów, nie-ludzi. **A gdyby w podobnych okolicznościach czasu i miejsca znaleźli się Słowacy, Holendrzy albo Islandczycy?**

A zakręć dziś globusem i trafiaj palcem w te miejsca na różnych kontynentach, gdzie w pełni kwitnie piekło, jakie jedni ludzie stwarzają innym. A mógłbyś wymienić miejsca, które są już na skraj wzajemnej zbrodni?

Szkielet wieloryba

(Plöwen, Pasewalk, osiedle Książąt Pomorskich 1979-1980)

Każdy chciał mieć niemiecki samochód, niemieckie radio, okulary, czytać *Sterna* i *Spiegla*, oglądać ich telewizję.

O, telewizja...

Do połowy lat 90. dostępne w Polsce telewizory nie były zrazu przystosowane do odbioru programów kodowanych w systemie PAL. Ale sygnal, przy odpowiedniej antenie, w dzielnicach Szczecina wystających ponad Śródmieście, był osiągalny. Obraz: czarno-biały. Aby na spółdzielczym domu zamontować antenę do odbioru niemieckich stacji, trzeba było uzyskać specjalne zezwolenie.

Udało mi się!

A wszystko zaczęło się w małej niemieckiej wiosce, kilka kilometrów od przejścia w Lubieszynie, gdzie w domu tamtejszego sołtysa znalazłem się dość przypadkowo; powiedzmy, że w roli tłumacza. Po drugim toaście, z już kredytem zaufania – podążyłem za znakiem, konfidencko przekazany mi przez gospodarza. Palcem wskazał schody.

- Komm schon, komm schon ...

Weszliśmy na piętro, a po małej drabince, przez właz w suficie – na strych gospodarskiego domu. Pod dachówką zobaczyłem roz-wieszony.... szkielet wieloryba. Po przyzwyczajeniu się wzroku do warunków świetlnych zweryfikowałem to pierwsze wrażenie. To nie waleń, a monstrualnie długa... antena telewizyjna! Ale jak wykonana! Robota jubilerska. Omal nie przykleknąłem z zachwytu. Gospodarz, tym samym palcem, którym przywiódł mnie na strych - wykonał kolejny ruch – palec przyłożył do ust.

- (...)

Oczywiście. Nawet na kole tortur nie powiem, co widziałem.

Władze NRD zabraniały i ścigały obywateli, którzy podglądali stacje zachodnioniemieckie. A robili to wszyscy, nawet partyjni bonzowie (może nawet przede wszystkim).

Taka antena kosztowała wtedy około 130 DEM. Ale jak taką zdobyć?

Zdołem, przewoziłem ją w częściach, w kilku kursach autem przez granicę. Dla zmylenia, za każdym razem przez inne przejście graniczne. Zmontowałem w mieszkaniu na osiedlu Książąt Pomorskich. Działała fantastycznie. Po zmierzchu należało ją wysunąć z dużego pokoju na balkon (jakby to było działko Navarony) i wycelować w kierunku nadajnika Helfterberg. A po zakończeniu oglądania – wciągnąć do pokoju.

Kiedy odebrałem oficjalną zgodę na montaż anteny na dachu – z ekipą fachowców weszliśmy na nadbudówkę. Cóż za widok na cały Szczecin. A jaki sygnał!

Antena zawisła, my, z technikami – zasiedliśmy przed telewizorem. Obraz – żyła.

- Żeby nie rdzewiała, żeby się na wietrze nie kręciła, żeby... żeby... - polska twórczość toastowa w pełnym rozkwicie.

Nad ranem, zapachnięte oczy zamykały się z piskiem powiek, wyschniętych od zachwyty nad jakością obrazu.

Po kilkugodzinnym śnie – pstryk, żeby się dalej cieszyć takim przywilejem. Nikt na osiedlu nie miał takiej anteny. Nikt. **Nawet... ja!**

Proszę? Tak, niestety, ja też jej już nie miałem. Na ekranie kineskopu (tak kiedyś nazywano ekran telewizora) – zobaczyłem tylko szarą, szumiącą, przeraźliwie złowrogą nicłość.

Wyskoczyłem na dach. Końcówka kabla koncentrycznego, łącząca odbiornik z... była anteną, powiewała na wietrze.

- Ale jak, skąd, dlaczego?

Łzy, złość, bezradność. Przecież kłódka nienaruszona, a wejście na dach jest możliwe tylko z mojej klatki schodowej. Kto ukradł mi największy skarb, moje cyklopowe oko multimedialne na cały świat? Czyli – Niemcy!

Milicja, administracja. Protokół, zeznania, wizja lokalna, rozmowy z sąsiadami. Ci, milczeli zgodnie i dostojnie. Do dziś nie wiem, jak to się stało, kto ukradł tę antenę?

Dziesięć lat później niemal identyczny dipol z dwiema setkami elementów raz jeszcze przewiozłem do Szczecina z pobliskiego Pasewalku. **Dzięki tej antenie cała Polska obejrzała legendarny, całonocny koncert odbywający się na całym świecie, a poświęcony tragedii Kurdów - Simple Truth.** Telewizyjna Jedynka otrzymała sygnał z tamtego wydarzenia dzięki antenie, którą zawiesiliśmy w wieżowcu RiTV na trzynastym piętrze. Co, jak i dlaczego? Rzecz niewiarygodna. Nie do opisan! Chyba, że przy następnej okazji.

Miłość z nienawiści

(początek lat 70. XX wieku)

O, wtedy to określenie zdecydowanie utraciło swoją ostrość. Tomku! Widzę, że od czasu do czasu dajesz znak, że zaglądasz na te strony. Sam opowiedz, jak jeździliśmy do Drezna i Berlina... Jak Włodek



Wartburg z końca lat 60. XX wieku w maju 2025 w Lößnitz.

nakręcał nas pomysłami biznesowymi, a koszulki, które tam woziliśmy, schodziły jak ciepłe bułki. Wystarczyło o piątej rano, wysiadłszy z nocnego pociągu stanąć przy ulicy wiodącej na dworzec w Dreźnie. Zakładaliśmy te koszulki Niemkom, a jeden z nas dłonie maczane w farbie układał tak, aby trafiły dokładnie na wysokość piersi podekscytowanej tym happeningiem performerki. Pięć marek – koszulka. Odcisk dłoni – gratis! Z kupionymi tam, tekturowymi, dyplomatkami – szczyt szyku i elegancji – wracaliśmy do Szczecina...

Wkraczaliśmy przebojem na rynek mocny i stabilny, rozpoznawalny i pożądany. Mercedes, volkswagen, philips... i my z naszymi koszulkami. **Mogliśmy tamtą gospodarkę powalić na kolana.** Ale urzekło nas wszystko co szwabskie, do niedawna jeszcze tak znienawidzone.

Każdy przedmiot, ślad, napis, gazetę, zdjęcia, książki, a już te drukowane szwabachą – dotychczas bezmyślnie niszczyliśmy. Strychy i piwnice instytucji, szkół, domów – opróżnialiśmy z szwabskiej zarazy. Dopóki jeden z drugim nie przejechał się garbusem...

Robert miał garbusa.

Nie wiem, skąd i jak. Ale miał.

Słyszało się, że szparagi, że plantacje truskawek, że można dorobić, ale jak zdobyć papiery i wizę... Poza tym – nikt z nas nie mówił po niemiecku. Na szczęście kolega miał kuzyna, którego szwagier, ożenił się z siostrą bratanicy wujka Józefa...

Każdy z Czytelników opowie więcej i ciekawiej o tej polsko-niemieckiej symbiozie, o miłości z nienawiści, o zmieniającej się skali wartości, o weryfikowaniu ocen i waloryzowaniu doświadczeń.

Sąsiada się nie wybiera. Sąsiada się ma. A że co chwilę pojawiały się impulsy podgrzewające powojenne rozliczenia, no to rozliczeń dokonywano. Tu ZBOWiD-owcy (Związek Bojowników o Wolność i Demokrację), tam zatrudnieni i wywiezieni na przymusowe roboty, wreszcie ofiary najcięższe – więźniowie obozów. Dyskusje na te tematy bardzo ludzi polaryzowały.

Jednak życie gnało nieustannie naprzód. Kiedy z taśm produkcyjnych fabryk ford czy opla zjeżdżały nowe modele aut, to wtedy, ich starsze i używane egzemplarze szybko pojawiały się na polskich ulicach. Te z wolna upodobniały się do arterii berlińskich czy monachijskich. Nic w Polsce nie sprzedawało się tak dobrze, jak produkty *made in Germany*. Te z NRD także, do czasu, kiedy rdzewiejące „w oczach” blotniki wartburgów zaczęliśmy wymieniać na... ich plastikowe atrapy.

Prosperita jaką niemiecki złom samochodowy wniósł do budżetów polskich rodzin to fenomen w skali światowej. I kto zniszczył ten tak świetnie kwitnący biznes? Stare warszawy i победы oraz zaporozcze zamieniały się na śmigające jetty i passaty. Emocje sięgały zenitu, gdy ogłaszano wyniki cokuwartalnego losowania aut. I... któregoś dnia, pod koniec lat 60. moja Matka wygrała wartburga. Przeliterować? Nie? Wartburga, ale tego nowego, kwadratowego, z tym specyficznym dźwiękiem z rury wydechowej i smrodem spalanej mieszanki paliwowej. Wartburga... Samochodu bogaczy, szczęściarzy, prawie-Niemców.

Trudno wskazać dwa narody, które nie mogły żyć bez siebie w takim samym stopniu, jak razem ze sobą.

Poniedziałkowa telewizja nocna

(1970- 1994) i dziś

Kto pamięta „Okręt” Buchheima? Wojna widziana okiem Niemca. Pamięć wyrwy kolejne tytuły. Wcześniej nikogo z nas nie interesował obraz wojny widziany okiem Niemca. Nie zastawialiśmy się nad tym, czy Niemcy są w stanie ocenić sprawiedliwie i uczciwie samych siebie? Poza tym – to było oczywiste - w Niemczech żyją sami hitlerowcy!

Wtedy, na początku lat 70. gdzieś na obrzeżach świadomości stuknęło do jej pancernego bunkra ostrzeżenie: przecież ci wszyscy Niemcy, których po otwarciu granicy z NRD u nas spotkamy, ci, którzy mają 50-70 lat, byli gestapowcami, wermachtowcami, ludźmi z Kriegsmarine czy Luftwaffe. Albo Hitlerjugend. No przecież widać na filmach i zdjęciach te nieprzeliczone tłumy maszerujących mundurów! One nie przepadły! **One zamienione zostały na garnitury.**

Ale kwestie te nigdy nie przebiegały się na pierwsze strony gazet czy dyskusji społecznej. Liczyła się poprawność polityczna. Słynne „wybaczymy i prosimy o wybaczenie”, a potem ten gest kanclerza Brandta, który uklęknął przed Pomnikami Bohaterów Getta. Nie umieliśmy sobie



z takimi sytuacjami poradzić. Przez całe lata logika na użytek polityki wewnętrznej była prosta: Niemiec – hitlerowiec.

Później, słynne, sfalszowane - jak się okazało - pamiętniki Hitlera ponownie zwróciły uwagę na nazistowską przeszłość Niemców. Ukazały zróżnicowanie tamtejszego społeczeństwa. Obok zdecydowanych zwolenników pełnej jawności oraz weryfikacji przeszłości Niemiec i Niemców rodziła się szalańcza jak ten fałszerz pamiętników Führera. I dopiero wtedy, po roku 1983, pierwszy raz wyraźnie odczułem, że niektórzy moi niemieccy znajomi zaczęli milcząco wypierać ślady przedwojennej buty, niczym nieuzasadnionej wyższości narodu niemieckiego nad innymi ludźmi. Słowo: faszyzm nabierało nowego znaczenia, ale przede wszystkim zyskiwało różne oblicza. Czy faszyzm to wyróżnik tylko Niemców? Z drugiej strony słyszałem - my jesteśmy, do cholery, już innym pokoleniem! – wołali młodzi zza Odry.

My także zaczęliśmy rozróżniać pewne pojęcia. Rozumieć ich pochodzenie. Nazim i faszyzm to nie jest to samo!

- Nie wiem, co robił mój ojciec, domyślam się jedynie, po braku wyrwanych z albumu zdjęć, że nie o wszystkim wiedzieliśmy. Nigdy z nim na te tematy nie rozmawiałem. On sam rozmowy o swojej młodości nie zaczynał. Żyliśmy w stanie pewnego napięcia, podminowania. Nie wiem, czy umiałbym przyjąć prawdę o ojcu. Nie wiem, jaka ona była. Może nic nie znacząca, może okrutna. Uznaliśmy milcząco, że ta część jego życia musi wygasnąć samoistnie.

- Ale jesteś funkcjonariuszem partyjnym. Nikt o przeszłość twoich bliskich cię nie pytał?

- A kto miałby pytać? Każdy z nas miał ojca. Każdy miał te sam problem. Albumy rodzinne z wrwanymi zdjęciami.

To rozmowa z połowy lat 80. Z politykiem, do dziś aktywnym, już na emeryturze, ale niezmiennie wyrazistym. To nienazywanie, niedotykanie, obchodzenie pewnych pojęć, postaw, tropów niczego nie uporządkowało. Nie wyjaśniło. Nie rozgrzeszyło, ani nie oskarżyło. I tylko ostrość niedysięszych sformułowań, wolno traciła swoją wyrazistość.

Groby

(ostatnie 30 lat)

Wyjeżdżam z polnej drogi na główną ulicę w wiosce. Każdy kto tutaj przyjeżdża mija niewielki cmentarz, po lewej stronie drogi. Właśnie dwa dźwigi i pneumatyczny wysięgnik, z koszem dla pilarza przycinającego gałęzie ostrożnie wjechały na teren cmentarza. Jego mała, skrajna część to łącznie kilkanaście pielęgnowanych grobów, tych z ostatnich lat. Cała reszta – to jakby namiastka parku, w kilku miejscach zachowały się skupiska nagrobków z odległej przeszłości. Jakby i tu ktoś wyrysował między cmentarną granicę. Ci Niemcy z tamtymi, także na cmentarzu, nie chcą mieć nic wspólnego?

W gruncie rzeczy pochówków już tutaj nie ma. Ale co jakiś czas odnawiana jest kapliczka, nieustannie strzyżone są trawniki. Wichury z ubiegłych lat powaliły kilka wysokich sosen.

- Chcą usunąć korzenie bez rozgrzebywania grobów.

- Uda im się?

Przez wiele dni karczyska sterczały pół metra nad ziemią. Któregoś dnia – zniknęły. Tak jak temat cmentarza.

Dlaczego o tym wszystkim piszę? Nie wiem. Po prostu – obserwowałem, mimochodem, całą tę sytuację. Oni dbają o swoje groby. Jak każdy, choć chyba nigdy świeczek tam nie widziałem... Czy tylko dlatego, że mieszkający tu protestanci i luteranie nie uznają tego zwyczaju? Oni z rzadka zapalają światła tylko z szacunku dla tych, którzy odeszli, a nie „za duszę zmarłego”. Jak u nas. My wypalamy tony ognia, bo lubimy świecidełka, a ładny kandelabr, długo palący się wkład olejowy, ozdobna bańka lampionu

– do tego ze dwie donice sezonowych kwiatów, obok sztuczne i coraz częściej – ledowe lampki ładujące się energią słoneczną – dowodzą, że nawet w kuli i pamięci po przodkach górujemy nad tymi zza Odry.

Oni natomiast włączają swoje telewizory głównie w okolicach północy, w poniedziałkowe wieczory. Pierwszy program niemieckiej telewizji ARD, gdy jeszcze miałem telewizor, kontynuował pasmo dokumentalnych filmów głównie odwołujących się do tematów związanych z niemiecką przedwojenną i wojenną przeszłością.

Genie telewizyjny dokument. Niemcy, nie są tak jak my, przywiązani do rocznic, obchodów, jubileuszy – realizują serie i cykle dokumentalne, nad którymi pracują wiele lat. Udało mi się poznać ich tok produkcji, budżety (!!!) tych realizacji, a przede wszystkim – klimat panujący w ekipie realizatorów, zaangażowanych przy poważnej produkcji dokumentalnej. A ta, zazwyczaj dotyczy okresu III Rzeszy.

Dlaczego nieustannie wracają do tamtych kwestii?

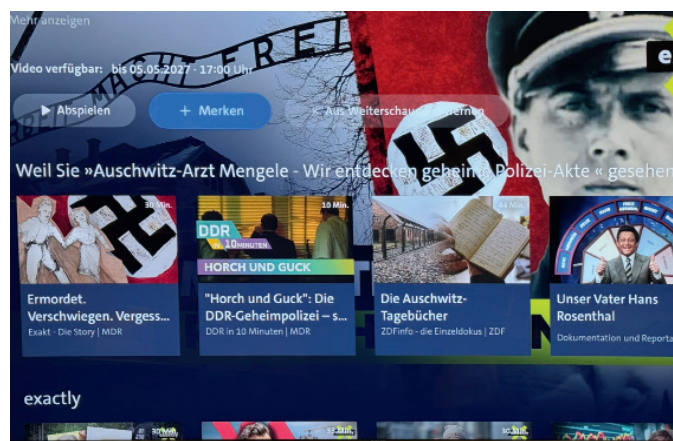
W jednym z felietonów napisałem niedawno:

„...mundury, swastyki, czołgi, trupie czaszki na czapkach... To nie tylko przestroga...”

Przeraziła mnie ta myśl. Wróciłem do lektury, do rozmów. Odnowiłem stare znajomości.

- Jest zapotrzebowanie na tę tematykę...? – zapytałem kolegę, z którym przed laty pracowałem w NDR Kiel.

- Tak, bo należy przestrzegać, wyjaśniać, ganić to, czego naród niemiecki się dopuścił...



- A jednocześnie utrwalane są w świadomości przede wszystkim nowego pokolenia widzów te sylwetki, mundury, heilowanie, te miny zadowolonych funkcjonariuszy służb czy władz...

Kilka dni temu przeczytałem, że członkowie NSDAP musieli wybrać jedną z form aktywności w bodaj siedmiu sektorach życia społecznego i kulturalnego. To był społeczny obowiązek. Skoro grasz na instrumencie musisz być członkiem orkiestry. Państwo absorbowało obywateli na wszystkie sposoby. I bez reszty.

W podobnych rozważaniach tak łatwo o uogólnienia. Każde uproszenie jest kuszące. Nie lubimy myśli dręczącej. Chcemy wiedzieć: co i jak? Ale nie da się na dłuższą metę tak postępować z ludzką naturą.

Oglądałem więc te filmy dokumentalne. Ich realizatorzy nieustannie zaskakiwali mnie pokazaniem ujęć, których nigdy wcześniej nie widziałem. Za chwilę o kilku najnowszych opowiem. Dziś są dostępne na platformach VOD. Doskonale wiem, jaka chemia rodziła się w głowie, gdy sam przeglądałem dziesiątki materiałów dokumentalnych, aż wreszcie trafiłem na ujęcia, które bezdyskusyjnie kwalifikowałem do mojego filmu. Jakbym na te ujęcia czekał. Jakby one specjalnie zostały kiedyś zarejestrowane, żeby potwierdzić moją, współcześnie formułowaną tezę. Zasoby archiwalne filmów i zdjęć z okresu drugiej wojny światowej są duże. Bardzo obszerne.

Nasi dokumentaliści potrafią w filmie osiągnąć kilka punktów kulminacyjnych. Suspensów. Kurtyn albo point. Niemcy z reguły prowadzą wręcz nudną narrację, uargumentowaną od tezy do dowodu. Eliminują wszelkie wątpliwości i niedomówienia. Nas interesuje panorama i epickość, oni koncentrują się na szczególe lub aspekcie. My działamy przez wrażenie, oni – przez wybicie zębów lub oka. Tak było, mówią. Tak mogło być - my mówimy. Chyba zbyt często.

Ale nieustannie nie wiem, czy rozliczanie, jakie oni uprawiają nie osiągnęło już poziomu „nasycenia” i **zaczyna się wyrażać, zamieniać w propagandę**. Tak. Mocne słowo. Nie mniej jak podejrzenie czy wręcz – nostalgia. Potrzeba, atawizm, genetyczne ukierunkowanie na *ordnung*?

Doktor Mengele

(kwiecień 2025)

Trudno o postać bardziej odrażającą.

Dlaczego nigdy nie został pociągnięty do odpowiedzialności?

Jaka tajemnica kryje się za jego ucieczką przed niemieckim wymiarem sprawiedliwości? Jaką „wartością” mógł być ten człowiek dla władz Argentyny, a potem Brazylii, że pozwoliły mu dożyć jego dni? Tam, w Argentynie, był sąsiadem Eichmanna, którego wywiad izraelski zdołał jednak wykraść i postawić przed skazującym go sądem. Mengele cieszył się spokojem. Pracował, w bodaj 1957 roku wystąpił do ambasady niemieckiej z wnioskiem w wydanie mu wizy turystycznej. Chciał odwiedzić swojego ojca.



Opis

Auschwitz-Arzt Mengele – Wir entdecken geheime Polizei-Akte | Doku | exactly

886

Polubienia

38984

Wyświetlenia

8 h

Temu

#Mengele

#auschwitz

#truecrime

#Mengele #auschwitz #truecrime

Noch 80 Jahre nach Kriegsende erfahren wir bisher unbekannte Details über einen der meistgesuchten Nazi-Kriegsverbrecher - Josef Mengele. Eine brisante Polizei-Akte aus Argentinien zeigt, wie gut der sadistische Nazi-Arzt im Exil geschützt ...**więcej**

Rozdziały

Wyświetli wszystkie



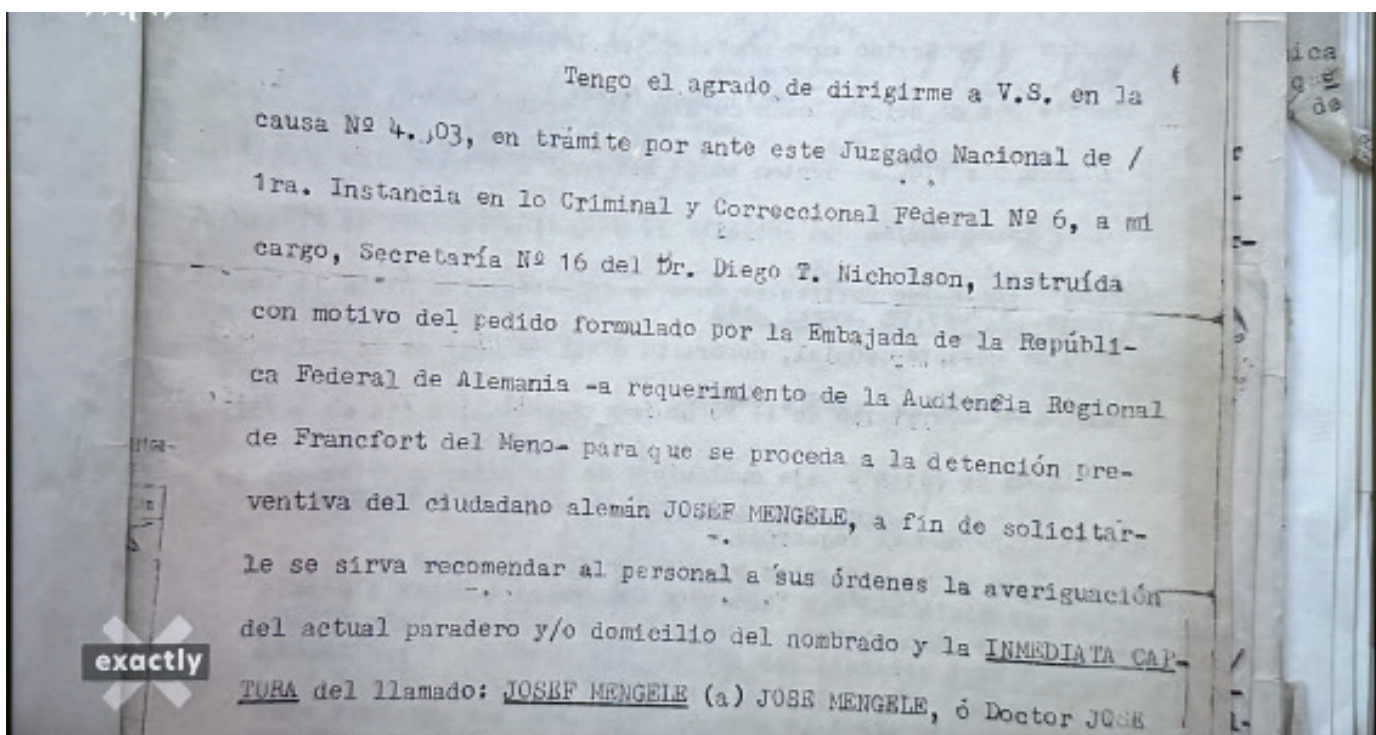
0:00



3:00



5:55





W 1959 roku – o czym świat dowiedział się z filmu dokumentalnego, władze niemieckie wystąpiły do Argentyny z wnioskiem o ściganie oprawcy z Auschwitz. Dopiero w 1959 roku! Ten, już w 1956 roku poleciał do Szwajcarii. Poślubił wdowę po zmarłym bracie, ale dłużej spokojnie nie mógł mieszkać w Argentynie. Przeniósł się na krótko do Paragwaju, a wreszcie osiadł w Brazylii.

Realizatorzy filmu, we współpracy z historykiem i dokumentalistą, Bogdanem Musiałem, przybliżają sylwetkę anioła śmierci. W obozie pracowało wielu lekarzy, ale takim potworem jak Mengele nie okazał się żaden z nich. Prace rozpoczął w lipskiej klinice, w 1936 roku. Kamera pokazuje budynek, dziś zaniedbany, opuszczony. Niesławny.

Ale reporterów interesuje odnaleziona po latach teczka z dokumentami wytworzonymi przez władze Argentyny na temat doktora Mengele. Ta teczka w tajemniczych okolicznościach zniknęła prawdopodobnie na początku lat 2000. Tylko jego teczka zniknęła. Inni triumfatorzy Zimnej Wojny, byli naziści (kilka – kilkanaście tysięcy osób, według różnych szacunków), spokojnie pracowali w fabrykach i instytutach, dzielili się z lokalnymi władzami wiedzą naukową, pomagali w tworzeniu argentyńskiej marynarki wojennej, wspierali badania naukowe z zakresu fizyki, lotnictwa, budowy rakiet, podboju kosmosu. Zimna Wojna, atakująca komunizm i blok państw socjalistycznych stała się kurtną bezpieczeństwa dla kreatur pokroju Mengele.

W Buenos Aires otrzymał piękny dom, w dobrej dzielnicy. Nie musiał zmieniać swojej powierzchowności, nazwiska, kryć się. Był aktywny w środowisku byłych nazistów.

Siedzący tyłem do kamery były pracownik służb specjalnych podaje reporterowi teczkę z dokumentami doktora Mengele. Teczka została utajniona już w 1959 roku, wkrótce po tym, jak RFN wstąpiła do Argentyny o wydanie im byłego mordercy dzieci.

Władze tego kraju, walczące z lokalnymi wpływami komunizmu, korzystały z doświadczeń nazistowskich w neutralizowaniu opozycji.

Autorzy serii programów „exactly” pokazali ujęcia ekshumacji szczątków doktora Mengele. Ujęcia dość drastyczne. Brak poszanowania dla kości. **To musi wzbudzić jakąś reakcję niektórych widzów.** Dlaczego nikt nie pomyślał, nie zastanowił się nad skutkami takich ujęć filmowych...? A może – zastanowił się, może to ja nie mam racji lub bronię tezy innej niż ktoś, kto tak właśnie bezceremonialnie dokonał aktu otwarcia grobu? A inny – sfilmował ten moment?

Granie na emocjach pobudza nasze atawizmy – wywołuje niekontrolowane reakcje, wynikające z (nie jestem specjalistą) już genetycznie zakodowanych wzorców postępowania, typowego dla naszej kultury i cywilizacji?

Dzieci wojny

(kwiecień-maj 2025)

Oglądałem ten film z uporczywą, wręcz paraliżującą myślą: jak w sytuacji bohaterów tej opowieści zareagowałyby moje wnuki? Ona miała 5 lat, on, jej brat 9. Przy drzwiach wejściowych ich mieszkania stał wózek dla lalek. Nagle – alarmy. 16 stycznia 1945 roku. Magdeburg. Wszyscy do schronów i piwnic. Wózek, trzeba zabrać wózek z lalkami!

Dwadzieścia nalotów. Miasto zamienione w gruzy.

- Kamień nie ostatek się na kamieniu...

Ale lalki ocalały.

Takie same sytuacje przeżywały dzieci na całym świecie. W Polsce - w 1939 roku. Coś niewyobrażalnego w skali i skutkach! Potem Dania i Norwegia. Chwilę później Holandia, Belgia, Luxemburg. I początek okupacji Francji.

Dla dziecka, bo o dziecku mówimy, dla młodego człowieka nieświadomego swojej narodowości, dziś dojrzałej kobiety, te lalki są kluczem do... koszmaru dzieciństwa.

Nie rozumiała wojny, nie wiedziała, o co w niej idzie. Dlaczego ich mieszkanie przestało istnieć? Dlaczego mama płacze, ojciec trzyma głowę w dłoniach? Ale lalki chciały spać. No i trzeba było im opowiedzieć bajkę, przykryć kołderką, choć własna przestała istnieć. Na szczęście były ramiona mamy. Był tata...

16 stycznia była mroźna pogoda. Spadł śnieg.

- Pamiętam, że wszystko płonęło – mówi Rolf. – Rodzice wynosili jakieś rzeczy z płonącego domu. Wynieśli wózek z lalkami mojej siostry, Brigitte



Co ja bym zrobił, jak zareagowałbym na nalot? Nigdy wcześniej tych kwestii nie rozważałem... Dziś znów wstałem o drugiej w nocy, bo poziom podenerwowania nie pozwalał mi dłużej spać. Cholerna wyobraźnia! Żeby w pierwszej kolejności to właśnie ją szlag jasny trafił.... Poszedłem nad morze. Zimno. Cisza. Prawie jak na cmentarzu. Nagle – lekki szelest. Jest. Przyszła. Moja stara znajoma. Nic się nie starzeje. Od tylu lat – smukła, zwinna, beczelna i wyzywająca. Moja sarenka.

I tak co kilka dni. Od czasu Ukrainy... Chodzę po domu, robię kawę o drugiej piętnaście, próbuję coś czytać. Żadnego radia! Nie chcę słyszeć żadnych wiadomości!

Międzyzdroje/Misdroy

(lipiec 2018)

Cudowna pogoda. Jestem z Olem, który jeszcze leżakował wtedy i nawet najwspanialsze zamki budowane na brzegu nie były w stanie zmienić pory jego snu.

Ale przedtem dwa, trzy tyki rosół. Olo siadł mi na kolanach, ja usadowiłem się na piasku, osłaniam jego buzię przed wszędobylskim słońcem. Olo połyka zawartość pierwszej łyżki, nad drugą już się sennie zastanawia, a trzecią zatrzymuje w buzi... I... śpi. Tak ciężko i głęboko, że aż ramię, na którym spoczywa jego główka z trudem utrzymuje ten ciężar jego wrażeń z przedpołudniowych skoków i beztrudnej zabawy z Leo... W porządku, chwilę wytrzymam, przecież nie mogę go rozbudzić, bo reszta dnia będzie nie do zniesienia.

Kwadrans. Olo śpi. Ja cierpnę. Muszę się lekko obrócić, żeby osłonić wnuka przed palącym słońcem. Myślę... jak tu usiąść inaczej? No, tak, nie zabrałem parasola. A słońce niemal w zenicie. Mogę go jedynie sobą osłonić, garbiąc się bardziej niż... „niż twój Ojciec” ...

Pół godziny, za chwilę czterdzieści minut. Olo śpi.

Z tyłu słyszę matkę z dwojgiem chłopców. Niemcy. Ten młodszy również szykuje się, do drzemki. Kobieta, niespełna trzydziestoletnia zauważyła mnie. Wymieniamy się spojrzeniami, uśmiechem. Ona co chwilę się odwraca w moją stronę. Pokazuje głowę, żeby Ola położyć na kocu. Ja uśmiecham się, ok, nie trzeba, wytrzymam, żeby go tylko

nie rozbudzić. Mija pięćdziesiąt minut. Nie czuję rąk, ramion, nóg, słońce zaczyna wypalać dziury w moich plecach. Kobieta stanęła przede mną, tyłem do słońca, trzy, cztery sekundy cienia... Kiwa głową. Woła swojego młodszego. Bierze go na ręce, obchodzi mnie i... siada z tyłu, za mną. Jak dotknięcie przewodu pod napięciem, czuję, że się opiera o moje plecy, napiera na nie pozwalając mi zluźnić napięcie w jakim tkwię już od godziny. Zaczyna nucić *Unser Sandmännchen*? No tak, oczywiście, *Piaskowy dziadek*? Tak się ta niemiecka dobranocka w Polsce nazywała? Jej młodszy usypia równie szybko jak mój Olo.

Tkwimy na piasku, oparci o siebie plecami, ze swoimi myślami, z dziećmi na kolanach, pod niespotykane niebieskim niebem, przy nalotach chichoczących fal, wzywających dzieciarnię do zabawy...

Dzieci, dziś z przezroczystą już skórą...

(kwiecień-maj 2025)

Brigitte i Ralf są bardzo do siebie podobni. Oboje mają już przezroczystą skórę i... niegasnący uśmiech. Ale oczy... Przez cały czas ich opowieści przed kamerą, oczy zanurzone są w jakimś jakby płynie...?

- Na ulicy leżały tysiące trupów. Moja szkoła została zbombardowana. Ktoś nam polecił, abyśmy rozpoznawali swoich zabitych kolegów. Popatrzyłem na ciała. I zobaczyłem pulower mojego kolegi, bliskiego kolegi. Leżał na jezdni. Nie miał głowy.

Wszyscy bohaterowie tego filmu, dzieci, które w jakże dramatycznych okolicznościach poznały wojnę na kilka dni przed jej zakończeniem, wszyscy kończyli swoje opowieści mniej więcej tak brzmiącym zdaniem: **i to wszystko do dziś mi się śni**. Wojna nie opuszcza człowieka do końca jego życia. Wojna – to jedyna rana, która się nigdy nie zagoi.

Dochodzi piąta rano.

Pamiętam: 04:45... Martwię się, jak Olo zareagowałby na bombardowanie, ale nie przewidziałem, że jest coś trudniejszego nad płonące domy. To pamięć o tych płomieniach. Czy Olo poradziłby sobie z tą traumą? Umiąłby bym mu dziś w tym jakoś pomóc?

- Wszyscy mówią: uciekać, nadchodzi Rosjanie! Wszystkie kobiety i dzieci muszą natychmiast wyjechać, dokądkolwiek, byle tylko dalej od Rosjan. Ojciec zawiózł nas na dworzec. Wsiadliśmy do pierwszego pociągu. Nieważne – dokąd, byle dalej stąd.





Nie nadążam notować dialogów i wypowiedzi. Nie chcę zatrzymać projekcji. Zaczynam żałować, że ją uruchomiłem. A tu ledwie kilka minut po pierwszej w nocy. Tyle czasu przede mną...

Zapisuję: Rosjanie idą, gwałcą i zabijają...

- Pociąg zatrzymał się na jakieś stacji, chyba przesiadkowej...

Już przestałem robić notatki, byle szybciej się ten obraz skończył. Kamera pokazuje rejwach na peronie. Jakaś dziewczynka... Jakby ta, dziś blisko dziewięćdziesięcioletnia kobieta. I ta kobieta mówi wprost do kamery, że pociąg ruszył. A ona stoi na peronie.

- Moja matka dostrzegła, że ja zostałam obok wagonu, woła, krzyczy przez okno. Ja jestem przerażona, sparaliżowana strachem. Jakiś mężczyzna usłyszał wołanie. Pociągnął – jak mi opowiadano – za hamulec bezpieczeństwa. Trafiam w ręce matki. Pociąg rusza. Nie wiem, dokąd? Nie umiem do dziś odpowiedzieć na pytanie, dokąd myśmy podróżowały? Gdzie jest nasz tata, który przyrzekał, że nas odnajdzie i wróci do nas. Kiedy przyjedzie nasz tata? Nie umiałam nie pytać matki o mojego ojca.

Inna sekwencja.

- Moja starsza siostra miała wtedy piętnaście, może szesnaście lat. Matka przebierała ją w stare łachmany, czochrała włosy. Nie pozwalała się myć. Zabraniała jej wychodzić na ulicę. Nie rozumiałam, dlaczego?

Potem dowiedziałam się, że matki tak chroniły swoje córki przed Rosjanami.

Roza musiała być piękną dziewczyną. Widać do dziś na jej twarzy ten zefirek uśmiechu.

- On miał na imię Oscar. Staliśmy na podwórku. Nie pamiętam, ile to czasu upłynęło od zakończenia wojny. Dał mi cukierka i chyba kawałek czekolady. Byłam dzieckiem wyzwolonym z obozu. Nagle, odwrócił się i odszedł. Ale po kilku krokach wrócił.

- Co takiego zrobiłaś, że zostałam zamknięta w obozie koncentracyjnym?

- Nic. Jestem tylko Żydówką.

- No, i co z tego, że jesteś Żydówką? Dlatego byłaś w obozie? Czego od was chcieli ci, którzy was tam zamknęli.

- Nie do mnie kieruj te pytania – odpowiadałam.

Manfred. Miał dziesięć lat, gdy stracił w bombardowaniu swojego ojca.

- Nie wiem, co to jest dzieciństwo. Wiem, co to jest głód, co znaczy nie mieć kawałka chleba w ustach przez wiele dni, Wiem, co to jest zimno. Wiem, co to jest życie w gruzach.

Amerikanie na ulicach Magdeburga. Uśmiechnięci.

- To oni zbombardowali nasze miasto. Uśmiechają się do nas, do dzieci. Dają nam cukierki. Podszedł do mnie żołnierz. Pierwszy raz zobaczyłam czarnoskórego człowieka. Uśmiechał się i dał mi słodczyce. Był bardzo miły.

Ujęcia archiwalne pokazują sytuację, jakich nigdy wcześniej nie widziałem. Doskonała jakość zdjęć uwypukla dramat i tragedię. W Nordhausen, na początku kwietnia 1945 roku Brytyjczycy wykonali zmasowane naloty na domniemane zakłady produkujące rakiety. Był tam wtedy obóz przejściowy albo etapowy. Kilkuś więźniów, wycieńczonych, na skraju śmierci. Zginęło ich w bombardowaniu około osiemset. Kamera pokazuje morze ciał. Nagle, z lewej strony kadru unosi się człowiek, lekko przekręca na bok i... przykrywa się trupem innego więźnia, kładzie się i... ruch w kadrze zamiera.

Po nalotach, przy całkowitym zniszczeniu infrastruktury miejskiej, około 1300 więźniów konało z głodu i pragnienia.



Trwająca kilka dni, tygodni, może tu i ówdzie miesięcy przyspieszona lekcja wojny dla niemieckiego społeczeństwa, a w lekcji tej uczestniczyły całe rodziny. Dla dzieci, te dni miały szczególnego rodzaju dramaturgię.

Wczoraj ich ojcowie, wujowie, sąsiedzi w odprasowanych mundurach, podbitych zelówkami butach, z rynsztunkiem, wygoleni, uśmiechnięci, paradowali, maszerowali, heilowali. Dla dzieciarni – wzór ładu i porządku, siły, jasnych relacji społecznych. Wszystko w porządku. Był cel, znane były środki. Wszyscy wiedzieli, kto jest wodzem i jakie zadania państwo oraz Wódz postawili także przed najmłodszymi. Wijna trwa. Zwycięzamy. Deutschland, Deutschland über alles!

I nagle ten ojciec nie żyje, ten stryj jest już kaleką, mieszkanie dogasa po pożarze, przedszkole zmiecione z powierzchni ziemi. Nie ma co jeść. Gdzie się podziała niania? A pan dozorca nie kłania się już mamie?

W nocy bombardowanie. Ciepło jest tylko wtedy, gdy płonie rozbity bombą mebel, podłoga, płot.

Oczy dziecka rejestrowały obrazy bez najmniejszego zrozumienia logiki świata opawanego wojną, która tak niespodziewanie się nagle wokół nich pojawiła.

Czy dziecko w takich sytuacji pyta o winnego, o sprawcę, o uzasadnienie?

- Koniec wojny? Pamiętam! Pamiętam. Ja cały dzień tańczyłam, jak szalona. Wszyscy chyba myśleli, że ja zwariowałam, a ja się tak cieszyłam. Że wojna się skończyła.

- Nie rozumieliśmy, jako dzieci, co się tak naprawdę dzieje! Do pewnego momentu. Dopiero wtedy, gdy ujrzałam, że moja Matka płacze... Wtedy pierwszy raz w życiu poczułam, co to znaczy strach.

Matka nie może płakać!

Kiedy opadł kurz, kiedy słońce wywołało roślinność spod gór gruzu, wtedy zegar jakby zaczynał ruszać w nową, właściwą stronę.

Dzieci, wszystkie, osierocone i te po silnych przeżyciach, odebrane od szkół, przykościelnych kólek, bawiły się wśród gruzów. Na zdjęciach - schludne, czysto odziane, umyte, nakarmione. Dwie dziewczynki bawią się w sklep, tamci chłopcy wspinają się na stertę gruzów. Normalne dziecięce harce.

W dreźnieńskiej katedrze, a właściwie w ruinach po tym kościele – próby do pierwszego powojennego, pokojowego już koncertu. Skargi Jeremiasza w zgłiszczach Kreuzkirche. I *Requiem* dla miasta, skomponowane naprędce przez jednego z duchownych.

Warum, warum, warum...?

To uporczywe pytanie: **dlaczego**, nigdy w świadomości ówczesnych dzieci nie wybrzmiało, nie ucichło. Upodobało sobie porę głębokiej nocy, by o ich dzieciństwie przypominać. Lada dzień, rok, a już nie dłużej jak za dekadę – wybrzmi do końca.

Wraz z pokoleniem dzieci końca wojny.

Nagle – lekki szelest. Jest. Przyszła. Moja stara znajoma. Niezmiennie piękna. Od tylu lat – smukła, zwinna, beczelna i wyzywająca.



Kopenhaga to jedno z pierwszych miast na świecie, które poznałem dość chyba dobrze.

- Więc tak wygląda miasto morskie...? -

Tysiąc razy przemierzyłem Nyhavn. Podziwiałem ten portowy kanał i ulicę w centrum, z charakterystycznymi (kolory) domami, które w porównaniu z Wałami Chrobrego mogły grać rolę czworaków wokół pałacu dziedzica. Ale nie zabudowaniami przy kei zdobywano niegdyś panowanie nad morzami...

Lubię klimat Kopenhagi, nastrój, specyficzny układ miasta, budowanego fortunami zdobytymi na handlu morskim... I król, który rano biegł do pobliskiej piekarni po świeże bułki (koniec lat 70. XX wieku). Potem – wczytywałem się w opisy z „Buddenbrooków”. Mann szkicuje, ale hanzeatyckie domy kupieckie z oknami wpatrzonymi w port, podwórze z pakunkami, workami zboża, beczkami z tranem. Wokół – zapach typowy dla nadmorskiego miasta. Wędrując wzdłuż Morza Północnego wyraźnie odczuwałem wspólny dla wybrzeżowej społeczności - styl, klimat, sposób bycia. Ludzie byli przyjaźni, cierpliwi, skłonni do porozumienia, szczególnie wobec wielojęzycznego tłumu przybyszów. Potem – Cherbourg i aż po Sagres, na Przylądku Świętego Wincentego, najbardziej wysuniętej na południowy zachód części Europy, gdzie swoją siedzibę urządził książę Henryk Żeglarz, twórca portugalskiego imperium kolonialnego.

Na tle tych wszystkich miast Kopenhaga wyróżniała się... spokojem. Nie burzyła go świadomość, że niespełna 50 km stąd mieszka duch Hamleta w zamku Kronborg. Tutaj życie toczyło się jakby o sekundę wolniej niż wszędzie indziej, przez co miało się lepszą perspektywę w spoglądaniu w przyszłość. Może w tej sekundzie tkwi największa tajemnica naszego bytu?

*A w tle – tak trudne do wyśpiewania na jedynie czarnych i białych klawiszach oniryczne **Kinderszenen** Schumanna... Leitmotiv tego spektaklu.*



To zdanie pochodzi ze sztuki, o której napisać chcę kilka słów, choć jej materii jeszcze w recenzji nie dotknąłem. A tytuł przecież umieścić powinienem na początku tekstu. Niech więc będzie tutaj. Zatem spektakl nosi tytuł „Kopenhaga”, a stwierdzenie – żywo wyjęte z treści przedstawienia – że już umarliśmy, przypomina mi pewną koncepcję... Podobno – umierający człowiek nie zauważa momentu swojego odejścia. On żyje nadal, ale w tej wersji „jego” bezśmiertnej rzeczywistości, która biegnie dalej, w wariacie z nim w roli dotychczasowej. Zmianie ulega tamta rzeczywistość. Ta, z której odeszliśmy. Toczy się dalej, ale już bez nas.

Czyli... **memento mori**, poprzez swoją nieuniknioną – pasuje tylko do tamtego, „śmiertelnego” świata? W którym byliśmy jedynie wariantem nas samych? Mówią: jednym z wcieleń. Zatem śmierci winniśmy się bać, ale tylko w tamtym życiu? Problem w tym, że nie wiadomo, w którym z żyć w tej właśnie chwili jesteśmy.

To nie my umieramy dla świata, to świat umiera dla nas.

Jakie to proste. Więc po cóż tak walczymy o to życie krótkotrwałe, przejściowe i śmiertelne?

Całusnicy

Na przełomie lat 70/80., moim reporterskim mikrofonem zarejestrowałem wspomnienia Stanisława Wojciechowskiego, który z Kanady przeleciał do Szczecina, gdy przygotowywałem reportaż o rocznicy pierwszej w historii, oceanicznej wyprawy polskiego statku. Był nim szkolny bark „Lwów”, który w 1923 roku popłynął do Brazylii.

- Kopenhaga była pierwszym portem na trasie naszego rejsu – wspominał pan Stanisław Wojciechowski, uczeń tej szkoły, a wcześniej dowódca III Baonu morskich piechurów, asystującego gen. Halerowi w czasie zaślubin Polski z morzem w 1920 roku.

- Wielki port, mnóstwo statków parowych, żaglowych, różne języki i... tak żywiliwe nam Dunki, które rozkochały się w chłopcach z naszego statkowego chóru. A do chóru – widząc przychylność pań – nagle należeli wszyscy marynarze z „Lwowa”! Żeby tylko wyludzić całusa, wymykaliśmy się z pokładu i znikaliśmy w zaułkach portowej dzielnicy. Powrót na statek okazał się zadaniem trudnym. Kapitan Tadeusz

Ziółkowski nie tolerował naszej niesubordynacji. **Wszystkich was na zbity pysk wyrzucę ze statku**, grzmiał w środku nocy podczas karnego apelu, gdy czekaliśmy na skompletowanie załogi. **Wyrzucę, co do jednego!** Ale po skończonym rejsie – dopowiadaliśmy w duchu. Bo przecież tak głośno w Polsce propagandowo sławiona wyprawa nie mogłaby się zakończyć z powodu... naszych miłości! W Kopenhadze!

W parku, z dala od szpicli

Kopenhaga... Kto wie, czy nie jest to najważniejsze miasto we współczesnej historii świata, miejsce, w którym zapadła niema decyzja o przetrwaniu naszej cywilizacji?

Niels Bohr i jego żona, Margrethe mieli wokół domu piękny ogród. Tam, w 1941 roku, w czasie spaceru ze swoimi gośćmi z Niemiec, ten najwybitniejszy fizyk jądrowy na świecie rozmawiał o... O czym mógł rozmawiać z młodszym od siebie o kilkanaście lat, lubianym i cenionym przed wojną uczniem? Werner Heisenberg, jako dwudziestoletni student, zwrócił uwagę uczonemu, że ten... popełnił błąd w swoich rozważaniach... Było to w 1922 roku. Tak manifestacyjne zachowanie wobec człowieka, który za chwilę, wspólnie z Einsteinem miał odbierać Nagrodę Nobla uznano zrazu za eksces, ale Bohr docenił talent oraz determinację młodzieńca, który w czasie jego wykładu w Getyndze podjął z nim dyskusję. Z największym autorytetem w zakresie fizyki jądrowej na świecie. Może sprawił to duch miasta, obok Kopenhagi – kluczowego dla naszego istnienia? Sprawdzę to za kilka dni, w czasie mojej kolejnej wyprawy właśnie do teatru w Getyndze.

Heisenberg został wtedy studentem Nielsa Bohra. Współpracowali bardzo blisko. Z tej homogenizacji geniuszu i młodości, rodziły się odważne, śmiałe i... groźne konsekwencje.

Fizyka jądrowa, reakcja jądrowa, energia o niespotykanej wielkości... Dla tych dwóch naukowców były to największe wyzwania intelektualne. Dla morderców – efekt pracy badacza mógł się stać środkiem do osiągnięcia ich zbrodniczych celów. Dla Hitlera... Czy dlatego Heisenberg, głosił z całą stanowczością i mocą swego autorytetu, że doprowadzenie badań do praktycznego wykorzystania energii jądrowej to przynajmniej dwadzieścia lat? Że badania te nie mają znaczenia dla obecnie prowadzonej wojny? Na szczęście Hitler był zwolennikiem tradycyjnej, pancernej i piechotnej armii. Nie koncentrował się na atomie.

Historia budowy bomby atomowej, bo przecież o tej sprawie mówimy, jest precyzyjnie opowiedziana na wiele sposobów. Ale jedna w niej rzecz do dziś wzbudza emocje i zaprzęta uwagę świata. O czym, być może w kluczowym momencie dla zbudowania bomby, rozmawiali ze sobą ci dwaj fizycy, spacerując w kopenhaskim ogrodzie Bohra? To oni mieli w ręku decyzję w sprawie terminu zakończenia projektu nuklearnego. Ogłosić światu, że znają sposób (oba, każdy z osobna?) na podtrzymanie reakcji jądrowej czy też... „powinniśmy tę wiedzę zachować dla siebie”, na czas sprzyjający ogłoszeniu wyników badań tak rewolucyjnych dla życia na Ziemi? Hm... Czy może być lepszy, gorszy czas na spotkanie śmierci? W skali globalnej? Czy właśnie wtedy, w Kopenhadze ci dwaj naukowcy nie zdecydowali o przetrwaniu życia na Ziemi?

Powtórzę – tysiące piór opisywało i zastanawiało się nad tymi kwestiami. Nad tym, czy szczerą była reakcja Heisenberga, gdy dowiedział się o zrzuceniu bomby atomowej na Hiroszimę.



Niels Bohr (w środku) na ślubie Heisenberga (po prawej)



- To niemożliwe! - miał wołać.

Blefował? Rzeczywiście przewidywał, że Niemcom brakowało dwudziestu lat, by broń taką, a raczej mechanizm wyzwalający niespożytkowaną wielką energię opracować? Może tylko nie chciał być sprawcą przyszłej hekatombi?

W 1999 roku doskonale sformułował te wątpliwości i pytania Michael Frayn i nadał im kształt scenariusza teatralnego pod tytułem „Kopenhaga”. Jakby miał on być swego rodzaju podsumowaniem kwestii atomowej na koniec stulecia i tysiąclecia. Raport obliczony na trzysobową obsadę, proste dialogi, przeplatane namiastką narracji...

Ale – zostawmy dziś wszelkie kwestie dramaturgiczne, rozwiązania formalne, spójność logiczną dialogów czy konstruowanie sytuacji w sposób podnoszący i utrzymujący napięcie widowni. Te elementy, istotne i ważne, odgrywają drugoplanową rolę wobec pytania już tutaj postawionego: o czym, podczas spaceru, w czasie wojennym, w 1941 roku rozmawiał uczeń z czarnoksiężnikiem?

Niemcy ulegli prośbom Heisenberga, by ten mógł pojechać do Kopenhagi na spotkanie z Bohrem. Śledzili każdy krok naukowców. Nie do końca wierzyli Heisenbergowi. Z jaką tak naprawdę misją wyruszył ten tzw. biały Żyd (nie miał pochodzenia, ale popierał koncepcje żydowskich naukowców) do Bohra?

Kolory sztuki czarno-białej

Adam Opatowicz sięgnął po tekst sztuki „Kopenhaga”, przeboju z Broadwayu, przy okazji drugiej edycji Festiwalu Bonhoefferowskiego (5 kwietnia 2025). Z plakatów i anonsów wynika, że w tym roku to właśnie Teatr Polski przejął całkowitą inicjatywę i trud organizacji festiwalu. Interesujące. Zwraca uwagę potencjalny organizacyjny teatr. Gorzej – a nawet bardzo źle, wręcz momentami komicznie i żenująco wypadły poszczególne debaty festiwalowe, dyskusje i spotkania. „Kopenhaga” miałaby być w tym wydarzeniu momentem intelektualnie najgłębszym? Jedyńm, nawiązującym do, no właśnie, myśli, misji, martyrologii pastora Dietricha Bonhoeffera? **Bez wątpienia – tak**. Ten spektakl uratował (sic!) sens i cel Festiwalu. Ja już kolejny raz zadaję to pytanie – dlaczego, w jakim celu (moim zdaniem – w praktyce całkowicie bezrozumnie) wywołujemy tę wielką postać, której cień rodzi wokół nas tylko ciemności, nie tylko intelektualne, bo nie potrafimy w Bonhoefferze, jego życiu i nauce doszukać się drogi wyjścia z matni, labiryntu codzienności, w jaki zabrnęliśmy. Powtarzane od lat komunały, banały (Bonhoeffer wielkim człowiekiem był) już nie brzmią, nie rodzą refleksji, nie inspirują. Odczytywane corocznie strofy Różewicza na temat Bonhoeffera – to beznamiętne odkrywanie Ameryki. No, jest, nawet widnieje na mapie, ale co dalej?

Zatem ... właściwie – o czym mam pisać? Tekst sztuki nie jest dramatem szekspirowskim. Intryga – niczym poranna mgła nad rozlewiskiem. Aktualność – spóźniona o ponad 80 lat. Więc, o czym tu pisać?

O teatrze

Wreszcie, doczekałem się.

Inscenizacja – dokładnie taka, jak sposób oprawiania brylantów w białe złoto. Skromna, ascetyczna, dopracowana, elegancka i dys-tyngowana.

Gra aktorów. Z tej oprawy potoczyć się wynikała. Obsada – mistrzowska. Ale... Przed spektaklem nie spojrzałem na nazwiska. Gdy rozświetliła się scena – poczułem się zakłopotany. Kim są ci Państwo? To nasi aktorzy?

Wielka kultura słowa, trafność wyrazu, pełna koncentracja przy zachowaniu naturalności „niezwykle zwykłych” przecież dialogów. Ale co to znaczy „zwykłych”? Jak rozmawiali ze sobą Bohr i jego żona, jak polaryzowały się relacje między nimi i gościem ich domu? Bohr, o pochodzeniu żydowskim, Heisenberg – Niemiec zakleszczony w ideologii nazistowskiej, której chyba jednak nie ulegał, co skłaniało władze do głębokiej podejrzliwości wobec fizyka. Życie własne, kariera, etyka naukowca, odpowiedzialność za świat, powinność wobec nauki? Notuję „grane” przez aktorów stany ducha ich postaci. I ta przyjaźń... Niemca z naukowcem żydowskiego pochodzenia. W sztuce słowo: przyjaźń pada kilka razy. Bohr nazywa Niemca... przyjacielem. Ale nie przestaje też widzieć w nim... Niemca. A uwrażliwioną na pochodzenie Heisenberga wydaje się być Margrethe.

Ważną, właściwie centralną dla scenicznego ruchu i narracji postacią jest właśnie żona Nielsa Bohra. Panie profesorze, pan daruje, zupełnie straciłem głowę dla pańskiej żony. W przenośni i... w dosłownym tego słowa znaczeniu. Czy w takim poprowadzeniu tej postaci nie została ukryta metoda na całe napięcie fabularne przedstawiania? Rola sama w sobie stanowiła kanwę, narrację, na której reżyser haftował tę pełną niuansów historię. Tak, haftował, bo w żadnym momencie nie została przekroczona linia między kreacją, a propagandą czy perswazją. Może w pierwszej jedynie chwili zwątpiłem, czy określenia, sformułowania, zwroty czysto naukowe, odwołujące się do elementarnej znajomości pojęć z zakresu atomistyki nie zdeprymują widzów? Ale one szybko wybrzmiały. Stały się elementem scenografii i czynnikiem zwiększającym skupienie nad akcją. Trójka aktorów zaprezentowała warsztat wysokiej próby.

Przy wejściu na widownię, Adam Opatowicz witając się ze mną kiwał głową z pewnym chyba zakłopotaniem.

- Ale to dopiero pierwsza generalna, premiera za kilka dni, coś się może nie udać...

- Oby tak się stało, w przeciwnym razie, nie będę miał o czym pisać?

Po spektaklu znów się spotkaliśmy przy wejściu do Sali Kameralnej. Rozmowa była równie krótka i konkretna. Z mojej tym razem inicjatywy. Reżyser spoglądał na mnie chyba trochę z niedowierzaniem. Gdy skończyłem, powiedział tylko jedno słowo. No, dwa.

- Tak? Naprawdę?

Taki teatr cenię najwyżej

Całość utrzymana w nieskończonej ilości odcieni szarości. Wprost – barwna. Dobrze wkomponowane multimedia. Może odrobinę za dużo było tego (naiwnego?) tła z chmurami w przestworzach, szczególnie w chwilach wymagających pewnego skupienia, po kolejnej kulminacji sytuacji dramatycznej. Tu cały czas szło o reakcję łańcuchową, międzyludzką – emocjonalną i intelektualną. Ta najgłębiej dociera do nas w ciszy. A na widowni – jak makiem zasiał.

Spektakl idealny dla Sali Kameralnej.

Niedopatrzenie?

Panie dyrektorze Adamie, pokazał Pan tym przedstawieniem, że pański teatr ma jednak tak powszechnie oczekiwane przez widzów, głębokie (wcześniej napisałem: mądre) oblicze. Przesycone emocjami, wątpliwościami czy rozterkami wobec treści, a nie przekombinowanej, zwariowanej, przypadkowej formy. Ta nigdy nie zakryje intelektualnej mądrości większości przedstawień. „Kopenhaga” to insceniza-

cja wolna od eksperymentów, ekscesów, tego pseudoartystycznego i intelektualnego bałaganu. Nie było na scenie przebiegaczy, dziwaków, larw bohaterów tworzonych przez skorumpowaną bezmyślnością umysłowość tzw. artystów młodego pokolenia. Oni nie są zbuntowani. **Oni są niedouczeni.** No przecież to właśnie Pan o tym wie najlepiej!

Ach, dajmy spokój i nie mówmy już o sprawach przecież oczywistych.

Po spektaklu pobiegłem pod plakat. Oczywiście! Obsada gościnną! Dlaczego? Bo spektakl będzie wędrował przez Polskę? A tam potrzebne są nazwiska rozpoznawalne, nieszczęścińskie? To po co nam teatr w Szczecinie? W zespole ma Pan kolegów ze stażem nie mniejszym od Pańskiego. I co? Nie nadają się do wysłania ich w Polskę z paszportem „Kopenhagi”? Nie myślał Pan o drugiej obsadzie dla tego tekstu? Warunki licencyjne?

Ach, już było tak dobrze, tak miło, ale, sen okazał się krótki, choć był piękny. Jak teatr – prawdziwy.

Mówią – genialne, bo proste, proste – bo genialne.

To przedstawienie o wybitnych walorach prowokujących szczególnie młodych buntowników, którzy szukają własnych recept na nasz, ich świat. Propozycja do dyskusji o odpowiedzialności nauki, o morale, empatii... Każde z tych określeń jest ważne w „Kopenhadze”. W życiu. Wieczór w teatrze musi zostawić w każdym z nas ślad nierozwiązywalnego zagadnienia. A takich wiele ciągnie się za nami przez całe życie. I na każdym jego etapie – wzbogaca nas o nowe, kolejne rozwiązania? Ale przede wszystkim – taki spektakl pozwala nam przyglądać się sobie. Temu, jak zmienia się nasz stosunek do rzeczywistości, do powinności i odpowiedzialności. Takie przedstawienia są niczym schody. Im wyżej się wspinasz, masz większą zadyszkę, lecz widzisz więcej, wyraźniej i głębiej.

„Kopenhaga” realizuje w całości tę definicję teatru, którą považam od lat – to oglądanie nas samych, w sytuacjach, na które na co dzień zwykliśmy zamykać oczy. Tu takie tchórzostwo nie jest możliwe.

Dziękuję.

Kopenhaga

autor: Michael Frayn, tłumaczenie: Małgorzata Semil, reżyseria: Adam Opatowicz, kostiumy: Katarzyna Banucha, projekcje filmowe: Michał Materna

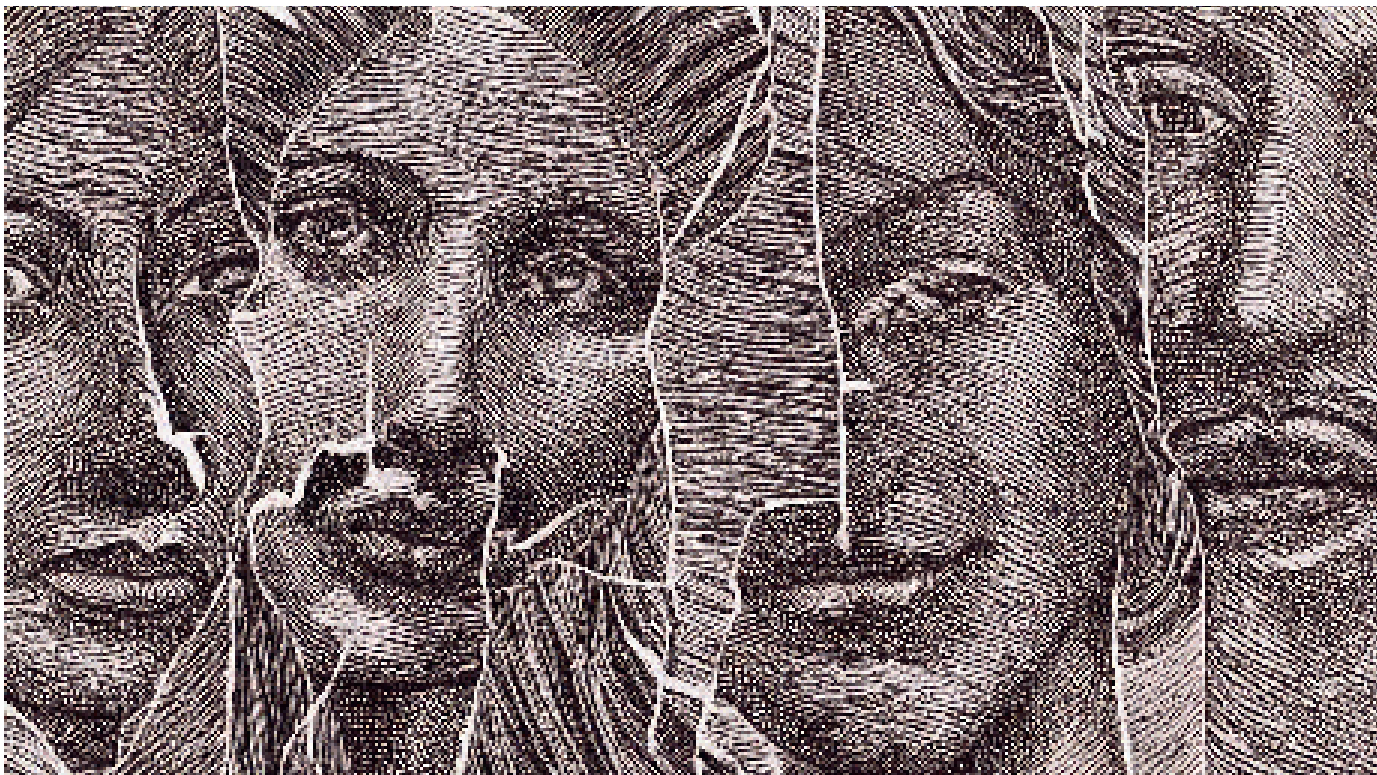
premiera: 5 kwietnia 2025

Obsada:

Margrethe – Renata Dancewicz – gościnnie, Bohr – Wojciech Kalarus – gościnnie, Heisenberg – Karol Wróblewski – gościnnie.



|| Dlaczego „Kopenhaga” tak bardzo na siebie zwraca uwagę? Na całym świecie Bo...



Każda wojna między nami jest atomowa

Umówmy się – „Kopenhaga” Michaela Frayna nie jest tekstem szekspirowskim. (**Uważaj, z wyciąganiem wniosków, przynajmniej do końca tego tekstu...**). Nie ma ani jednego momentu kulminacji, nagłego zwrotu akcji, nie ma zaskakujących point ani oryginalnych rozwiązań formalnych. Z literackiego punktu widzenia – jest to wręcz urzędowy, administracyjny protokół, takie streszczenie kilku prawdopodobnych rozmów, sporządzony przez półautomatycznego sekretarza-referenta.

Gorzej – opisywane fakty są bardziej domniemane niż potwierdzone dokumentami, oświadczeniami, wyjaśnieniami składanymi pod przysięgą.

I właśnie te wszystkie **niedopowiedzenia** tworzą atrakcyjność tego tekstu.

Składają się nań poszlaki, sugestie, interpretacje, punkty widzenia, wirujące w dyskusji pozateatralnej. Dlaczego Heisenberg tak bardzo chciał spotkać się z Nielsem Bohrem w 1941 roku? O czym obaj rozmawiali?

Adam Opatowicz, reżyser tego przedstawienia w Teatrze Polskim w Szczecinie zaproponował obsadę jedną z zapewne wielu możliwych. Ukształtował sylwetki, określił ich temperament, sposób poruszania się i wystawiania. Tak ich widzę – mógł powiedzieć. My, widzowie – jako teatralna ława przysięgłych – winniśmy ich osądzić. Nic więcej.

I w tym, powiedzmy: „aspekcie teatralności” opisywanej historii widzę jej kolejną atrakcyjność.

W świetnym, bo jasnym i pozbawionym spekulacji analitycznym tekście Klausa Gottsteina pt. „Werner Heisenberg i niemiecki projekt uranowy (1939-1945): Mity i fakty” czytamy, że choć Heisenberg był zaangażowany w badania nad energią jądrową, to jednak nie dążył do skonstruowania bomby atomowej, a jego prace miały charakter bardziej teoretyczny niż praktyczny.

Klaus Gottstein był niemieckim fizykiem, który przez wiele lat pracował w Instytucie Maxa Plancka w Monachium, gdzie Heisenberg pełnił funkcję dyrektora. Gottstein był nie tylko jego współpracownikiem, ale także obrońcą jego dziedzictwa naukowego.

Na podstawie przywołanego tekstu Gottsteina możemy powiedzieć wprost: tak, Heisenberg ustalił, że stworzenie bomby atomowej jest teoretycznie możliwe, ale wymagałoby tak ogromnych nakładów przemysłowych, że zajęłoby to wiele lat i byłoby niewykonalne w czasie trwania wojny. Projekt został zatem porzucony przez rząd nazistowski w 1942 roku. Heisenberg celowo powstrzymał się nawet od obliczenia dokładnej wartości masy krytycznej izotopu U-235. Czuł ulgę, że dzięki temu uniknął konieczności dokonania moralnego wyboru między wykonaniem rozkazu budowy bomby, a ryzykowaniem życia poprzez odmowę udziału w projekcie lub jego sabotowanie. Cieszył się, że skierowano go do pracy nad budową małego reaktora testowego, który został zatwierdzony przez rząd i był realizowany pod nadzorem cywilnym.

W 1941 roku Heisenberg próbował ... I tu już zaczynają się zasygnalizowane wątpliwości... Heisenberg chciał zasięgnąć opinii Nielsa Bohra w Kopenhadze, czy międzynarodowa społeczność fizyków jądrowych mogłaby powstrzymać się od tworzenia broni jądrowej? Mówiąc wprost – działał przeciw rządowi niemieckiemu, w imię pokoju światowego? Wydaje się, że Bohr... błędnie zinterpretował ostrożne podejście Heisenberga. Bohr był nader zajęty swoją próżnością, podejrzliwością wobec Niemca? Może pozostawał pod wpływem swojej żony?

Trzy osoby. Proste pytania. A teatr wysokiej próby...

Ten teatr nie pozostawia nas obojętnymi, uruchamia naszą wrażliwość i intelekt. Pozbawia nas możliwości uniknięcia przynajmniej spekulacji, **czy Heisenberg uratował świat, a Bohr mu w tym... nie przeszkodził?**

Więcej...

Pani Zosia z tą Krystyną z zaopatrzenia (obie siedzą z lewej strony, a cały rząd jest wykupiony przez dział socjalny ich firmy), a po prawej stronie – widać wyraźnie – ojczym z synowcem i jego kumplem. Z kolei przede mną – para, udająca, że „są” ze sobą, w odróżnieniu od emerytów siedzących za mną (ta pani nieustannie podawała panu chusteczkę, by nie „ciągnął nosem”) - my wszyscy zostaliśmy bez uprzednia i ostrzeżenia – wywołani do sprawy, dalece ważniejszej niż ta, wytoczona panu K. Pan K. został oskarżony indywidualnie – my: zbiorowo. On – nie wiadomo za co, ale my wszyscy razem – za brak poczucia odpowiedzialności za nas i wszystkich innych! „Ten” teatr

każe nam, każdemu z osobna, zająć stanowisko w konkretnej sprawie. Sprawie odpowiedzialności. Nie są ważne szczegóły spotkania, jego przebieg, nawet racje i argumenty obu naukowców. Ważne jest pytanie, do czego może posunąć się człowiek? W imię jakich interesów? Ponośząc koszt o wymiarze jednego czy też miliona istnień ludzkich?

Ale... co ten synowiec, co ta pani Krysia miałyby w tej sprawie zrobić? No, właśnie... **I tu zaczyna się Szekspir.**

W teatrze przypominamy sobie, że każdy z nas ma jeden głos wyborczy, a my razem tworzymy opinię ośmielającą, propagującą, nobilitującą postawy naszych politycznych reprezentantów. My legitymizujemy głoszone przez nich poglądy, utożsamiamy się z nimi lub całkowicie odrzucamy od siebie tych, którzy głoszą prawdy inne od naszych. Ulegamy ich żądzy posiadania śmiertelnej broni czy sabotujemy ich oczekiwania?

My, w czasie „Kopenhagi”, stawiamy na szali naszą moralność, religijność, nawet ci, którzy wierzą, ale nie praktykują, muszą sobie (wystarczy, że tylko sobie) odpowiedzieć na pytanie – tak, dałbym światu tę bombę. Dla sławy, dla pieniędzy, dla zachowania własnego życia, w obronie najbliższych, którzy np. mogliby stać się zakładnikami, kartą przetargową dla moich oprawców: oblicz masę krytyczną izotopu U-235, a my oddamy ci twoje dzieci. Tak, tak, tak!!! To najprostszy scenariusz filmów Netflixa. Ale my już tylko widzimy naskórkowość każdego problemu, nie analizujemy motywacji, gonimy za akcją: ucieknie, czy go złapią?

Dzieje się tak dlatego, tak jałowiejemy, bo nie tylko pan Adam Opatowicz tak rzadko wprowadza do repertuaru naszych teatrów spektakle klasy „Kopenhaga”. Proste, bez fajerwerków, na trzech aktorów jedynie i trwające około godziny. A udźwignąć ich, nie dajesz rady. Uwolnić się od imperatywu udzielenia odpowiedzi na postawione pytania – nie jesteś w stanie. Nie powinienes wręcz. Nie możesz.

Ja nie wiem, czy Heisenberg blefował, czy rzeczywiście był przekonany, że termin jaki wyznaczył Hitlerowi, że ten otrzyma bombę atomową, ale za dwadzieścia lat był wybiegiem, ucieczką od odpowiedzialności albo dowodem na odpowiedzialność za świat?

A my – takie wojenki prowadzimy codziennie. Że na skalę mniejszą – to prawda, ale zawsze – atomową. Bo rozstrzygającą. Każda decyzja, w każdej sprawie spornej jest w swojej istocie taka sama. **Każda – rodzi skutki.** A te, dla ciebie mogą być na miarę przepędzenia natrętej muchy, ale dla kogoś innego – złamaniem całej konstrukcji jego życia.

- Przesada! – zawołasz. – On ma się dobrze, widzę, jak bryluje nadal, a mnie lekceważy, traktuje jak mgłę jakąś! Gnojek parszywy...

I to, że tamten ktoś kupił sobie nowy krawiat albo zmienił fryzurę lub zaczął ubierać się (wreszcie) na sportowo nie dowodzi, że otrząsnął się po twoim ruchu. Tak jak ty, masz przed oczyma swoje „zwycięstwo”. Pyrrusowe, tak się je chyba powinno nazywać?

Określenie to wywodzi się z historii króla Epiru, Pyrrusa, który w III wieku p.n.e. toczył wojny z Rzymem. W bitwie pod Ausculum w 279 r. p.n.e. Pyrrus odniósł zwycięstwo nad Rzymianami, jednak poniósł przy tym ogromne straty – według źródeł nawet 3,5 tysiąca żołnierzy. Po bitwie miał powiedzieć: „Jeszcze jedno takie zwycięstwo i będę zgubiony”.

Każda wojna między nami jest atomowa

Jeśli międzyludzka reakcja łańcuchowa nie zamieniła twojego życia w Termopile czy Pompeje nie znaczy, że w przyszłości jej konsekwencje nie będą większe niż skutki choroby popromiennej. Ale przecież ciebie to już nie obchodzi, ty swój bój zneutralizowałaś. A on? Wygarnął jej, co o niej sądzi. I koniec?

G... prawda. Dramat dopiero przed wami - dopowiem.

To jak cytat z klasyka. A skoro go wywołałem, księżo Profesorze, z Twojej „Filozofii dramatu” próbuję na pamięć nauczyć się tych kilku Twoich konstatacji. Nie ukrywam – nie idzie mi najlepiej. Powiesz: bo tego nauczyć się nie da, tak trzeba żyć.

Pisze Józef Tischner (pisze, bo to Jego pisanie ciągle trwa):

„Celem pierwszorzędym jest przywrócenie słowu **dramat** właściwego ciężaru gatunkowego. Można to osiągnąć jedynie przez wskazanie treści, na którą słowo to bezpośrednio lub pośrednio intencją swoją wskazuje. Trzeba posłużyć się słowem jak pomostem do rzeczy. Trzeba spytać: na jaką rzeczywistość, na co słowo to wskazuje? Cokolwiek by się rzekło, wskazuje ono na życie człowieka. Rozumieć dramat to zrozumieć, że człowiek jest istotą dramatyczną. Dokonując krok po kroku rozjaśnienia ludzkiej egzystencji jako egzystencji dramatycznej, przywracamy pojęciu dramat właściwy sens.

Być istotą dramatyczną znaczy: przeżywać dany czas, mijając wokół siebie innych ludzi i ziemię jako scenę pod stopami. Człowiek nie byłby egzystencją dramatyczną, gdyby nie te trzy czynniki: **otwarcie na innego człowieka, otwarcie na scenę dramatu i na przepływający czas.**” Józef Tischner, *Filozofia dramatu*. Wydawnictwo Znak, Kraków 1998

Ale to przecież są zagadnienia do rozważania nie w chwilę po wybuchu bomby atomowej! Wtedy jest już na wszystko za późno.

Kochajmy Kopenhagę. Zamieszkajmy w niej. Spacerujmy po naszym tam przydomowym ogrodzie. Spierajmy się ze sobą. Pozwólmy Kopenhadze, aby nas.... uratowała.

Kopenhaga, kanał portowy Nyhavn, lata 70. XX w.



Poranek, zaiste, był piękny. Autokar i towarzystwo doborowe. Mało kto się znał, więc była szansa na chwilę prywatności, z krajobrazami Brandenburgii za oknem. Cel wyprawy – Caputh i mały, w gruncie rzeczy letniskowy domek. Podobno – jest mały. Zgodny z ideą i duchem Bauhausu. Funkcjonalny. Dostosowany do lokatora. Przykład idealnej realizacji zasady: funkcja celu.



Dom Alberta Einsteina

Właściwie – pudełko. Dziś, swoją skromność kryje pośród bogatej zieleni, skamielin akacji, ale kiedy został tu postawiony – musiał wręcz krępować gości przejeżdżających na spotkanie z Bogiem Fizyki.

Wszystko wokół tego domu było atrakcyjne. Czyli – przyroda. Przede wszystkim wielka panorama na odległy, pulsujący niecierpliwością świat. W nocy, taras górny lepiej oświetlały rozbłyśki umierających gwiazd niżli łuna znad Berlina. Już w więzieniu człowiek czułby się lepiej niż tu. Jak się okazało, przedsionku do największych tajemnic? Zastanawiałem się, jak wygląda Jego gabinet? Miejsce, w którym Albert Einstein przekraczał wszystkie granice znanego i nieopisanego jeszcze świata. Do wszechświata nie ma przecież... drzwi. On jest... wszędzie.

Dlaczego piłka odbija się od Ziemi?

Z talonem-nagrodą za rozwiązanie kolejnych zagadek matematycznych idziemy z Olem do księgarni, na półki z książkami o kotach i... fizyce.

- O! Ta książka może być fajna...

Z góry spoglądam na siedzącego na podłodze księgarni dziesięciolatka. Astronomia, planety, wszechświat... Olo zna doskonale model układu słonecznego. Charakterystykę każdej planety.

- Pani pokazywała nam taki sam układ. Ziemia, Mars, Wenus...

- ...Arbuz i Kokos...

- Dziadek! Nie ma takich planet!

- Ale są Różowe Dziury.

- **Dziury** są tylko **czarne** – młody cedził przez zęby (kilka dni temu wypadł mu drugi już mleczak) swoje poirytowanie moją indolencją.

- O, ta książka też może być ciekawa... - wyjął kolejny tom z półki.

- Obawiam się, że za dwadzieścia lat... To – pokaż no..., to trudne rozważania teoretyczne...

- Ale okładka jest fajna. Podoba mi się... – spogląda na mnie badawczo – Poza tym, może jej już nie być za dwadzieścia lat. I co wtedy? A tak, będę już ją miał.

Przy lodach rozmawiamy o tym, co może być w środku czarnej dziury.

- Normalka – mówię zawadiacko, kreśląc dłonią szerokie łuki. – Świat jak nasz. Mają tam księgarnie, może nawet lodziarnie z lodami o smaku ogórków małosolnych lub kiszzonej kapisty...

- Dziadek, **nie ma takich lodów!**

- Niewidomo. A już na pewno jest tam ciemno... To jasne, że w czarnej dziurze jest ciemno.

Dzieci żadnej z takich prowokacji nie traktują tak, jak te na to zasługują. Nie lekceważą żadnej sugestii. Wymądrzają się, konfabulują... Zmyślają? **Nie – używają najważniejszego narzędzia dla poznania rzeczywistości – fantazji i kreacji.**





Caputh - akacje przy drodze do domu Einsteina

- Ale w piłkę w Czarnej Dziurze nie pograsz. Taka piłka, jeśli odbijesz ją tak mocno jak mi pokazywałeś w ogrodzie, mogłaby polecieć na koniec wszechświata.

- Wszechświat nie ma końca, dziadek, już ci to mówiłem.
- Skąd wiesz? Byłeś tam?
- Nie muszę, żeby wiedzieć.
- No to skąd?

- Z wiedzy... Poza tym, tam jest inna grawitacja. Piłka się nie odbije! Dwie gałki lodów – przestały istnieć. Trochę żal, że tak szybko, ale miło, że cieszyły nas choć przez chwilę. Lubię te „naukowe” lody...

Im mniejsze, tym... większe

Historia powstania, zaprojektowania i budowy domu dla Alberta Einsteina pod Poczdamem – (miał to być okazały prezent dla naukowca, w reprezentacyjnej dzielnicy Berlina na jego 50 urodziny) – to niewarta uwagi historia urzędniczej nieudolności.

Po kilku propozycjach lokalizacyjnych ze strony miasta, poirytowany Einstein trafił na uroczą działkę na wznesieniu, w wiosce Caputh. Na tyle blisko cywilizacji jak i dostatecznie daleko dla jej więźniów, których unikał, szukając intymności, prywatności i naturalności.

Nie o miejscu czy konstrukcji domu chcę tutaj mówić. Wszystkie te szczegóły doskonale przybliżają przewodniki turystyczne. Na miejscu także, są polskojęzyczni informatorzy. Snują opowieść o zwyczajach naukowca, jego relacji z drugą żoną, poglądach na stroje, styl i sposób bycia, bez względu na rangę i pozycję odwiedzających go gości. Z tarasu domu rozciąga się rzeczywiście miły widok na jezioro Templiner. Ale nie jest to ani Neapol, ani widok na zatokę w Los Angeles. Kilka metrów dalej od mieszkania, na miniaturowym płaskowyżu Einstein kazał wybudować domek dla gości. Dziś są nimi kosy, których śpiew przecina leśną ciszę z prędkością przewyższającą szybkość rozchodzenia się światła.

- Nie wspomniała pani o tym, kto zbudował ten dom. Mam na myśli... firmę?

Przewodniczka nie zdradziła zaskoczenia tym pytaniem. A to kwestia dla zrozumienia ironii losu w odniesieniu właśnie do Einsteina – dość istotna.

Gdy reszta wycieczki poszła zwiedzać dom, przewodniczka podeszła do mnie.

- Tak, wiem, kto budował, czym zajmowała się ta firma. Nawet byłam w ich siedzibie. Tam jest małe muzeum. Ale nikt się nie chwali wkładem tej firmy w budowanie baraków m.in. dla... obozów koncentracyjnych.

- Ale także tramwajów... Kilka z nich trafiło chyba nawet do Stettina...

Jaką skalę przyjąć do oglądu otaczającego nas świata. Czy charakter i konstrukcja domu Einsteina ma jakiegokolwiek znaczenie dla – jakby tę rzecz nazwać? – wykształcenia się geniuszu naukowca?

Konrad Wachsmann, późniejszy guru modernizmu, przygotował projekt domu ściśle według życzeń przyszłego lokatora. Konstrukcja powstała w Niesky na Łużycach, w firmie Christoph & Unmack. To dwaj Duńczycy, ale nie z Kopenhagi. Specjalizowali się w budowie najpierw baraków dla wojska. Wznosili także kościoły ewangelickie (dwa z nich do dziś stoją na Śląsku). Ta firma ma swój stettinski epizod, związany z budową na początku lat 30. XX wieku masztu dla anteny radiowej, postawionej w centrum miasta, a wykonanej z drewna modrzewiowego (dziś: Bałuki, Kaszubska, Śląska). Będzie jeszcze okazja, by więcej o tej kwestii opowiedzieć. Tu poprzestanę na myśli ukrytej w podtytule akapitu: im mniejsze, tym... większe. Więc o to idzie? - myślałem, wracając z wycieczki do Caputh, niespełna dwie godziny jazdy ze Szczecina. Swoją drogą... jak wiele interesujących miejsc mamy wokół siebie, jak inspirujących, ale ich nie dostrzegamy.

Im mniejszy i prostszy dom, tym większy i pełniejszy jawi nam się otaczający go świat? Teza publicystyczna, godna felietonu jedynie?

Po drugiej stronie czarnej dziury

- I nikt nie wie, co tam jest, po drugiej stronie takiej dziury...

Olo słyszy to co mówię, ale nie reaguje. Przerzuca kartki kolejnej książki i coś tam tymi swoimi rybimi usteczkami układa, pompując bańki ze śliny.

- Nie wiadomo czy nie wiadomo... - mówi półgłosem, po chwili milczenia.

- Żeby sprawdzić, jak smakuje coca cola, wystarczy połknąć jej łyk. Ale fajnie byłoby, gdyby w morzu, zamiast słonej wody była tylko coca cola... Wskakujesz, nurkujesz i nikt ci nie mówi: tylko nie połkaj tej brudnej wody! Fajnie by było, co...?

- No... - wyobraźnia dziecka zerwała się z uwięzi. Spojrzał uśmiechnięty w górę... Po chwili znów wrócił do książki. Oczywiście chłopca... to



Caputh - domek dla gości.

wszystko o czym tu mówimy - widzą świat bez oczywistych, logicznych ograniczeń, które my sami sobie i dzieciom narzucamy. Ono czuje świat intuicyjnie, bez ograniczeń. Te pojawiają się wraz z pierwszymi doświadczeniami naukowymi.

- No... gdzieś tam może być inny świat – odpowiada półgłosem. Wieczorem, już telefonicznie rozmawiamy o Einsteinie.
- Popatrz, masz tak piękny i wspaniale wyposażony pokój.
- No, teraz mam nową półkę. Tylko na moje książki.
- I jak tylko spojrzysz na cokolwiek – od razu przypomina ci się, skąd masz to coś, albo kto ci dał coś innego, po co, i wiesz, czy ta rzecz ci się podoba. Wszystkie twoje myśli są zajęte tym, co masz w pokoju. A pan Einstein w swoim pokoju nie miał nic.
- Miał książki!
- Nawet jeśli, to półki można było ukryć w ścianach. Podobno, można je było całkowicie zasłonić. Małe okno. Prosty stół i jedno krzesło. Nic więcej. Nic. Żeby nic go nie rozpraszało, gdy zaczynał... myśleć. Czyli – wyobrażać sobie różne teorie. Na przykład – co jest w czarnej dziurze? A czarna dziura to jak koszyk do koszykówki na twoim ogródku. I wyobraź sobie – ty wrzucasz piłkę do kosza, a ona... nie wraca, nie spada na ziemię tylko znika w tej dziurze.
- Dziadek... Ja wiem, jak piłka przelatuje przez koszyk.
- Ale gdyby koszyk był wielkim, silnym magnesem, to...
- ... piłka nie jest z metalu, a magnes działa tylko na metal.
- ... ale gdyby istniał magnes piłkowy, to...
- ... zatrzymałby piłkę, wiem, uczyliśmy się o magnesach.
- A jakby taki magnes ułożył naokoło waszej klasy, to wszyscy, chłopaki i dziewczyny i wasze lunchboxy byłibyście przytuleni jak ta piłka w koszu.
- O nie, z dziewczynami nigdy...

Najgłośniej kosa śpiewają w Caputh

Niewiele ponad sto kilometrów od Szczecina.
Teatr Einsteinowski.

Jedyne w swoim rodzaju – doświadczenie. (*Łamię zakaz*). Siadam za biurkiem fizyka. Słyszę, jak zatrzasnęły się drzwi wejściowe do domu, te w końcu długiego korytarza, którego część biegnie pod schodami na piętro mieszkalne. Rozglądam się i czuję, że to rozglądanie się przebiega jakby wolniej niż w każdym innym miejscu. Wolniej, bo nie chcę pominąć czegokolwiek, co mogłoby się w tym pokoju znajdować. Wiem, że nie ma tu NIC, ale mój umysł nie znał wcześniej takiego stanu.

Drugi element, który wyraźnie daje o sobie znać to... cisza. Próbuję przeniknąć przez ściany. Wiem, że przy furtce są państwo z wycieczki. Widzę w pamięci ich twarze, stroje, ale ich nie słyszę.



Caputh - gabinet Einsteina, jego biurko i krzesło.



Caputh - gabinet Einsteina. W tle drzwi wejściowe.

Wreszcie – światło. Przez maleńkie okno, wywietrznik właściwie, sączy się tyle tylko słońca, ile trzeba by rozpoznawać rozmiary pokoju. Są dostatecznie duże, by nie uruchamiały mechanizmu klaustrofobii.

I tyle rzeczy przyjemnych miałem ci, Czytelniku, do przekazania.

Nagle chciałem wyprostować nogę, wygodniej rozsiąść się na krześle. Ale zamarłem w bezruchu, gdy uświadomiłem sobie, że tym zamiarem wprowadzam zamieszanie w tę uspokojoną, ustabilizowaną przestrzeń.

Więc tak to działa? – pomyślałem. Jestem... Ale jak ten stan nazwać? A może odwrotnie? Panuję nad... Hm... Znów brak słowa. Nad czym mogę panować w pokoju pustym, półmrocznym, gdzie wszystkie powierzchnie są wykonane z drewna, gdzie nie ma żadnych mebli, poza biurkiem, krzesłem i... mną. Hm... Właśnie. Ja. Czy ja tu jestem? Czy tylko moja świadomość, uzbrojona w jakieś tam życiowe doświadczenie trawi obraz gabinetu Einsteina z pewnym, jakby, opóźnieniem...?

Jak długo tu wytrzymam? A powinienem? W jakim celu, co chciałbym osiągnąć? Spłoszone myśli same łamią sobie nogi i milkną. Lepiej nie myśleć w ogóle, jeśli myśleć tak niedorzecznie.

- Więc? Co pan chciał osiągnąć w tej... matni? Izolacja ma drzwi tylko do... oblędu. Albo... tajemnicy...

Ktoś coś powiedział? Odezwał się? Spojrzałem w głębię korytarza. Najwyraźniej zamykają już muzeum. Nikogo nie ma w całym domu poza mną.

- **Albo...** - znów ten sam... nie, to nie głos. To jakby... stan?

Najwyraźniej oczy przestają dostrzegać cokolwiek, co ma w sobie cechy geometryczne, fizyczne. Słowo na drewnianych płycinach oklein ścian pamiętam sprzed chwili, ale „teraz” ich już nie widzę. Odnośzę wrażenie, że ta cisza, którą przed chwilą jeszcze konstatowałem, zamieniła się w przestrzeń między mchową, która nigdy wcześniej mnie nie interesowała. Kto by się tam mchem interesował, a już tym bardziej chciał w ten mech... wejść?

Nie chciałem nic robić – ani ręką, ani nogą, ani myślą.

Organizm sam, jak ta zabawka nazywana transformem – zaczął się odkształcać? Nie! On powraca do natywnej postaci! Też nie, bo nie o fizyczne elementy tu idzie. Umysł – najwyraźniej uwalniał się od trzymającej go w pewnej „gotowości” wobec detali otaczającej nas rzeczywistości. To tak, jakby nagle ze ścian zaczęły spadać, znikać obrazy, a same ściany stawały się coraz bardziej przezroczyste, ukazując – tak, park wokół domu Einsteina, ale ten również, włącznie z domkiem dla gości – rozplywają się w przed chwilą tak realnie zapamiętanej przestrzeni.

Technika filmowa potrafiłaby te metamorfozy, ów efekt morfingu świetnie zobrazować. Gdyby nie... strażnik. Cholera... Stał w drzwiach. Uśmiechnął się tylko. Cóż za pech. A już, już prawie mógłbym o sobie powiedzieć, że... byłem Einsteinem.

Przy Swarżycu...

Chciałbym, aby taki domek Einsteina był w teatrze przy Swarżycu albo w gmachu przy Władach Chrobrego. Aby scena była takim

gabinetem Einsteina. Pełnym tylko tego, co niezbędne. Ukazaniem i interpretowaniem tak, jak tego wymaga siła potrzebna do pokonania moich, przyniesionych z zewnątrz ograniczeń, nie pozwalających mi wejść w sztukę.

Wolną od głupich reżyserów, niedouczonego scenarzystów, sztamponowych aktorów.

Chcę wnikać w tę teatralną czarną dziurę, ten obszar czasoprzestrzeni, w którym grawitacja intelektualna jest tak silna, że nic – nawet światło – nie może się z niej wydostać. Żeby do powstania takiej czarnej dziury dochodziło z nagromadzenia wystarczająco dużej masy myśli i piękna, które zostaje skompresowane do objętości mojej głowy, co prowadzi do powstania osobliwości otoczonej horyzontem zdarzeń. To definicja czarnej dziury. Te zdarzenia na scenie muszą mnie absorbować bez reszty. Nie może być tak, że patrzę na sceniczne fikolki, a myślę, że jutro czeka moja zmiana opon, opłaty za gaz i rozprawa rozwodowa w sądzie.

NIE!

Żądam przywrócenia scenie teatralnej jej charakteru czarnej dziury. Nie tylko poprzez weryfikację repertuaru.

Proszę o przemyślenie wszystkich tekstów, pod względem logicznym. O dochowanie zasady spójności, następstwa miejsca i czasu, a jeśli jego brak, to uzasadnienia ukazanego w rozbudowanej formie przedstawienia. Nie chcę przywoływać (a powinienem) strzelbę Czechowa. Ale w przeciwnym razie, te smugi, rozmazania znaczeniowe, przypadkowo poukładane sceny nadal tworzyć będą kipisz, jaki z bagażem podręcznych potrafil niegdyś zrobić celnicy radzieccy i NRD-owscy.

- Słuchaj! – pytam dokładnie tak samo jak ja przygotowanego do obcowania z teatrem i literaturą kolegę. – Czy dowolna wymiana miejsca poszczególnych scen w spektaklu „Po burzy”, zostawiając początek i koniec – ma jakikolwiek wpływ na - daruj – cokolwiek? Nie będę obrażał czyjejkolwiek inteligencji przywołując tu kategorie takie jak wspomina spójność tekstu. Ta nie musi być linearna.

- No... - po zastanowieniu się, mój kolega, juror, autor odpowiada – No, nie. Nic nie zmienia.

- A usunięcie połowy tych scen i skrócenie spektaklu o połowę – zmieni coś w braku wybrzmienia czegokolwiek z tego pustego w swoim przesłaniu przedstawienia?

- No... - po zastanowieniu mój kolega, juror, autor odpowiada – No, nie. Nic nie zmienia.

- To powiedz, co my tu robimy?

- No... - po zastanowieniu mój kolega, juror, autor, odpowiada – To ty powiedziałeś: pójdziemy pogadać po spektaklu... Mogliśmy iść od razu, ale skoro chciałeś iść na spektakl...

Jest to fantastyczna, chyba zupełnie pomijana kwestia: opis spektaklu a jego realizacja. Na stronie internetowej teatru przeczyta człowiek skondensowaną charakterystykę, wbije sobie ją do głowy, zapamięta, że teatr to będzie nowatorski, fantastyczny, unikalny, niezwykły, nadzwyczajny, wyjątkowy, niezapomniany i każdy inny... niany. Kurtyna idzie w górę, a ty cierpisz i w duchu wyjesz. Gdzie ten obiecany sceniczny "cud mniemany"? Na scenie poważni, lubiani przez ciebie aktorzy robią z siebie durniów, bo reżyser (o.m.c.!) sobie coś wyśnił. A, dyrektorze Adamie, pamięta pan, jak przed laty ściał pan o połowę spektakl tuż przed premierą? Reżyser się na pana obraził, ale przedstawienie zostało - powiedzmy - zreanimowane. Proszę zrobić to samo z "Po burzy", a najlepiej, wracajmy do portu! Wszyscy do żagli! S.O.S.

Szczecińska publiczność jest niema. Nie komentuje, nie recenzuje, nie kupuje biletów, bo robią to firmy, ich działy socjalne i na widowni ciągle całe rzędy są wypełnione głównie koleżankami z pracy.

Wszystkim wszystko się podoba, głównie to, że wyszli z domu, ładnie się ubrali, pośmiali, pogadali, nie stracili, bo to jeszcze i autokar firma wynajęła, a po teatrze można się z małpką pocałować, jak usłyszałem na schodach, gdy jedna z pań szukała numerka do szatni, a z wnętrza torebki dobiegł delikatny, dźwięk jakby okaryny, szklisty i czysty.

Koty mówią po japońsku

Siadamy na niewielkim tarasie. Kos śpiewa z taką intensywnością, jak ten z Caputh.

Olo popisuje się umiejętnością odbijania piłki do basketbaku.

- A gdybyś ty mógł być tą piłką...

- Dziadek, zwiariowałeś? Od razu zawieźliby mnie w gipsie do szpitala...

- Ale gdybyś jednak był taką piłką, no pomyśl... Odbijasz się, lecisz w górę, opadasz, znów się odbijasz, lecisz w górę...

Olo łapie piłkę. Przygląda się jej uważnie. Oczy walczą z wyobraźnią. Dłonie sprawdzają szorstkość powierzchni piłki.

- Gdybyś był piłką.... - kuszę chłopięcą wyobraźnię.

Olo zgrabnie rzuca piłkę w stronę kosza. Jest! Trafienie idealne. Siada na schodku tarasu. Chwilę milczy.

- Jak się te ciastka z zieloną polewą nazywały? – zagaduję po chwili, by wyrwać go z tego stanu piłkowej nieważkości. Zawsze odpowiadał entuzjastycznie, bo wiedział, że po takim pytaniu zazwyczaj idziemy do cukierni. Teraz bąknął pod nosem coś, pewnie nazwę ciastka.

- A wiesz, że można rozumieć mowę kotów? Ja znam ich język. Nawet japoński....

Uśmiechnąłem się w myślach.

- Ale nie ma podręczników do nauki kociego języka japońskiego....

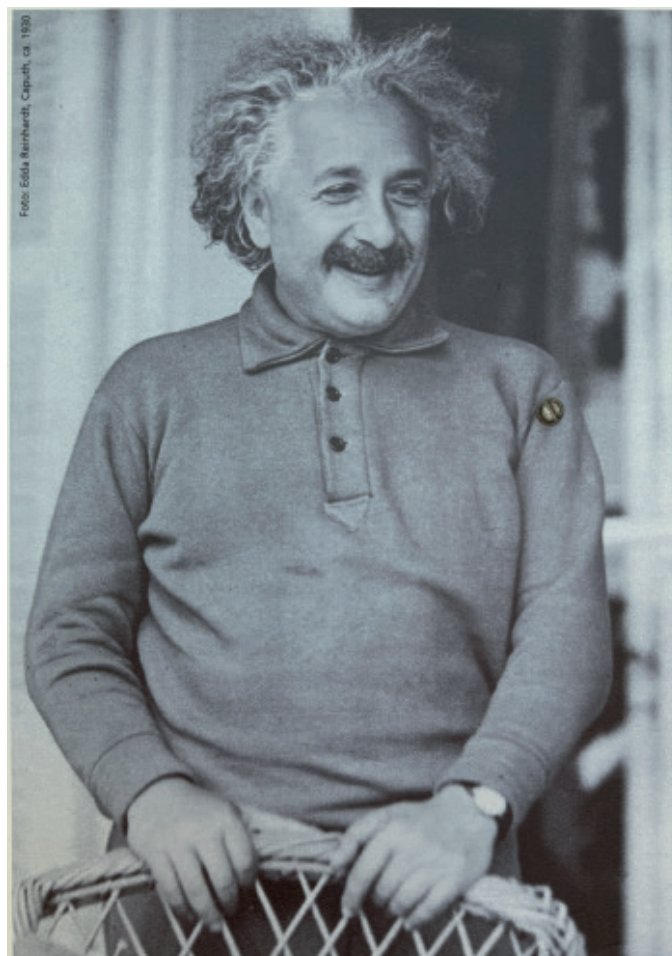
- Tu nie jest potrzebny podręcznik. Musisz tylko popatrzeć na takiego kota i zapytać, go: gadamy po japońsku? On ci odpowiada, że tak. No, i gadacie.

- Po japońsku?

- Tak. Kot mojej pani ze szkoły też mówi po japońsku. – Olo tym argumentem właściwie kończy dyskusję i rozwiewa moje wątpliwości. No bo skoro także kot pani nauczycielki mówi po japońsku...

Hm. Czyli... mając dziesięć lat można jeszcze być Einsteinem... Wnikać w światy i sfery, schowane za scenografią sceny naszego życia...

Taki teatr lubiłbym najbardziej.

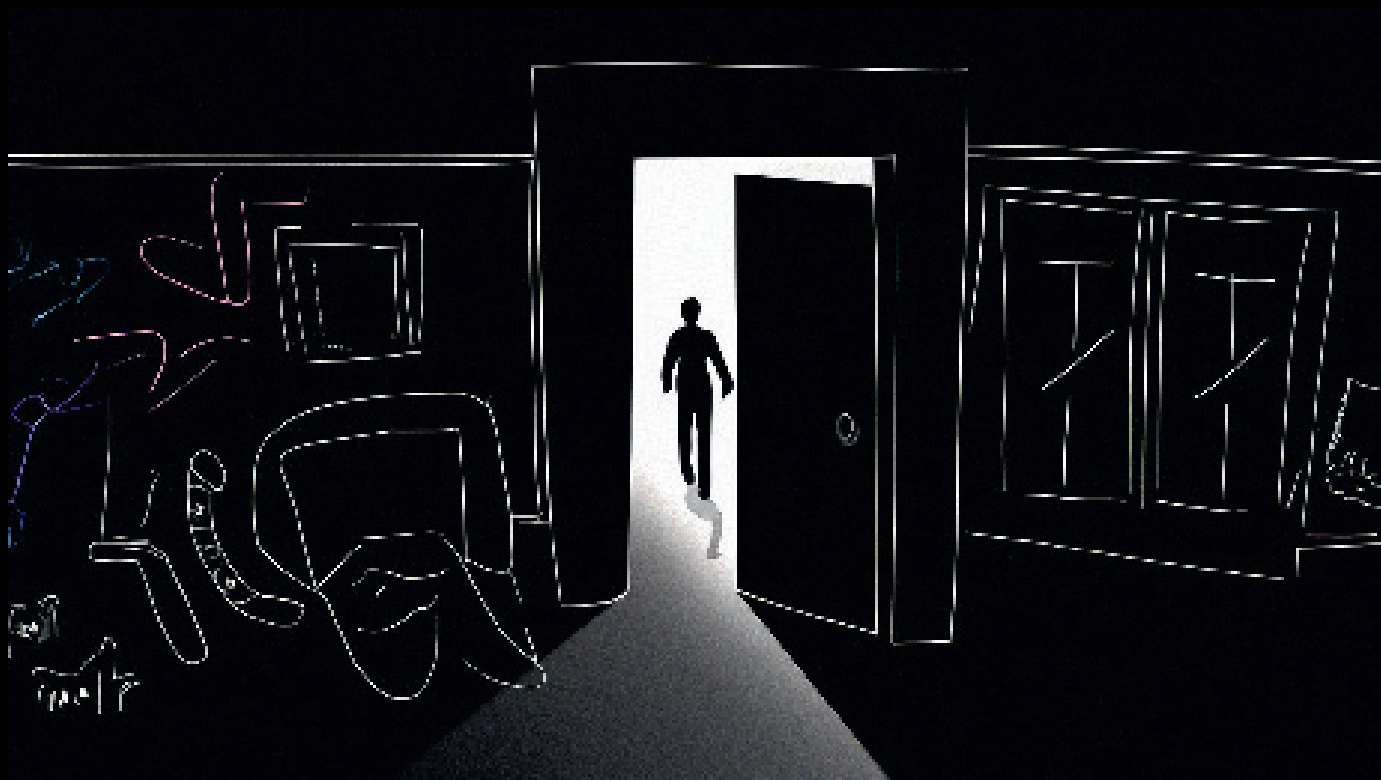


Caputh - zdjęcie Alberta Einsteina na tablicy przed jego domem.

Widzę ją i... nienawidzę.

Nieporęczna, trudna w montażu, ale skuteczna - kosztem mojego stresu i wysiłku. Źle przymocowana do rantu stołu kuchennego, spadała z łoskotem na podłogę, a niekiedy wyrывała przy tym kawałek blatu. Kręcąc korbą uruchamiałem jej tnącą, miażdżącą ślimacznicę, która mięso i dodatki wrzucone do gardzieli zamieniała w beztęściwą masę, pulpę, mięsną plastelinę, z której powstać mogły tylko... kotlety mielone.

Maszynka do mielenia... historii



Ludzie chorują, świat chromieje, czyny stają się mniej wzniosłe, podupadają na szlachetności najstarsze nawet postanowienia.

Niedołężnie zapal, gaśnie ochota, słabnie nadzieja, rozplywa się pewność, puchnie zwątpienie.

Drzewa usychają, książki beznadziejnie szukają treści, obrazy tracą głębię.

Przezesane gwałtownym ruchem ręki włosy jakiejś R. nie chcą wrócić w swoje miejsce. Bawi się nimi. Wie, że wirtualnie ją obserwuję.

Zdechł pies sąsiadów.

Nie wzeszły dwie lewkonie, konewka się zapodziała, z koła taczki zeszło powietrze, bateria w pilocie się wyczerpała. A co miała robić, nieużywana od miesięcy?

Przez uchylone drzwi do pokoju wpadł wielki bąk, ale... zawrócił; po chwili ucił złowrogi dźwięk jego skrzydeł. Szkoda. Przyniósł tyle życia.

Cichnie czas.

Z głośnika dobiega drugie nagranie Glena Goulda, bachowskich wariacji goldbergowskich, BWV 988. Mówią – to jest to gorsze wykonanie. Ja – bardziej zawzięte. Dźwięki fortepianu skupione, jak impulsy na ekranie oscyloskopu. Z trudem nie popadają w arytmię.

Mieł w sobie tę rzeczywistość, widzę, jak odchodzi, mija, przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Spoglądam na zegar, od lat nienakręcany. Pod wahadłem widzę ten kończący się w tej chwili kwadrans życia, wypełnionego zapisaną powyżej niby-treścią, złożoną z obserwacji i myśli, zmielonych w maszynce życiowego recyklingu. (*Cóż za mowa-trawa*).

Czy kiedykolwiek, którykolwiek z elementów powyższego opisu wróci do mnie jako niezależny refleks, wspomnienie?

Nigdy. Bo i po co?

Czy to feler jakiś w naszej egzystencji? Dlaczego programujący nas Demiurg pozwolił sobie na nedoróbkę taką, jak każdy z nas? Tyle mamy w sobie niewykorzystanego potencjału naszego jestestwa.

Męstwo

Podniosłem z podłogi kilka książek, a na ich miejscu ułożyłem kolejne, te z kartonu, który wreszcie wyjąłem z bagażnika. Przejechały pewnie ze trzy tysiące kilometrów. O, jakie zadowolone! Zaraz wcisnę je na półki, na których i tak nie ma miejsca. Czy kiedykolwiek sięgnę po nie jeszcze?

Jakaś kartka... Wiesz? Ha! Pamiętam... To słowa poety, który zdradzał żonę z mężczyznami, ale umarł z tęsknoty za nią.

By obejrzeć się

Trzeba tak wielkiego męstwa

Tylko tyle zapisałem... Ale kiedy? W jakim celu? Czuję zakłopotanie... Jak zapalona zapalka, która świecy płomienia nie przekazała.

Męstwo potwierdzone

Moja umysłowość zbudowana jest na kształt... rozbitego szkła. Nie ma znaczenia, czy było ono wagą z chińskiej porcelany sprzed pięciu tysięcy lat czy nieudolnie odstawioną szklanką. Konstrukcja utworzona z rozprysniętych na posadzce odłamków obrazuje konotacje, znaczenia, odniesienia, powiązania, relacje, zależności – wielką semantyczno-emocjonalną maszynę takiego słowa jak... męstwo.

Bywa – sam prowokuję takie katastrofy.

Upuszczam słowo i patrzę, z czego się składa, co w sobie kryje.

Pozostaję pod wrażeniem pamiętników architekta, inżyniera Jerzego Kędzierskiego, które z maszynopisu, złożonego w Książnicy Pomorskiej cytowałem w poprzednich trzech numerach miesięcznika TVSiódemka.

Wzruszające i uczące pokory są zapiski tego głównego reanimatora powojennego Szczecina, a później także regionu. Inni rozkładali wnyki, kopali wilcze doły, zastawiali polityczne pułapki, a on dzień i noc uruchamiał agregaty, remontował domy, organizował instytucje, odgruzowywał, zabezpieczał, modernizował i inspirował. **Zróbmy, postarajmy się, wytrzymajmy jeszcze te parę tygodni. Warto.**

Pupil władzy, ideowiec, marzyciel, stachanowiec, uhonorowany jedną z pierwszych odznak Gryfa Pomorskiego i... wyrokiem trzech i pół roku bezwzględnego więzienia za niepopelnione czyny. Po wyjściu z zakładu karnego, po kilku miesiącach beznadziejnego poszukiwania pracy (ludzi politycznie trędownych się wtedy nie zatrudniało) – wrócił do więzienia z prośbą o miejsce w celi. Nie miał za co żyć, syna relegowano z uczelni, żonę pośpiesznie wyprowadzono z ich willi.

Swoje szczecińskie dzieje opisał na kilkudziesięciu stronach, a tej ostatniej sprawie poświęcił ledwie dwa zdania.

Al... mieliśmy mówić o męstwie... Czy to byłby dobry przykład?

Obejrzyć się...

Kolejny trop. A może topos?

Nie rozważania teoretyczno-literackie mnie przygniatą. Ale kolejne, domykające się koło czasu. Przeżyty właśnie rok. Jaki był? Jak przyprawa dodana do bigosu? Zmieni jego smak, uszlachetni, a może zakwasi? Iść do przodu czy oglądać się za siebie?

Przed sekundą napisał do mnie pan prof. Stanisław Rakusa-Suszczewski: **szukam składu osobowego wyprawy z roku 1960 do Hornsundu (letnia), prowadził S. Siedlecki, byłem tam i ja, 22 letni student UW...** Przypadek? Natrafił w internecie na moją stronę poświęconą badaniom polarnym. Człowiek-legenda, m.in. autor historii polskich wypraw i podróży polarnych.

Wiele miesięcy spędziłem na budowaniu listy polskich polarników. Bezskutecznie. Ani instytucje badawcze, ani Polska Akademia Nauk, a także uczestnicy tych wypraw nie widzieli potrzeby dostatecznego udokumentowania wielomiesięcznych przygotowań, a potem wypraw, by... oni sami, po latach mogli aktywować swoją własną pamięć na temat czasów i ludzi, z którymi współtworzyli historię.



Maria Kurecka

Namawiałem prof. Jana Szupryczyńskiego, z którym przeszedłem szlak husów i domków traperskich na Spitsbergenie.

- I co z tego, że byliśmy tam prawie pół wieku temu... Coś tam jeszcze pamiętamy, ale ta wiedza bezpowrotnie odejdzie wraz z nami.

- Właśnie... To "pół wieku temu" mnie uwiera... - odpowiedział profesor. - Obejrzy się pan... a tam, w pamięci, już "nic nie widać". Minęło. Wyślę panu kilka zdjęć z tamtych lat. Ku pamięci!

Ja wysłałem profesorowi link do kilku audycji, jakie wtedy zrealizowałem.

- Dziwnie słucha się swojego głosu sprzed... no, prawie pół wieku.

Przez dłuższą chwilę milczeliśmy. Czy obaj widzieliśmy w tym czasie gęstniejącą w ultramarynie, bezdenną szczelinę w lodowcu, z głębi której dobiegał łoskot lodowej rzeki, drażącej odwieczną zmarzlinę?

Nie pamiętam... Ale tak mogło być...

Historia

Sam sobie nogę podkładałem. Po co brnę w ten zaułek? Tyle razy wyprawiałem się w różne labirynty – wychodziłem z nich z nierówno zwiniętym motkiem nici, ale bez wiedzy, informacji czy choćby przekonania, intuicji, że jakiś fakt lub wydarzenie mogło przebiegać tak, jak rekonstruuje je w mojej świadomości. Po tylu latach! I po co? Dla kogo?

Dzieciom naszym

Siedzę w czytelni rękopisów Książnicy Pomorskiej. Z szarej koperty wydaję szkolny zeszyt. Pochodzi ze zbiorów Marii Kureckiej-Wirpszowej. To wspomnienia o Tadeuszu Borowskim, Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim, Władysławie Broniewskim, Stanisławie Jerzym Lecu.

Ale to przecież Ona, żona Witolda Wirpszy mnie interesuje, z okresu szczecińskiego. Jak czas ten zapamiętała, czy opisała fakty warte przypomnienia, abym mijające osiemdziesiąt lat polskiego Szczecina mógł choć trochę uszczegółowić, zarysować, uplastyczyć, nasycić treścią, a przede wszystkim czynami i myślami ludzi tę polskość (dziwne słowo, może lepiej mówić: obecność?) tutaj budujących?

Hm... Zrazu zbagatelizowałem tę dedykację. Dopiero później pojawiło się... podejrzenie, myśl, dlaczego chciała, aby te wspomnienia trafiły **w ręce jej dzieci?**

Dziś 1 maja... Piękny dzień 2025 roku. Pierwszy przy stoliku, na ogrodzie w towarzystwie Azalii... nowej primabaleriny... Urośnie do wysokości nawet dwóch merów, zapewnił mnie holenderski ogrodnik.

Czytam notatki. Starannie utrwalone ręką, widać, wprawianą w ćwiczenia z kaligrafii. I co chwilę od wielkiej szyby drzwi tarasowych odbijają się owady. Kot, zlizując resztkę świątecznego śniadania, niczym kontroler lotów tych kamikadze, nadziwić się nie może, co miłego owi straceńcy widzą w rozbijaniu się o tę szklaną przeszkodę? Szyba jest niepokonywalną granicą, choć... wszystko przez siebie przepuszcza. W obie strony. Jest o wiele wyżej zaawansowanym technicznie wynalazkiem niż nasza pamięć? Śmieję się, do odbicia...

Jerzy Kędzierski pisał wprost – największą atrakcją dla człowieka, pozbawionego w Powstaniu Warszawskim domu, pamięci, bliskich – była „ucieczka” do Szczecina, gdzie na twórców czekała okazała, umebłowana willa. W pobliskim Berlinie tanio można było zdobyć auto.

Do tego - godziwe wynagrodzenie, ciekawa praca i misyjność: odbudowa życia w zbombardowanym mieście.

W szkicu Tatiany Czarskiej, Z archiwum Marii Kureckiej: zapiski szczecińskie (Pamiętnik Literacki 2024, 4, s. 225-244) przeczytałem:

„W roku 1947 wraz z urodzonym rok wcześniej synem Aleksandrem (późniejszym poetą i literaturoznawcą, publikującym pod pseudonimem Leszek Szaruga) przenieśli się do Szczecina, gdzie w 1948 r. przysłała na świat ich córka Lidia. Szczecin po drugiej wojnie światowej został oddany oficjalnie ludności polskiej 5 VII 1945. Pierwszy wojewoda szczeciński, Leonard Borkowicz, widząc potrzebę intelektualnego rozwoju regionu, podjął misję zorganizowania „osadnictwa literatów”. Postanowił założyć kolonię pisarzy, oferując im szczególne warunki, m.in. w postaci przydziału poniemieckich willi oraz prestiżowych stanowisk. Ludzie kultury zyskali wsparcie materialne, mieszkaniowe, zawodowe, angażując się w życie kulturalne miasta, odzyskując i gromadząc księgozbiory oraz oczywiście pracując twórczo. W roku 1947 Witold Wirpsza, „członek-kandydat krakowskiego oddziału” Związku Zawodowego Literatów Polskich, zwrócił się z prośbą o przydzielenie mu „willi miejskiej w okolicy Jeleniej Góry, Wrocławia lub Szczecina”.

Tadeusz Borowski | kiedy go poznałam? Nie potrafię
powiedzieć. I chyba nie ja jedna tylko doświadczałam ucie-
cia, że znalazł się od nas pamiętnych lat. - W Krakowie,
w 1946 roku, ktoś przyniósł nam do domu zielony,
pięknie uoficynie monachijskiej wydany tomik wiers-
zy: „Imiona murku”. Czytaliśmy wówczas po raz
pierwszy słowa, które potem iluś nas (i w jawnie róż-
nych intencjach) cytować miało przy najnormalniejszych
okazjach:
... „zostanie po nas złom zielony
i głudy, drogiuś imię pokoleni” -
a także: „jeżeli kiedyś się spotkamy
kolego, chłopce z emigracji -
wiedzi, że byliśmy dawaj oinni
i żaden z nas dwóch nie miał racji” -
Mieszkamle moje cykają, bo z pamięci, lecz nie precy-
nie o cytatach. -

Rekopis Marii Kureckiej-Wirpszy, Książnica Pomorska

Poeta po przyjeździe do Szczecina otrzymał stanowisko naczelnika Wydziału Kultury i Sztuki w Urzędzie Województwa Szczecińskiego. Wraz z Borkowiczem zaczął organizować życie kulturalne na Pomorzu Zachodnim. W roku 1949 za jego namową w Szczecinie osiedlili się Wiktor Woroszyński z żoną Janiną, w tym samym roku już w tym mieście przyszedł na świat ich syn Feliks. Wirpsza został sekretarzem miejscowego oddziału ZLP (funkcję prezesa objął Jerzy Andrzejewski), z jego inicjatywy powstało też około 1951 r. Koło Młodych, w którym aktywnie udzielała się Kurecka. Dom Wirpszów – wspominał Szaruga – stanowił „rodzaj wczasowiska dla pisarzy, którzy byli przyjaciółmi rodziców”: „Pamiętam spośród przyjeżdżających tylko Tadeusza [Różewicza] i Wisławę Szymborską”. W swoim domu przy ul. Pogodnej małżonkowie zorganizowali salon literacki. Gościli w Szczecinie licznych pisarzy oraz artystów. Domy szczecińskich pisarzy, położone wśród lasów, nieopodal małowicznego jeziora, świetnie nadawały się do podejmowania gości. Stąd możliwość prowadzenia całonocnych rozmów o literaturze, bo „o polityce się nie dyskutowało” i zamknięcie we własnym środowisku. Do Szczecina, czy raczej na Głębokie, przyjeżdżali Tadeusz Borowski, Tadeusz Różewicz, Andrzej Braun, Wisława Szymborska, a przy okazji wygłaszali odczyty dla mieszkańców miasta. (...) Z kolei Andrzejewscy gościli np. Miłosza i Iwaszkiewicza. Poniemieckie wille nie zaspokajały jednak innych potrzeb pisarzy. Wirpsza, podobnie jak Woroszyński i Andrzejewski, poza radością z posiadanego domu odczuwał pustkę związaną z odosobnieniem, izolacją – szczególnie że Głębokie, dzielnica, w której zamieszkali, była znacznie oddalona od centrum miasta. Tkwiąc w literackim getcie, uodparniali się na bezpardonową walkę komunistów z jakąkolwiek opozycją. Dobrze opisał to Miłosz, odwiedzający Szczecin i Andrzejewskiego: „Oni osiedli w najlepszym z możliwych światów. [...] To był świetny pomysł ze strony

partii, żeby ich tam umieścić. Aresztowania słabo docierały do willi w Szczecinie”. Jak wspominała Anna Iwaszkiewiczowa, goszcząca podczas słynnego Zjazdu ZLP w 1949 r. w Szczecinie: Andrzejewscy mają wspaniałe radio, które, jak twierdzą, było dotychczas jedynym ich kontaktem ze światem, a zwłaszcza ze sztuką, bo teatr został otwarty dokładnie w czasie zjazdu, a koncertów podobno tam nie ma. [...] Andrzejewscy mieszkają w małym, ślicznym domku, który wojewoda dał na ich rozporządzenie. [...] Fatalny jest tylko brak dobrej komunikacji z miastem, bo będzie do nich chyba jakie piętnaście kilometrów od centrum miasta. [...] W rezultacie są mniej więcej „odcięci” od świata. Na podobne niewygody skarży się w zapiskach Kurecka. Po roku Wirpsza rozstał się ze stanowiskiem urzędnika. W kolejnych latach on i jego żona utrzymywali się z działalności literackiej oraz z pracy w lokalnych czasopiśmie i radiu. (...) Najpierw współpracowała ona z Rozgłośnią Szczecińską Polskiego Radia, gdzie prowadziła cotygodniowe audycje „Co czytać” oraz cykliczne programy „Wśród książek” – o nowościach wydawniczych (przekładach z języków obcych). W latach 1954–1955 kierowała działem literackim w PR Szczecin, a w okresie 1953–1955 opiekowała się Kółem Młodych przy szczecińskim oddziale Związku Literatów Polskich, w którym działała od 1950 roku. W niepublikowanej korespondencji między Marią i Witoldem Wirpszami a Janiną i Wiktorem Woroszyńskimi można przeczytać, że już w 1953 r. małżeństwo zamierzało pójść w ślady przyjaciół, którzy opuścili Szczecin dwa lata wcześniej, i wyprowadzić się do Warszawy lub w jej okolicy. (...) Ale problemem nie była lokalizacja mieszkania, lecz pustoszące środowisko kulturalne Szczecina i widoczne coraz wyraźniej załamanie się pięknej wizji Borkowicza o stworzeniu z tego miasta stolicy kulturalnej ziem przygranicznych. W archiwum Wirpszy zachowała się notatka opatrzona datą 8 V 1954 i zatytułowana:

Dlaczego nie chcę być prezesem? (prezesem szczecińskiego oddziału ZLP). **Poeta w punktach wymienia, co skłania go do takiej decyzji – jest to przede wszystkim brak bazy dla instytucji kulturowej, na którą składałyby się wyższe uczelnie artystyczne (szkoła teatralna, konserwatorium, wyższa szkoła plastyczna, wydział humanistyczny). Dodaje do tego zniknięcie z kulturalnego pejzażu miasta tygodnika literackiego, nagrody literackiej, wydziału architektury i wreszcie odpływ literatów. Jako przyczynę wskazuje centralizację życia kulturalnego i literackiego w kraju oraz idący w ślad za tym brak zainteresowania władz centralnych rozwojem kultury w Szczecinie.** W roku 1956 Wirpszowie ostatecznie zdecydowali opuścić Szczecin i przenieść się do Warszawy i mieszkali tam do r. 1970, do momentu wyjazdu za granicę. Wirpsza wyjechał na zaproszenie wydawcy w Lucernie w lutym 1970. Po publikacji w szwajcarskim wydawnictwie historyzoficznego i politologicznego eseju „Polaku, kim jesteś?”, w którym dokonał obrachunku z polskością, szczególnie z komunistycznym zacządem, nie mógł już wrócić do Polski. W roku 1972 został obłożony zakazem druku, a krajowa prasa rozpętała na niego nagonkę, oczywiście na zlecenie partyjnych decydentów. Kiedy władze nie przedłużyły Wirpszom paszportów, małżonkowie postanowili zostać na obczyźnie. W przypadku Kureckiej jest to emigracja towarzysząca. Pisarka nie miała zamiaru opuszczać kraju na stałe, zmusiły ją do tego okoliczności. Wirpszowie zamieszkali w Berlinie Zachodnim, gdzie Kurecka w 1982 r. skończyła studia romanistyczne i bibliotekoznawcze na Wolnym Uniwersytecie.

Kolonia pisarzy

Oto idea wojewody Borkowicza. Dziś z rozrzuconiem wręcz niektórzy zastanawiają się: dlaczego tak wielu znakomitych twórców – uciekło stąd, jakby ziemia ta była skażona, bezpłodna, „niewłasna”.

Nie pozwoliła stworzyć dzieł ważnych i zapamiętanych. Meteoryty w postaci wierszy, reportaży, publicystyki – nie wykraczają poza porządną standard. Twórczość „kolonistów” zaowocowała później, już z dala od tych portowych dźwigów, od wiatru między masztami...

Kiedyś kochałem te opisy, dziś... krępują mnie swoją naiwnością. Zaprogramowaniem na określony efekt. Bo nie wynikały z przeżycia i refleksji, nie były sumą dziedzictwa, plonem doświadczenia, naturalności typowej dla ludzi zasiedziały w miejscu, które stygmatyzuje człowieka swoją specyfiką.

O Marii Kureckiej-Wirpszy przeczytamy w każdej encyklopedii i słowniku poświęconym pisarzom oraz tłumaczom. Przypomnę (za Wikipedią) najważniejsze fakty:

W latach 1921–1939 mieszkała w Gdańsku, gdzie jej ojciec (posiadający obywatelstwo gdańskie) był dość zamożnym przedsiębiorcą w branży spedycji międzynarodowej. Władze III Rzeszy skonfiskowały ojcu mieszkanie w Gdańsku i cały majątek, a w 1940 r. osadzili go w Dachau, gdzie niebawem zmarł. Kurecka spędziła cały okres okupacji w Warszawie. Była sanitariuszką w powstaniu warszawskim. (...) Zadebiutowała w 1948 r. na łamach „Wiadomości Literackich” jako tłumaczka *Dżumy* A. Camusa. Wspólnie z mężem tłumaczyła *Doktora Faustusa* T. Manna. W latach 1955–1970 mieszkała w Warszawie. W tym okresie powstały jej najważniejsze tłumaczenia (często wraz z mężem). Zajmowała się też własną twórczością: napisała książki biograficzne o H. Ch. Andersenie i T. Mannie oraz esej *Diabelne tarapaty*. Atmosfera w Polsce po marcu 1968 r. skłoniła ją do emigracji wraz z mężem. (...) Współpracowała z Rozgłośnią Polską Radia Wolna Europa i z prasą emigracyjną – paryską „Kulturą” i berlińskim „Archipelagiem”.

Tacy byli niewygodni...

Cytuję fragmenty zapisków. O ludziach bliskich i ważnych... A przecież znała ich wielu. Wybrała tych właśnie. Ale ja w każdym miejscu tej relacji szukam jednak Jej samej. Nie wystarczają mi Jej wyjaśnienia, powody, dla których pewne fakty utrzymywała. Chcę zrozumieć, dlaczego

i właśnie w taki, a nie inny sposób to czyniła? Chcę **odkryć prawdę ukrytą pod prawdą**. Być może nic tam nie ma. Zobaczmy...

Maria Kurecka-Wirpsza Czas przeszły dokonany

Wspomnienia o Tadeuszu Borowskim

Dzieciom naszym

Migawki jedynie, słów parę o ludziach, których znałam, których myśli i praca wiele znaczyły dla wielu – wiele też często wywołując kontrowersji. Atakowani – jakże nieraz brutalnie za życia – zastęgli po śmierci w pozach posagowych – „ubrażowieni” – jakby to może określił Boy, utrwaleni na taśmach magnetofonowych i płytach, w podręcznikach szkolnych i powielanych – nie zawsze najlepszych – fotografiach, albo też po prostu przysypani zostali pyłem niepamięci, z wyraźnym poczuciem ulgi wśród tych, którzy pozostali. **Bo za życia – tacy byli niewygodni, nieporęczni, tak trudno było ich gdzieś zaszufladkować, raz na zawsze umiejscowić, uładzić i uładzić. Tak bardzo byli inni.** (...)

Skoro spisuję te na wskroś osobiste i ułamkowe – z konieczności – jedynie migawki o nich – tu, po drugiej stronie Bałtyku, podczas słynnych, skandynawskich „białych nocy” – robię to nie z myślą o publikacji, ani ze snobizmu czy wygórowanych własnych ambicji. (...) Chcę więc, aby ci, którzy notatki te odnajdą może, gdy mnie już na świecie nie będzie, przeczytali je z myślą o celu, który przy ich pisaniu mi przyświecał i który tak dobrze określił w swych „Pieśniach” K.I. Gałczyński. Chcę po prostu – ocalić od zapomnienia. (...)

Tadeusz Borowski

(...) W Krakowie w 1946 roku, ktoś przyniósł nam do domu zielony, pięknie w monachijskiej oficynie wydany tomik wierszy „Imiona nurtu”. Czytaliśmy wówczas po raz pierwszy słowa, które potem ileż razy (i w jakże różnych intencjach) cytować miano przy najrozmaitszych okazjach.



Tadeusz Borowski. Fot. Benedykt Jerzy Dorys

**...zostanie po nas złom żelazny
i głuchy, drwiący śmiech pokoleń.**

A także:

**Jeżeli kiedyś się spotkamy
kolego, chłopcze z emigracji –
wiedz, że byliśmy obaj winni
i żaden z nas dwóch nie miał racji.**

Nieścisłe może cytuję, bo z pamięci. Lecz rzecz przecież nie w cytatach.

Nie pamiętam też Tadeusza, ze słynnego ówczesnego zjazdu (polonistów?) w 1946 czy 47 roku w Warszawie, na którym z właściwą sobie zapalczywością występował i z najgłębszym przekonaniem wołał, że „demokracji trzeba patrzeć na palce”.

(...) Mieszkaliśmy podówczas w Szczecinie, z dala od kotłowniska ludzi przeróżnych przekonań i poglądów, od zgiełku i harmideru Krakowa i niebawem także Warszawy. Żyliśmy w dość pionierskich warunkach, chłodno i głodno, borykając się z codziennym niedostatkiem i pracując tak, jak – podówczas – umieliśmy i chcieli. Jedyntym tytułem mojego uczestnictwa w pierwszym spotkaniu literackiego narybku w Nieborowie – był fragment *Dżumy* Camusa, który przetłumaczyłam dla własnej jedynie przyjemności, a który wydrukowany został w świętecznym czy noworocznym numerze „Nowin Literackich”, redagowanych w owym czasie przez J. Iwaszkiewicza. Oszolomiona - tkwiłam w kącie podczas gromkich obrad i dyskusji – oprócz T. Różewicza oraz potężnej i pod każdym wówczas względem przytłaczającej postaci S. Żółkiewskiego, nikogo prawie z całej tej imprezy nie zapamiętałam.

Tadeusza (Borowskiego – podkr. M.K.) i Tuśkę pamiętam natomiast żywo z Warszawy. W małym ich mieszkaniu, na Kaliskiej 17 kotłowało się wiecznie od ludzi. Przychodził, kto chciał i kiedy chciał. W pamięci tkwi mi jakaś bezkresna i zajadła dysputa z Turowiczem, nieśmiertelnym redaktorem „Tygodnika Powszechnego”, jakieś gwałtowne spory o Hemingwaya (którego Tadeusz pochłaniał w tym okresie zachłannie), jakieś – późniejsze już w osobach nieokreślone – niezapamiętane – dyskusje – „co robić” – z chwilą, gdy na szczecińskim zjeździe oficjalnie proklamowana została **teoria realizmu socjalistycznego**.

Na Kaliską zaglądałam często, wczesnym rankiem, prosto z pociągu szczecińskiego, który co parę tygodni przywoził mnie do Warszawy (dla chleba panie, dla chleba), gdzie wędrowałam po wydawnictwach jak zbłąkana owca, zebrząc usilnie o jakieś książki do tłumaczenia. O hotelach nikomu się w owych czasach nawet nie śniło – często więc nocowałam też na Kaliskiej, w jednym, choć obszernym pokoju, wraz z gościnnymi gospodarzami. Tuśka parzyła na małej, gazowej kuchence, w korytarzu wręcz astronomiczną ilość herbaty – a bywało, że przegadywaliśmy noc aż do rana.

Tadeusz był uprzejmy, koleżeński. Z troską dopytywał o mizerne nasze warunki w Szczecinie. Kiedyś sam przyjechał ze mną do PIW-u, chcąc mi pomóc by znaleźć jakąś robotę – i bardzo był zafrasowany, że nic konkretnego na razie i jemu – pisarzowi, wokół którego po drukowanych w „Twórczości” opowiadaniach (*Dzień na Harmenzach*, *Grunwald* i *Proszę państwa do gazu*), po wydanym już i z entuzjazmem wówczas przyjętym *Pożegnaniu z Marią* zaczynało być tłumnie i głośno – obiecać nie umiano.

Na zjazd literatów do Szczecina przyjechał z Tuśką i zamieszkał w naszym domu na Głębokim. Zielone przedmieście, ukryte w wielkim lesie, jezioro owszem, głębokie (36 m) – tuż obok. Nie oni jedni u nas jednak wówczas mieszkali i znów z burzliwych owych dni niewiele pamiętam, zwłaszcza, że mała nasza córka miała wówczas ledwie parę tygodni i dużo mi zajmowała czasu. Pozostała mi w pamięci jedynie wspólna nasza we troje (z Tuśką) wędrowka przez las, do tramwajowego przystanku. Tadeusz był mroczny, przygnębiony i zdenerwowany. Początkowo myślałam, że źle się czuje (wieczorem wypiliśmy trochę wódki – Tadeusz źle znosił alkohol i raczej go unikał) – potem przekonałam się, że źle samopoczucie jest natury raczej psychicznej. Wyprzeżał nas nieco na drodze, szedł szybko, nerwowo, swym obozowym rozkołysanym krokiem – krępy, zwarty i – zły. Wreszcie zatrzymał się niespodziewanie, odwrócił, spojrzał niebieskimi oczami.

– No co, Wirpszyca (on jeden mnie tak nazywał i miał prawo nazywać) – podoba ci się ten socjalny realizm??

Wykręciłam się jakąś bzdurną odpowiedzią. Ale Tadeusza zbyć nie było łatwo.



– Puntek i Pucka (tak nazywały się po „domowemu” nasze dzieci) – wychowają się już na takiej nowej literaturze – dorzucił i podobnie też potem na dedykacji *Kamiennego świata* napisał.

(...)

Pamiętam, że wkrótce potem wyjechali razem z Tuśką do NRD. (...) Przyjeżdżał potem do Szczecina z Kubą, nieco – nawet bardzo – „na wyrost” kreowanym na pisarza politrukiem NRD-dowskim, nerwowym rudzielcem. Z zapalem, przekonaniem i jak najbardziej serio mówili wiele o konieczności utrzymania granicy na Odrze, o potrzebie przyjaznych kontaktów z niemieckimi sąsiadami. (...) I w tym czasie Tadeusz – który nic połowicznie robić nie umiał – jął, coraz bardziej odchodząc od pracy literackiej, a zagłębiać się w robotę polityczno-propagandową. Pisał słynne swoje felietony w „Nowej Kulturze” (wszedł do jej redakcji, wszedł do zarządu Związku Literatów, gdzie go nie było!), szorstko odpierając zarzuty, że marnuje potężny swój talent literacki na doraźną publicystykę słowami, iż przekonany jest, że to właśnie takie powszednie „skrobanie kartofli” jest obecnie najbardziej potrzebne. Komu potrzebne?? Używaliśmy wtedy na co dzień wielkich słów – bez patosu – ale z upartą, jakże gorzko wykpioną, wyszydzoną i zawiedzioną wiarą. I mówiło się: „potrzebne ludziom”, „potrzebne krajowi”. „socjalizmowi”, „Nowemu” (zawsze dużą literą), „partii”(!!). Wierzyliśmy lub też za wszelką cenę – za cenę młodych naszych mimo straszliwości niedawnych, wojennych lat i gryzący dym krematoryjnych pieców (któż lepiej mógł to wiedzieć i odczuwać, niż właśnie Tadeusz) – ocalonych lat. Chcieliśmy wierzyć. Szczere, choć rozpaczliwe, dziecinne, naiwne było to nasze *contra spem spero* (mam nadzieję wbrew nadziei – podkr. M.K.). Czyż doprawdy – *contra spem*? Byliśmy młodzi, żądni życia, naszego w nim miejsca i udziału – coś dziwnego, że chcieliśmy aprobować istniejącą wokół rzeczywistych, afirmować ją, w niej uczestniczyć? Cóż dziwnego, że każda wzmianka o wojnie, jaką rozpętać pragną – oczywiście tylko „podli imperialiści” – budziła w nas na wskroś prawdziwą grozę, bunt i gniew?

(...) Przypominam sobie z tego już późniejszego okresu jakiś wieczór na Kaliskiej. (...) Tadeusz zasiadł do maszyny, nerwowo wystukiwał felieton. Dla „Przyjaciółki” – popularnego, kobiecego, najbardziej masowego pisma – gdzie wówczas pracowała Tuśka i gdzie pamię-

dzy poradami dla nieszczęśliwych zakochanych i przepisami kucharskimi – nieuchronnie musiała też co tydzień znajdować się odpowiednia dla poziomu (najniższego) odbiorczyń – porcja spreparowanej *ad usum delphini* (na użytek Delfina – podkr. M.K., *wydawnictwo przeznaczone dla określonego rodzaju czytelników*) propagandy.

Treści tego felietonu nie pamiętam, rzecz szła w każdym razie o jakimś malowaniu transparentów na jakąś akademię. Dziewczyna umówiła się z chłopcem – ale na randkę iść nie może, skoro wypełnić musi przecież zobowiązanie „społeczne” – i w końcu oboje chyba jęli z zapalem owe hasła i transparenty malować. Tadeusz przeczytał nam głośno ten elaborat – i – wydawał się zachwycony. Ale potem powiedział coś kpiarsko i wesoło o celu, który uświęca środki i przypomniał mi ze śmiechem, że w jednym ze swych felietonów – opowiadał (bo były już teraz i takie) dla tegoż szlachetnego celu obdarzył Witolda, mojego męża, płaszczem z oberwanym kołnierzem (opisywał wówczas wieczór autorski pod Szczecinem, który zresztą odbył się naprawdę z udziałem opisanych: *Zabawa w wódkę*).

Był utkany z samych sprzeczności. Namiętny, gwałtowny, żywy podniecający siebie (i innych), w dyskusjach aż do pasji – i jednocześnie subtelny, „cienki” – w lot chwytający każdą, niedopowiedzianą nawet myśl, żarliwy, chłonny i ludziom przychylny. Miał przyjaciół, dla których po dzień dzisiejszy pozostaje niezapomnianym, najwspanialszym i najlepszym – tak, właśnie: towarzyszem. Miał też wrogów – polityków, obłudników, karierowiczów, lizusów, sprytnych lawirantów, dwulicowców i pospolitych, lecz bystro „za wiatrem” w własne korzyści chwytających cyników – którzy podstawiali mu nogę, gdzie mogli, oczerniali, opluwali, wypisywali bzdury na temat jego – ledwo przecież, choć już tak wyraźnie zarysowanej pisarskiej indywidualności – szepłali po kawiarniach, że się „kończy”, stugębną plotką zatruwali mu coraz bardziej niełatwe życie.

(...) Był lipiec 1951 roku. W ulewny deszczu przyjechałam prosto z dworca na Plac Zamkowy. Delegowano mnie na plenum Związku Literatów, poświęcone literaturze dla dzieci i młodzieży (z racji mizerniutkiej i naiwnej, przez dziewięciu redaktorów starannie w wszelkich „odchyłach” wypranej biografii J.S. Bacha, jaką wówczas napisałam i jaką uznano za książkę „młodzieżową”). Nie zdążyłam wejść na schodki, wiodące do domu Związku, gdzie ciężkie drzwi się otwarły i wybiegł z nich z rozwidrzoną czupryną Tadeusz.

- Tuśka uradziła wczoraj córkę! – krzyknął radośnie, chwytając jednocześnie tęczkę z mojej ręki – Chodź zaraz na górę – mówił dalej nerwowo. – Obrady trwają już od rana. I atmosfera gorąca.

Atmosfera była nie tyle nawet gorąca, co duszna. Młody, świeżo kreowany, proreżimowy krytyk odsądzał, właśnie, gdy weszłam na salę – od czci i wiary dość już leciwą i wcale w literaturze dziecięcej (dotąd) zasłużoną autorkę. W pewnej chwili, gdy napięcie wzrastać zaczęło jeszcze bardziej – na mównicę wbiegł Tadeusz. Czuprynę miał nadal rozwidrzoną i spiesznymi, urywanymi słowami oznajmił, że oto urodziła mu się córka (nowinę tę przyjęto hucznymi oklaskami) i w jej imieniu proszę o dalsze, pożyteczne, socjalistyczne (tak!) książki dla dzieci.

(...)

- Pójdź ze mną jutro do Tuśki – mam przepustkę i możemy wejść o każdej godzinie po południu Ucieszy się. I małą pokażę ci przez szybę.

(...) Wreszcie spojrział na zegarek i skrzywił się – już późno, a wieczorem musi być jeszcze na jakimś oficjalnym przyjęciu. Ambasadowe nudziarstwo, pusta gadanina, wódka – słowem: ból głowy i strata czasu. Wyglądał na zmęczonego, zdeprimowanego nawet, ale przypisywałam to liczny, wielotorowy jego wówczas zajęciom, nie na ostatku też i trosce o Tuśkę, która po powrocie z oświęcimskiego obozu długo chorowała – były też obawy, czy donosi i urodzi zdrowie dziecko.

A Tadeusz pomilczał chwilę – po czym zaproponował nieoczekiwanie.

- Wiesz co? Wpadnij wieczorem na Kaliską. Sam teraz siedzę przecież. Nagadamy się – jak za dawnych czasów. Przyjdź – naprawdę – przyjdź – prosił serdecznie.

Poczułam się zaskoczona. Wiedziałam, że mimo całą dawną zażyłość o „pogadaniu jak za dawnych czasów” nawet mowy być nie może. Zbyt daleko, zbyt też niechętna byłam – marginesowa prowincjuszka – hasłom, dyrektywom, dyskusjom i sporom, które pochłaniały ostatnio cały niemal czas Tadeusza. Zbyt też słabo i ogólnikowo tylko orientowałam się w całym skomplikowanym systemie „rządzących” i „rządzonych”, w zawilej sieci intryg, plotek, komentarzy, insynuacji, „generalnych linii”, i wszelkiego rodzaju niebezpiecznych odchyłach.

Ale prośba Tadeusza była szczerą. Więcej – nagłą. Czuł widocznie potrzebę „wygadania się” – może właśnie przed kimś tak nieważnym i tak bardzo odległym od misternej płataniny trudnych owych spraw – jak ja właśnie.

Mimo to – odmówiłam. Dość niezręcznie wymruczałam, że czuję się zmęczona całodzienną gadaniną, że dużo ostatnio pracowałam i muszę odpocząć. Zresztą – jutro przecież mamy pójść razem do Tuśki – porozmawiać możemy i wtedy.

Wydawał się urażony, ale nie nalegał. Z wahaniem dorzucił już tylko, że może do kliniki wybierzemy się pojutrze dopiero – bo i on ma wiele spraw załatwić. I tak rozeszliśmy się – nijak – z koleżeńskim uściskiem dłoni. (...)

Nazajutrz miałam iść ze znajomymi do teatru. Tadeusza znali i oni (któż go nie znał w naszym niedużym światku). Zadzwoiłam o umówionej godzinie – drzwi otworzyła mi gospodyni domu – zapuchnięta od płaczu. Zdołała powiedzieć tylko:

- Tadeusz...

- Tuśka? – zareagowałam natychmiast, bo pierwszą moją myślą były jednak komplikacje poporodowe – śmierć matki albo dziecka. Ale świat zakręcił mi się w oczach, gdy posłyszałam:

- Tadeusz nie żyje.

Poszliśmy jednak do teatru. Grano Gribojedowa „Mądremu biada”. Nikt jednak nie słuchał tego, co mówiono na scenie, a w przerwach, w foyer, ludzie płakali jawnie i otwarcie. Mówiono – mówiono wiele. I o tym, że otworzył gaz nocą, dopiero wówczas, gdy wrócił z owego oficjalnego przyjęcia. I, że gdy go rankiem znaleziono – żył jeszcze, ale nie przytomny. I że nic już zrobić nie było można. I - kto i w jaki sposób powie o tym Tuśce. I – kiedy pogrzeb. I – plotki, domysły, szept – dlaczego? Dlaczego?

Już wtedy szepłali „wtajemniczeni”, że obarczony był nadmierne. Że całe lata ostatnie żył, pracował, postępował – wbrew sobie. Że była jakaś „inna kobieta”. Że – podobno – uwikłany był ponadto w tajemnicze jakieś sprawy – wywiadu czy kontrwywiadu. Że psychoza kacetu, kompletny krach psychiczny „z opóźnionym zapłonem” jedynie. Mówiono i pisano wiele. Prawdy – ostatecznej nie doszedł nikt. A listu żadnego Tadeusz – o ile mi wiadomo – nie pozostawił.

Nie poszłam na jego pogrzeb, choć byłam wówczas jeszcze w Warszawie. Poszłam w tym czasie na Kaliską 17 – stanęłam przed budynkiem, tak dobrze znanym domem, do którego sama także nigdy już nie miałam powrócić. Usiłowałam wyobrazić sobie tamten wieczór – i choć przekonana jestem, że gdyby przebiegł on inaczej – gdybym przyszła wówczas i rozmawiała z Tadeuszem – nic w istocie by się nie zmieniło, nic by mu to pomóc nie mogło – było mi (i jest) gorzko, dziwnie obco. Dług czuję wobec niego – zobowiązanie, które – nie waham się i tym razem, w jakże innym czasie, po iluż latach użyć „wielkiego słowa” - życiem tylko można spłacić. **Nie dlatego, że nie przyszłam tamtego, nieodwracalnego wieczoru na Kaliską. Nie zdałoby się to na nic, niczego nie zmieniło, w niczym pomóc nie mogło – wiem.** Ale dla sprawy innej.

Był od wielu z nas młodszy – a ileż starszy! Był dojrzały i bezkompromisowy – aż do końca. Był – mimo młode lata spędzone w obozie, mimo wszelkie własne błędy i słabości (a miał ich też – jak każdy – wiele) – „człowiekiem jednej bryły” – uczciwym i rzetelnym. I z nielicznych, migawkowych w istocie tylko z nim spotkań – czerpało się siłę, odwagę, otuchę. Pozostał w tym, co napisał i wartość tych jego słów nie zblednie. Trzeba o nim pamiętać – w trudnych chwilach chyba szczególnie – choć może się nie wydawać „wzorem do naśladowania” – skoro sam uciekł z życia, kiedy go już znieść nie mógł. Ale w moim przynajmniej przekonaniu, w mojej pamięci – był i do końca pozostał pełnym człowiekiem. A czyż to mało – w czasie, który historia dawno już uznała za – czas nieludzki?

Dlatego nawet pamiętać o nim – zobowiązuje.

Życiorysy nie ludzką ręką pisane

Tadeusz Borowski... W oparciu o Wikipedię.

W 1926 ojciec został aresztowany i wywieziony do łagru w rosyjskiej Karelii z powodu dawnej przynależności do Polskiej Organizacji

Wojskowej (POW) – w rzeczywistości był według relacji Marii Borowskiej pracownikiem polskich służb wywiadowczych. Cztery lata później matka podzieliła losy męża, została wywieziona na Syberię nad rzekę Jenisej. Dwaj mali chłopcy pozostali sami. Starszy – Juliusz – trafił do internatu, młodszy Tadeusz dostał się pod opiekę ciotki.

W 1932 Stanisław Borowski został wymieniony za więzionych w Polsce komunistów i znalazł się w Polsce. Dwaj chłopcy: czternaastoletni wtedy Juliusz i dziesięcioletni Tadeusz wyruszyli w samodzielną podróż z Żytomierza przez Koziatyn, Kijów do Moskwy, skąd, zaopatrzeni w oficjalne papiery Czerwonego Krzyża, jechali dalej, do Polski. Prawie nieznany ojciec oczekiwał na synów przy granicy, w Baranowiczach. Matka przybyła do Polski dwa lata później, latem 1934.

Rodzina Borowskich osiedliła się w Warszawie. Tadeusz w 1940 ukończył Gimnazjum im. Tadeusza Czackiego na tajnych kompletach, co zostało opisane w opowiadaniu **Matura na Targowej**. Studiował polonistykę na tajnym Uniwersytecie Warszawskim, gdzie poznał swoją przyszłą żonę, Marię Rundo (wiele scen z tego okresu zostało włączonych do utworów opublikowanych po wojnie: opowiadania **Pożegnania z Marią** i szkicu **Profesorowie i studenci**).

W okresie okupacji współpracował z miesięcznikiem „Droga”. Zadebiutował tomikiem **Gdziekolwiek ziemia**, wykonanym własnoręcznie techniką powielaczową w 1942.

W 1943 został aresztowany w „kotle” i uwięziony na Pawiaku. Potem został wywieziony do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz. Otrzymał numer obozowy 119198. Kontynuował tam twórczość literacką, pisząc m.in. wiersze, piosenki i kolędy, a także listy do narzeczonej Marii, która również znajdowała się w oświęcimskim obozie. (...) Obozowa rzeczywistość została opisana w opowiadaniu **U nas, w Auschwitzu...** W sierpniu 1944 przewieziono go wraz z innymi więźniami do obozu w Dautmergen, a potem do Dachau. Po wyzwoleniu przeniesiony do obozu dla dipisów w Monachium, w którym pozostawał do września 1945.

Przebywając w Niemczech współorganizował Biuro Poszukiwania Rodzin przy Polskim Czerwonym Krzyżu. W czerwcu 1946 wrócił do kraju. Po przyjeździe narzeczonej Marii w listopadzie 1946 wziął z nią ślub. Ukończył studia, objął asystenturę w Gabinetie Filologicznym Towarzystwa Naukowego Warszawskiego (tzw. Korbutanium), wszedł do redakcji „Świata Młodych” i miesięcznika „Nurt”. Był w awangardzie młodych bezkompromisowych twórców (zaliczany do grupy „Przyszczytów”), wychwalających nowy ustrój. W tym czasie stał na czele sekcji literackiej Klubu Młodych Artystów i Naukowców. Brał udział w Kongresie w Obronie Pokoju we Wrocławiu w 1948 jako wicedyrektor biura

prasowego i redaktor gazety kongresowej. Cztery lata po powrocie do Polski, jego twórczość zaowocowała Państwową Nagrodą Artystyczną.

W 1948 wstąpił do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR).

W okresie od czerwca 1949 do marca 1950 przebywał w Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie. Oficjalnie jako referent kulturalny, nieoficjalnie jako współpracownik wywiadu wojskowego. W 1950 za zbiór nowel i reportaży otrzymał Państwową Nagrodę Artystyczną III stopnia. Jego ówczesna twórczość spotkała się natomiast z gwałtowną krytyką w środowisku literackim – m.in. ze strony Włodzimierza Sokorskiego (na zjeździe literatów w Szczecinie w 1949), Pawła Jasienicy (za opowiadania **Proszę państwa do gazu** i **Dzień na Harmenzach** ogłoszone w miesięczniku „Twórczość”) i Adolfa Rudnickiego (za samokrytykę i akces do socrealizmu w „Odrodzeniu” w 1950).

Po socrealistycznym credo opublikowanym na łamach „Odrodzenia” zajął się publicystyką jako czołowy autor „Nowej Kultury” i współpracownik „Sztandaru Młodych”, krytykując kulturę zachodnią, Kościół katolicki i związane z nim kręgi.

26 czerwca 1951 urodziła mu się córka Małgorzata. Otrzymał wówczas przydział na dwupokojowe mieszkanie przy ul. Brzozowej w Warszawie.

1 lipca Borowski odwiedził żonę w szpitalu, a dzień później trafił z objawami zatrucia do szpitala. Był w stanie zamroczenia gazem i środkami nasennymi. Zmarł 3 lipca 1951. (...)

Według relacji żony Marii z 1995 cierpiał na „chorobę maniako-depresyjną” i miał za sobą nieudaną próbę samobójczą; w innej rozmowie jednak podała, że deklarował tylko zamiar popełnienia samobójstwa w razie utraty zdolności do pisania. Śmierć Borowskiego była wstrząsem dla współczesnych mu ludzi pióra, porównywanym do samobójstwa Majakowskiego 21 lat wcześniej.

W złym mi nie do twarzy...

Napisałem, na początku – nienawidzę. Prawda - plastikowych wieszaków, listków z tabletkami, ciętych kwiatów.

I domysłów niektórych...

Nie można ich ustawić z pewnością, że się nie przewrócą, nie wypadną z wazonu. Dźwięk spadających na posadzkę wieszaków jest trudny do zniesienia. Rozszarpałbym je wtedy na... na strzępy.

Jak niektóre słowa. Te, które nie wyrażają w pełni, tego co czuję, a naprawić i ulepszyć się nie pozwalają.

Ważne, by felieton się dobrze zaczynał.



Szczecin rozlewa się bez planu...

Tekst: Anna Koc

(opracowanie na podstawie publikacji facebookowej)

poniżej: Getynga, 22 maja 2025



Nowa Starówka, tak niespójna jak lata 90-te.

Powinniśmy kierować się rozsądkiem przy urządzaniu najcenniejszych przestrzeni. Skoro nie mamy pomysłu na ich zagospodarowanie, to nie róbmy nic na siłę. Przykład - Kępa Parnicka. Na wielkiej powierzchni powstało centrum handlowe wielkości Galaxy.

W mieście zniknęły sieci małych i uroczych sklepików. Nikt już nie spaceruje przez Szczecin w poszukiwaniu spodni, butów, szewca czy kaletnika albo introligatora. Wolimy za usługi lub towary przepłacić, byle tylko uzyskać je w jednym miejscu. Już nikt nie odczuwa potrzeby, aby włożyć się od sklepu do sklepu, porozmawiać z sprzedawcami i... przy okazji podziwiać miasto! Nasze miasto.

Bez planu nie ma wizji

Architekt Miejski to bardzo ważna funkcja. Kandydat na to stanowisko musi być wielkim pasjonatem miasta. Obserwuję ten urząd. Miały być decyzje o uwolnieniu miasta od krzykliwych reklam, szyldów i grafiki w złym stylu. Pan architekt nie zainicjował nawet rozmowy na te tematy. A mija pół roku jego zatrudnienia. Czy ponad dwudziestoletnie doświadczenie w prowadzeniu działalności w sferze budowlanej oraz projektowo-wykonawczej jest rzeczywiście wystarczającą gwarancją kompetencji kandydata na to stanowisko? Mnie ten argument nie przekonuje, bo co ma wykonawstwo do kształtowania przestrzeni?

Oczekuję otwartych planów, wizji, idei, dyskusji, sprecyzowanych terminów realizacji uzgodnionych etapów rozwoju miasta, za które to etapy odpowiada architekt.

A posada miejskiego urbanisty? Problem projektowania krajobrazu, przestrzeni. To powinien być team – obaj urzędnicy nie przedstawili jeszcze wizji spójnej, uzgodnionej, szczecińskiej. Rozpisanej na lata.

Historia jako ważne odniesienie do przestrzeni

Mamy blisko do Berlina, gdzie po zniszczeniach miasto się odrodziło, jest interesujące. Sięgajmy do dobrych wzorców i nie wyważajmy otwartych drzwi. Szczecin już raz się otworzył. Po zburzeniu twierdzy - wyszedł z wiekowych murów. Wielcy inwestorzy jak Quistorp, który podarował miastu klin zieleni, tworząc przy okazji sporą część miasta wzdłuż Wojska Polskiego oraz Wilhelm Meyer-Schwartau, wizjoner, radca budowlany czy wreszcie Piotr Zaremba, urbanista i prezydent z planem szerokich arterii i zielonego Szczecina. Może należy kontynuować te spójne trendy, uzupełniając je o osiągnięcia cywilizacyjne?

Nie możemy ignorować historycznej zabudowy miasta. Poza Berlinem, historię z nowoczesnością doskonale łączy Paryż i Londyn, Mediolan, miasta Beneluksu. Korzystajmy z ich doświadczeń. Inne polskie miasta pilnie odrabiają te lekcje, dobry przykład to Wrocław i Gdańsk.

Nasze miasto ma przeszłość hanzeatycką. Czy Łasztownia nie powinna pozostać symbolem tego rodowodu? Miejscem i siedzibą centrów wielkiego handlu i żeglugi? Mam wrażenie, że boimy się naszej szczecińskiej legendy. I co z tego, że Jan z Kolna to być może postać fikcyjna, ale Wyszak? Albo dzieje Gryfitów czy imię osławionej Sedy, którą przedstawiali Prerafaelici w swoim malarstwie? To piękne

odniesienia, tak potrzebne każdemu człowiekowi, dla którego ważna jest jego historyczna tożsamość. Mamy wiele legend i prawdziwych opowieści. Pierwsze starty samolotów na Krzekowie i czterofajowe, jeszcze przed Titaniciem. Dlaczego nikt nie „sprzedaje” medialnie fabryki czekolady w mieście pachnącym jej aromatem? Sklep firmowy i zwiedzanie fabryki byłoby nie mniej atrakcyjne od wizyty w browarach. Prosty pomysł. Na ich brak cierpimy najbardziej.

Szczecin kryminałem stoi

Straszny Skolwin i ponure Pomorzany. Szczecin w filmie i literaturze? Ludożerca i gangsterzy. W Szczecinie nie ma historii miłosnej, nie ma wyciskacza łez. Nie ma emocji.

Myśl, że miałby ktoś zamieszkać na strasznym Skolwinie, Godławiu i Stoliczynie – paraliżowała. A to przecież jeden z kierunków ekspansji miasta. Wymaga obudowy emocjonalnej, zwrócenia uwagi na piękno krajobrazu, a nie tylko na ponurą przeszłość.

Zieleń miejska jest czymś co kiedyś było symbolem Szczecina, a dziś? Ulica Wyzwolenia, jedna z najbardziej reprezentacyjnych w mieście. Nieład i brud. Chodniki się kleją, a zieleń jest nieokreślona, brzydka, torowiska po niedawnym remoncie - zapuszczone.

Dawniej roczne zadania w odniesieniu do zieleni miejskiej miały charakter kompleksowy. Miasta nie dzielono na obszary uprzywilejowane, zieleńce były konsekwentnie pielęgnowane, nasadzenia planowane. Miło było patrzeć.

Szumny projekt Floating Garden 2050... Mam wrażenie, że pozostała z niego tylko nazwa. Nie rozumiem, dlaczego ZUK nie wychodzi z inicjatywą i np. nie wspiera branży IT, której potęgą Szczecin się szczyci. Informatycy powinni mieć miłą pauzę podczas pracy w postaci mikro i makro zielonej przestrzeni.

Kochajmy nasze miasto. Z troską dbajmy o jego rozwój. Jak trzeba – upominajmy władze, każdego, kto jest z urzędu odpowiedzialny za rozwój, wytykajmy brzydotę i tandetę, a wspierajmy dobre zmiany. Chwalmy dobrą robotę. Konstruktyną krytyka ma wielką wartość.

Nie zapominajmy o głosie mieszkańców. Jest bardzo istotny. Twórzmy przestrzeń do rozmów i debat o tym jak żyjemy i czego nam potrzeba. Mówicie, jak chcecie żyć, bądźcie wrażliwi na piękno i brzydotę.

Szanujmy historię miasta i dajmy o przestrzeń dla jego rozwoju.

W komentarzach po publikacji powyższych uwag

- Zbigniew Małecki:

Po upadku PRL-u, Szczecin zaczął rozwijać się w sposób nieprze-myślany, niezaplanowany. To szczególnie widać w czasach obecnego Prezydenta Piotr Krzystka.

Brak pomysłu, brak koncepcji, brak wizji na rozwój tego miasta. Prawo- brzeże traktowane tak, że najlepiej, żeby w ogóle nie istniało, albo żeby ktoś z innych, pobliskich wódaty je sobie wziął.

To dzięki Panu, Prezydentowi, od lat Szczecin nie jest wymieniany w żad- nych porównaniach największych aglomeracji. Dawno już Szczecin został "przeskoczony" przez Białystok, Lublin. Przegoniła nas mniejsza od Szczecina Bydgoszcz, która pod względem ład publicznego, kon- cepcji urbanistycznej i harmonii architektonicznej, jest daleko w przo- dzie przed Szczecinem.

Co do stanowiska architekta miejskiego w Szczecinie: mam identyczne spostrzeżenia Aniu.

Jeżeli ten człowiek rzeczywiście został wybrany na to stanowisko i fak- tycznie je piastuje, to panie - architekcie czas wyłożyć karty.

Wątpimy w pana istnienie, bo nie ma żadnych przesłanek, śladów, dowodów, które by potwierdzały, że na tym stanowisku fizycznie zasia- da żywy człowiek.

Natomiast co do wykorzystania pustych przestrzeni miejskich, po zmie- cionych alianckimi nalotami dzielnicach, też uważam, że te wszystkie Kępy Parnickie, Galaxy, starówka i tak dalej, to takie śmietniki archi- tektoniczne.

Ani to ładne, ani to związane architektonicznie, urbanistycznie, czy choćby wizerunkowo z miejscem, w którym zostało postawione.

Od Redakcji:

Nie, nie należę do badaczy przeszłości Szczecina. Nie jestem też piechurkiem, który każdego dnia, jak polarnik, przekracza miejskie bie- guny, rejestrując wszystkie zmiany, jakich Czas nam nie szczędzi. Ale z emocji innych szczecinian wychwytyuję sygnały niepokojące, dowody ich troski o miasto, gniew i wściekłość, że tak jest poniewierane. Bo jak inaczej określić **brak systemowych i systematycznych prac nad utrzymaniem materii historycznej?**

Ktoś kiedyś miał pomysł na to miasto. I zaczął ten pomysł reali- zować. Pomysł był w miarę kompletny. Jeśli nie w szczegółach to w charakterze miasta, jego duchu, rozmachu i przestrzeni.





Nowe pokolenia „architektów”, jak ta żaba, co słyszy, że w pobliżu konie kują więc i swoją łapę kowalowi podstawiali – zaznaczyć chcieli swoją, zbyt długą chwilę zarządzania architekturą i urbanistyką całej aglomeracji.

Drugi już, kompleksowo rzecz ujmujący odcinek opracowania Małgorzaty Wrzosek o **szcześcińskich bramach** – ma dla mnie wręcz **prokuratorski aspekt**. Pokazuje zmiany. Ba! Obnaża niczym nie usprawiedliwione, świadome, kpiące z powagi piastowanego urzędu czy społecznej misji **przyzwolenie** na dewastację Szczecina. Patrzysz, jak kogoś biją, to tak, jakbyś sam bił.

Kilka dni podróżowałem. Przez niemieckie miasta, równie jak Szczecin, w czasie wojny zniszczone. Ale nigdzie nie spotkałem obrazów, jakie za fasadą, po wejściu za drzwi bramy ujawnia centrum naszego miasta.

Tekst pani Małgorzaty Wrzosek to reportaż z miejsca zżeranego przez cywilizacyjny trąd. Szczecin cierpi na tę chorobę.

Postawa władz i mieszkańców, a szczególnie tej części, która jak krety, cieszy się z byle błyskotki, budują w Internecie obraz miasta „ledowego”, krokusowego, pokolorowanego photoshopem.

Żadnego z obrazów nocnych miasta nie rozpoznasz w ciągu dnia. Ani jednego ujęcia dziennego nie odnajdziesz na podstawie jego fotografii – po zmierzchu. **Miasto kameleon.**

Getynga nie została zbombardowana. Przedstawia ośrodek, które jest jak przed stu laty nakręcony zegar, niezmiennie i rytmicznie odmierzający czas jednej, ciągle trwającej doby tego miasta. Tamtej, pierwszej. Wszystkie „stare” domy, niczym się dziś nie różnią od stanu, w jakim ich właściciele spędzili w nich pierwszą noc.

Mieszkam w apartamencie na trzecim piętrze. **NIC, ANI JEDNA RZECZ** – poza gniazdkami sieci elektrycznej oraz doprowadzeniem ciepłej wody i kanalizacji do łazienki pokoju gościnnego się w tym domu i mieszkaniu nie zmieniło. Parkiet, ramy okienne, meble, drzwi z archaicznym zamkiem, żyrandole. Potężne kamienne fundamenty, grube mury generują specyficzną „ciszę”. Jest ona tak głęboka i bezdenna zarazem, że... trochę przeraża. Pamiętajmy, wtedy, gdy domy te budowano, nie istniało jeszcze radio. Nie było telefonów. Była ta cisza. Odgłosy wydawała tylko przyroda.

Rano biegnę na dworzec. Na balkonach gospodynie podlewają kwiaty, pozdrawiają przechodnia uśmiechem. Listonosz wrzuca przesyłki do skrzynek, pnącza bezszelestnie rozwijają kolejne liście. Pojedyncze auta i setki, ba – miliardy rowerów. Słychać je po zawirowaniu powietrza, gdy już minie cię jeden, trzy albo cała kawalkada, sunących fahradów, niczym klucz ptaków wiosennych. Studenci jadą na zajęcia. Urzędnicy do biur. Aktorzy na próby. Lekarze do szpitali.

Fahrady, rowery? Ile ich przypada na centymetr ścieżki rowerowej? Tyle ile u nas na sto kilometrów. A koszty budowy ścieżek – porównywalne. U nas tak wyeksploatowanych na pierwszy rzut oka pojazdów

nawet do skupu złomu nie udałooby się oddać „bez znajomości”. Tu – one ŻYJĄ! Pędzą przed siebie. I jestem pewny – widać je w kosmosu!

- Jakoś tak „glupio” się któregoś dnia poczuliśmy. Bo tak... Mamy fajne auto, rodzinne, wygodne. Ale ono zazwyczaj stoi w garażu. Nie ma żadnego uzasadnienia, abyśmy musieli nim jeździć. Poza tym – to kłopot. I znaczne koszty. Wszędzie w Berlinie dociera tramwaj, rower, kolejka, metro a najczęściej – idziemy na piechotę. Sprzedaliśmy auto. Kiedy? O, siedem albo osiem lat temu.

Oczywistości w swojej oczywistości porównywalne są tutaj z wielkością Mount Everestu. Ale my takich prawideł nie dostrzegamy.

Wracam do Getyngi. Miasto narzuca styl życia, podpowiada, zmusza, określa, definiuje sposób poruszania się jego ulicami. Mnóstwo deptaków, ale prawdziwych, wygodnych przestrzennych. Sporo tu kafejek, cukierni, ciastkarni i piekarni oraz lodziarni, a żadna z nich, jak przy szcześcińskiej Jagiellońskiej, nie rozłożyła się niemalże na jezdni. Te są dla samochodów.

O zieleni chciałem słowo jeszcze powiedzieć. Ta rozwija się żywotowo. Ale nie wszędzie i nie za wszelką cenę. Bo zieleń musi koegzystować, być jak dom – elementem wspólnym, architektonicznie spójnym z otoczeniem. Nie może zasłaniać budynków, bo ich kształt, wystrój często albo zawsze na etapie projektowania umieszczano w naturalnej zieleni. Nie dziekaj, a nieustannie pielęgnowanej.

W cyklu niewydrukowanych tekstów pod tytułem: „Ile Stettina jest w Szczecinie”, a przygotowywanym dla, jak mi się wtedy wydawało, poważnej szcześcińskiej gazety, a nie codziennego biuletynu prokuratorsko-rowerowego, pisałem o zieleni m.in. na Wałach Chrobrego. Całkowicie żywiół. To zresztą zjawisko typowe dla całej Polski. Jakiś czas temu wędrowałem nocą przez Chełm nad Wisłą. Przepiękne okolice starego miasta. Ale w nocy – ciemne i groźne. Latarnie są, oczywiście, ale ich rozsyłające światło główce są całkowicie zasłonięte przez bujną zieleń drzew lub wystają ponad ich korony. Chełm to takie miasto trochę do góry nogami w nocy ustawione. Lampy oświetlają... niebo.

W 1992 roku i następnym, w Kanale 7 Telewizji Szczecin wprowadziłem do ramówki cykl rozmów poświęconych urbanistyce i architekturze miasta. Po transformacji 1989 roku wiele dziedzin życia – wydawało się – stanęło przed wielką szansą na ożywienie i rozwój. Ówczesni specjaliści nie znaleźli wspólnego języka. Ambicje urzędników, indywidualne pomysły i rozwiązania kolidowały z poniemiecką koncepcją (jeszcze zwalczano niemieckość tych ziem) rozbudowy



miasta. Poza tym – eksplodowała wówczas idea ucieczki z miasta szczególnie dorobkiewiczów, ludzi, którzy w nowej rzeczywistości zarobili ogromne pieniądze. Stać ich było na pałacyki i dworki. Wtedy też władze dostrzegły, że mają Prawobrzeże. Ale to była cywilizacyjna pustynia. Ile się z ówczesnym prezesem spółdzielni mieszkaniowej nagłowiliśmy, jak na Prawobrzeże "dosłać" sygnał telewizyjny Kanału 7, programu miejskiego Szczecina. Obecne władze traktują ten teren jak bękarta. Magazyny, hurtownie, grosshandel. Najmniejszych śladów ducha i kultury. A mieszka tam DOKŁADNIE połowa ludności miasta.

Władze nie potrafią się wyzwolić od myślenia w kategorii wiejskich czworaków, popegeerowskich sześcianów i wszystko pakują obok siebie, wokół, gęściej, bliżej, byle tylko w środku miasta. A problem Łasztowni - wręcz przeraża. Czekam, aż ktoś rzuci pomysł, a drugi go zaakceptuje i wybudujemy tam... kosmodrom. Bo wszystko co atrakcyjne trzeba mieć pod ręką?

Dajmy pokój szukaniu powodów tego stanu rzeczy. Jest nim zwykła głupota.

Kropka.

Na tekst pani Anny Koc trafiłem podczas porannego przeglądania Internetu. Autorka zgodziła się, by rzecz opracować do publikacji w miesięczniku TVSiódemka. Ale – tak się domyślam – nie przewidziała, że uwagi, jakie w swoim wpisie zamieściła – zostaną dostrzeżone przez innych czytelników. Z jakiegoś powodu – bo tekstów takich już się pojawiało wiele – ten właśnie trafił na szczególny moment.

Zaatakowała - jeśli tego określenia można w odniesieniu do damy użyć – NIEOBECNOŚĆ architekta miejskiego. Nie tylko jego koncepcji czy wizji, ale urzędnika, żywego człowieka. Fachowca.

Chwilę po publikacji wpisu pani Anny Koc, w innym portalu ukazała się godzinna rozmowa z „obecny nieobecny”.

Obejrzałem fragment. Nie stać mnie na marnowanie czasu. Gospodarz studia, który pewnie nie ma pojęcia o tym, że kiedyś takie rozmowy prowadzili dziennikarze, niczym ping pong podrzucał pytania, bawiąc się przy tym długopisem, co w mowie ciała oznacza: g... mnie to wszystko obchodzi. Poza tym, kiedyś, w dziennikarstwie niespuszczalne było budowanie pytań z udzieleniem od razu odpowiedzi na zadane pytanie. Czy pana zdaniem jest tak czy może tak albo jeszcze tak? I rozmówca już wie, że musi wybrać któryś z tych wariantów. Psychologia prowadzenia wywiadu albo rozmowy przed kamerą to jest wyższa szkoła jazdy i nie ma nic wspólnego z żonglerką długopisem.

Autorka tekstu – gdy zapytałem o tę rozmowę – i sugestię, że może usunąć wątek „nieobecności architekta miejskiego” zaprzestowała. Nic się nie zmieniło. Więcej, wypowiedzi i wizja tej „nieobecności” urzędnika od rozwiązywania realnych problemów jeszcze się powiększyła.

Fakt, muszę potwierdzić, że nawet cofnąłem nagranie, by wysłuchać jeszcze raz wypowiedzi pana architekta (z urzędu, jak rozumiem, nie z wykształcenia?), że nad wszystkimi innymi ważniakami w mieście ma tę przewagę, że **morze marzyć** o różnych wizjach urządzania miasta. Nawet nierealnych. Dziś. I - na przykład - wymarzył sobie, że pod aleją fontann zbuduje wielki parking.

Prościej i taniej będzie zrobić fontanny pod jezdniami w centrum – zażartowałem. Pamiętam dyskusję sprzed może – to nie jest złośliwość, pół wieku, gdy rozważano bezkolizyjne skrzyżowanie przy Ku Słońcu i Derdowskiego. Podziemna infrastruktura była zbyt niewiadoma i skomplikowana – mówiono na antenie „Studia Bałtyk”. Dziś, pan architekt, jak dżdżownica – prześliznie się między wszystkimi kanałami i kablami. I zbuduje podziemne miasto. Dla kretów.

Ale... Panie architekcie, ile kosztowała nas Wojska Polskiego? Dlaczego tam nie zrobiliśmy podziemnych parkingów?

Do dyskusji dołączył konserwator zabytków. Autorka wpisu przysłała wiadomość:

Konserwator Michał Dembowski po tym nagraniu „leje” w niego (architekta) postami. Np. udowadnia na zdjęciach, że plac Kościuszki wygląda szkaradnie. I bardzo dobrze, niech gość czuje presję. Facet miał pomysły, ale to *nihił novi sub sole*... To stare pomysły studentów urbanistyki. Dobrze, że chociaż wyciąga te dobre. Np. popieram ten z wpuszczeniem ruchu pod trasę przy Wałach. Ale na serio, nie stać nas na rycie pod aleją fontann, wystarczy lepiej lokować parkingi i tyle. Nie wyznacza placu na wysoką zabudowę. Ja uważam, że jest taki w okolicy manhattanu. Wzdłuż tamtejszych nieużytków. Ach dużo by mówić! Lecę do Poznania!

Dużo by mówić. Więc kiedy, jak nie teraz? Ale gdzie? Na facebooku? Kto z kim? Po to mamy architekta, urbanistę, konserwatora, by ci – zamiast pracować w urzędzie, jeden z drugiego nabijali się z siebie w Internecie?

Panie prezydencie. **Pan na to pozwala?** Marszałkowi posłał pan kilka pocisków z bobu w sprawie Teatru Współczesnego. A własnym zajęciem pozwala buszować w miejskiej kapuście?

Całkowity brak klasy, profesjonalizmu i powagi, aby podlegli Panu pracownicy harcowali po mediach społecznościowych.

Na marginesie – pan konserwator Machał Dembowski jest bardzo aktywny medialnie. Ale na nasze merytoryczne pytania – nie odpowiada. Ma w nosie prawo prasowe. A prosił, abyśmy kontaktowali się z nim poprzez rzecznika prasowego urzędu, co zapewni skuteczność w szybkiej i kompetentnej odpowiedzi na pytania kierowane bezpośrednio pod adres konserwatora. Te wysyłane do niego bezpośrednio – podobno – ginęły w gęstwinie poczty służbowej. Przypominam: zapewniał mnie Pan, w liście, który wydrukowaliśmy, że nasze poglądy na politykę kulturalną miasta są zbieżne. To może przy okazji zeche Pan powiedzieć, co sądzi o własnej, konserwatora zabytków dzielności? **Jak ocenia Pan swoje działania?** Nie możemy doczekać się tak elementarnych odpowiedzi na kierowane do Pana pytania. Może na FB Pan odpowie?

Czekamy na Pańską odpowiedź w sprawach ratunku dla barbarzyństwa jakie obserwujemy w niszczeniu podległej Panu historycznej materii miasta!

Wiem, im głośniejsz krzykujemy, tym bardziej jesteśmy ignorowani. A kto na to pozwala? No? Może urządzimy plebiscyt? Proszę zgłaszać kandydatury na liderów miejskiej „nic nieróbstwa” dyktatury.

Krytykuje pan, panie konserwatorze, kolegę architekta, a czy obejrzał Pan „swoje dzieło”? Wysłałem Panu link do czwartego numeru naszego miesięcznika. Tam – połowa gazety to obrazy Pańskiego „luwru” - Szczecin historyczny w stanie gangreny. A to pan jest Ordynatorem tego oddziału, który winien chorobę zwalczyć i zdrowie miastu przywrócić.

Przyganiał konserwator architektowi...

p.s. Ale! Na pocieszenie - mamy w Szczecinie, w najbardziej tożsamościowym jego miejscu – przy Pomniku Czynu Polaków – **bananowce!** Idźmy więc na całość. Zamierzmy Gryfa z herbu na... banany! A do Filharmonii – wstawmy tam tamy! Tylko komu przyznamy rolę małego Bambi?

wszystkie zdjęcia pochodzą z Getyngi, 22-23 maja 2025



Przed teatrem w Getyndzie nie ma podjazdu dla limuzyn partnerów i sponsorów teatru. Są stojaki dla rowerów publiczność



Odwilż

Tauwetter, HH586, 74x53 cm, olej na desce.

I sygnatura – Hans Hartig. Pełne imię i nazwisko. A więc w twórczości – okres już zaawansowany. Wcześniej często podpisywał się 'HHartig', tworząc z pierwszych liter imienia i nazwiska – jeden znak graficzny.

Numer sugerować może pozycję „Odwilży” w katalogu wszystkich obrazów malarza. Bo taką listę prowadził. Podobno tylko biograf artysty, Wieland Barthelmess ma wersję najpełniejszą tego zestawienia. Ale ślady i wyobrażenie o ilości namalowanych obrazów dają choćby kopie dokumentów z wiejskiego muzeum w Gartz, które ze znawcą twórczości Hartiga, Zenonem Owczarkiem – odwiedziliśmy ubiegłego lata. Blisko trzy tysiące tytułów.

Mówią – niewykluczone, że na obrazie widzimy odwilż w Szczecinie (Stettinie).

Nie rozpoznaję, ale też nie musiałby ten fragment miasta przetrwać do dziś.

Poza jego malarskim odwzorowaniem. Równie dobrze może to być Berlin?

I tu dochodzę do kwestii dla mnie, jako obserwatora wszelkiej twórczości - wręcz fundamentalnej: co sprawia, że nagle, albo po studiach, w określonej porze roku, dnia, a może i godziny, przy takiej a nie innej pogodzie – artystka „zatrzymuje” kadr, fragment - w tym przypadku – miasta. W innym – natury, sceny rodzajowej, kompozycji przedmiotów, grupy osób, samotnej postaci, wyrazów twarzy, nastrojów.

Co w tym konkretnym obrazie, który WRÓCIŁ do Szczecina w tym miesiącu jest na tyle ważnego, że - niczym telegram, którego aktualność nigdy nie wygasa – pobudza naszą wyobraźnię, jest „widomością” dla przyszłości?

W malarstwie ta właśnie zagadka, ta tajemnica momentu jest dla mnie najbardziej intrygująca.

Hartig był pejzażystą. Meandry Odry, morski brzeg, a nade wszystkim jego ukochane Nowe Warpno. Kochał krajobraz nieuchwytny – topniejący śnieg, ślady na zbrylonej drodze pokrytej roztopami, pierwszy lód na tafli jeziora. Ale także układ chmur. Nigdy nie budował z nich „baranków” skaczących po niebie, a jakby z nich właśnie tworzył tego nieba nastrój, nieba połączonego z ziemią. Wszak dym z komina jest w takim samym stopniu elementem nieba co i ziemi. Na tym obrazie. Na tym tylko?

I... Ten człowiek pchający wózek...

Niebawem, mam nadzieję, pokazać Państwu niemal identyczny fragment innego, również PRZYWRÓCONEGO właśnie Szczecinowi obrazu Hansa Hartiga.





Dekoracja sufitów i ścian – Dekorative Vorbilder XIII, 1902 r., Julius Hoffmann – Tablica 03, dostępne w Internet Archiw.



Dekoracja klatek schodowych Dekorative Vorbilder XIII, 1902 r., Julius Hoffmann – Tablica 22, dostępne w Internet Archiw.



Marynistyczna sztuka w rokokowym obramowaniu. Dekorative Vorbilder VIII, 1897 r., Julius Hoffmann – Tablica 33, dostępne w Internet Archiw.



Amorki w rokokowym obramowaniu. Dekorative Vorbilder VIII, 1897 r., Julius Hoffmann – Tablica 13, dostępne w Internet Archiw.

Szczecińskie bramy... donikąd – cz. 02

Tekst i zdjęcia: Małgorzata Wrzosek

To cykl artykułów, którymi chciałabym zwrócić Państwu uwagę na coś, co zazwyczaj umyka naszej uwadze. Na wnętrza przejazdów bramnych i sieni szczecińskich kamienic. To właśnie one, ukryte za ciężkimi bramami, często zaniedbane i zapomniane, stanowią cenne, a zarazem najbardziej niedocenione dziedzictwo lat minionych.

W przeciwieństwie do pocztówkowych ujęć dawnego Stettina, które tak chętnie przeglądamy na stronach internetowych, w albumach czy archiwach, wnętrza kamienic niemal zupełnie nie zostały zdokumentowane. Nie zachowały się fotografie, brakuje też rysunków czy projektów, które oddawałyby ich piękno i zamysł twórców. A przecież to właśnie tam – na klatkach schodowych, w sieniach, w dekoracyjnych detalach stolarki czy witrażach – utrwalone zostały style minionych epok, w których żyły pokolenia mieszkańców naszego miasta.

Od ośmiu dziesięcioleci, to niezwykle świadectwo bezpowrotnie znika z naszego otoczenia. Czas robi swoje, ale często pomagamy mu również my sami – mieszkańcy, wspólnoty, urzędnicy. Nie zawsze z niewiedzy, czasem z obojętności, a czasem w imię „nowoczesności”. Paradoksalnie, dzieje się to niekiedy nawet za zgodą konserwatorów – ludzi, którzy teoretycznie **muszą** czuwać nad ochroną dziedzictwa. Tak tracimy kolejne fragmenty przeszłości, która nie miała jeszcze szansy w pełni nam o sobie opowiedzieć.

W poprzednim odcinku zajrzelśmy za bramy szczecińskich kamienic, by sprawdzić, w jaki sposób witały przyszłych lokatorów i co, choć nie zawsze widoczne, od ponad wieku kryło się w ich wnętrzach. Czasem wystarczy tylko spojrzeć uważniej, aby odkryć... ich piękno.

Klatka po klatce

Codziennie – w górę lub w dół – mieszkańcy kamienic pokonują **schody**. Dla nas to oczywistość, dla dawnych projektantów było to wyzwanie. **Klatki schodowe** nie tylko musiały spełniać ówczesne przepisy budowlane i być funkcjonalne, ale również sprawiać, by ta

codzienna wspinaczka była jak najmniej uciążliwa, a nawet... przyjemna. Dlatego schody projektowano również z myślą zarówno o komforcie jak i estetyce. Zajmowały mało miejsca, a przy tym dyktowały rytm wspinaczki i zapewniały przestrzeń do złapania oddechu.

Wejście na klatkę schodową umieszczano po prawej lub lewej stronie przejazdów bramnych, poza ich głównym ciągiem, zazwyczaj w tylnym trakcie budynku. Najczęściej stosowano schody – do półpiętra wachlarzowe, wyżej – dwubiegowe, łamane, ze spocznikami na półpiętrach – małymi przystankami, które pozwalały odpocząć przed kolejnym etapem wspinaczki. Biegi łączono misternie wykonanymi balustradami, które do dziś, dzięki swojemu ponadczasowemu pięknu, przyciągają naszą uwagę.

W szczecińskich kamienicach dominują schody drewniane – ciepłe, przyjazne, choć dziś często ukryte pod powłoką farb olejnych jak i wysłużonych wykładzin z PCV. Niejednokrotnie zdobione są dekoracyjnymi listwami na podstopnicach, czyli pionowych częściach między stopniami. Podstopnice pełniły funkcję stabilizującą i wyrównującą wysokość stopni, dbając nie tylko o bezpieczeństwo użytkowników, lecz także przyciągając oko starannym wykończeniem.

Dekoracyjny wystrój klatek schodowych, wraz ze stolarką i kolorystyką, na ogół ściśle korespondował z charakterem całego budynku. Na jego wizerunek wpływał zarówno standard obiektu, jak i poczucie estetyki właściciela. Wnętrza odzwierciedlały cechy ówczesnej mody i architektury, od skromnych, ale schludnych przestrzeni, po pełne detali, niemal teatralne aranżacje pełne ornamentów i kolorowej polichromii

Dziś te wnętrza rzadko przypominają swoje pierwotne wersje. Upływ czasu oraz kolejne remonty zrobiły swoje. Szczególnie ucierpiały malowidła ścienne – niegdyś z pietyzmem наносzone na tynk, z czasem bezceremonialnie zamalowywane. Wraz z szybami zniknęły też zdobione przeszklenia, usuwane bezrefleksyjnie podczas wymiany okien. Najlepiej zachowały się elementy stolarki, a przede wszystkim drewniane balustrady, będące dziś niemal ostatnim świadectwem dawnego kunsztu.



Na fotografiach dekoracyjnie opracowane **podstopnice schodowe**.



al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 22 - fot. 2025 r.

al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 37 - fot. 2025 r.

Malarstwo i sztuka w klatce (schodowej)

Rozkwit malarstwa w kamienicach przypadał głównie na przełom XIX i XX wieku. Malarze-dekoratorzy nie improwizowali – pracowali przede wszystkim w oparciu o rysunki i szablony publikowane w specjalistycznej prasie branżowej. Pokrywali ściany i sufity bogatymi zdobieniami ornamentalnymi, choć niekiedy realizowali indywidualne życzenia właścicieli kamienicy. **Ci, marząc o dalekich podróżach, pragnęli przenieść ich klimat do wnętrza swoich budynków. W takich przypadkach dekoratorzy tworzyli pejzaże górskie, sceny marynistyczne lub widoki odległych krajów.** Choć ich prace nie zawsze wynikały z artystycznych ambicji, dziś mogłyby stanowić szczególnie cenny zabytek, niestety, za sprawą naszej obojętności - nie przetrwały kolejnego stulecia.

W kamienicach o wyższym standardzie stosowano rozbudowane polichromie, obejmujące nie tylko ściany klatki schodowej, ale także sufity oraz podniebienia schodów. Elementy malarskie przybierały często formę iluzjonistycznych ornamentów. Pojawiały się kompozycje kwiatowe oraz artystyczne sceny figuralne z puttami – małymi, skrzydłatymi postaciami dziecięcymi, niezwykle popularnymi w dekoracji wnętrz tamtej epoki. Możliwe, że podobnie jak w innych miastach, malowidła pojawiały się również na sufitach ostatnich kondygnacji klatek schodowych, tworząc **iluzjonistyczny obraz niebiańskiej przestrzeni**.

Na ogół jednak ściany klatek schodowych ozdabiano w prosty sposób, malowano je zazwyczaj dwukolorowo, oddzielając ciemniejszym pasem górną część od lamperii. Dominowały modne odcienie zieleni i oliwki, ale pojawiały się również błękity, szarości oraz beże. Pas oddzielający strefy – bywało - niekiedy dekorowano złoconiem.

Popularnym motywem dekoracyjnym były wzory szablone – monochromatyczne lub wielobarwne – o motywach roślinnych lub geometrycznych, które najczęściej umieszczano nad lamperią. Najbardziej rozpowszechniony był fryz kwiatowy, wijący się w odcieniach zieleni, czerwieni i żółci.

Sztukateria we wnętrzach klatek schodowych ograniczała się głównie do aranżacji podniebienia schodów. W ten sposób skutecznie podkreślano najważniejszy element wyposażenia tej przestrzeni. Dekoracyjne listwy montowano na krawędziach dolnej powierzchni biegu schodów, tworząc imitację klasycznej ramy dla prezentowanej tam sztuki malarskiej. Sztukatorskie zdobienia stylizowano na motywy roślinne – bezlistne gałązki, kwiaty oraz liście dębu. Wysokie, profilowane listwy przypodłogowe stosowano natomiast w celu ochrony ścian przed uszkodzeniami spowodowanymi obuwem oraz działaniami związanymi z utrzymaniem czystości.

Dekorowane ściany i stropy ostatniego piętra były w Stettinie zjawiskiem incydentalnym. Prawdopodobnie jedyną tego typu zachowaną realizacją jest ta w budynku przy al. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Niestety, w kamienicach współcześnie poddanych kapitalnym remontom, jedynie sporadycznie decydowano się na konserwację i restaurację polichromii. Odsłonięcie tzw. „świadków” dawnego kunsztu oraz uzupełnienie brakujących fragmentów poprzez imitatorską rekonstrukcję, a także ich zabezpieczenie i impregnacja wymagały ścisłej współpracy z historykami sztuki i konserwatorami. Zamiast tej żmudnej i precyzyjnej pracy wybierano najprostsze rozwiązania – malowidła zamalowywano lub skuwano, pozbawiając przestrzeń zarówno wartości artystycznych, jak i historycznych.

Na fotografiach - przykłady unikalnych **polichromii**, które niegdyś zdobiły ściany oraz sklepienia spoczników klatki schodowej oraz schodów. Fotografie 1-5 ukazują polichromie odkryte około dwudziestu pięciu lat temu podczas kapitalnego remontu przejazdu bramnego i klatki schodowej. W związku z próbą ratowania tego cennego odkrycia nawiązano kontakt z Biurem Miejskiego Konserwatora Zabytków w Szczecinie. Wówczas odbyło się spotkanie i rozmowy dotyczące ich odrestaurowania i zabezpieczenia. **Pomimo złożonych deklaracji do dziś nie podjęto żadnych działań konserwatorskich.**

Na stropach spoczników oraz podniebieni schodów widoczne są dwa nakładające się na siebie malowidła. Jedno z nich, najprawdopodobniej pochodzi z czasów budowy kamienicy i przedstawia bordiurę z ornamentem geometrycznym oraz centralnie umieszczoną rozetą. Drugie, wykonane później, charakteryzuje się falistą linią oraz dekoracją roślinną, nawiązującą do linearnej secesji.

Na zdjęciu nr 7 widoczny jest fragment ściany klatki schodowej, na której tynki zostały pomalowane dwukolorowo, z wyraźnie zaznaczonym szerokim pasem oddzielającym lamperię. Powyżej lamperii znajdowały się kwiatowe wzory, nawiązujące stylistycznie do dekoracji fasety w przejeździe bramnym (fot. nr 8). **Niestety, podczas przeprowadzonego remontu malowidło zostało całkowicie usunięte.**



1. ul. Bolesława Krzywoustego 23 - fot. 2007 r. – rozeta



2. ul. Bolesława Krzywoustego 23 - fot. 2007 r. – polichromiczny strop spocznika



3. ul. Bolesława Krzywoustego 23 - fot. 2007 r. – polichromiczny strop schodów



4. ul. Bolesława Krzywoustego 23 - fot. 2007 r. – fragment klatki schodowej



5. ul. Bolesława Krzywoustego 23 - fot. 2007 r. – fragment polichromii



6. ul. Jana Karola Chodkiewicza 2 - fot. 2007 r.



7. ul. Stanisława Żółkiewskiego 4 - fot. 2007 r. – motyw malarski z kwiatami



8. ul. Stanisława Żółkiewskiego 4 - fot. 2007 r. – fragment stropu z kwiatami

Kilka przykładów sztukatorskiej aranżacji biegów schodów w szczecińskich kamienicach.

Prezentowane kompozycje to ramy z klasycznymi motywami roślinnymi, przeplatane fryzami sznurowym. Na zdjęciach nr 1, 2, 3 i 5 widoczne są ornamenty inspirowane naturą, które niegdyś doskonale komponowały się z malarskimi przedstawieniami pejzaży, bukietów kwiatów i wici roślinnej czy portretów umieszczanych na podniebieniach schodów.

Fotografia nr 4 ukazuje obramienie z ornamentem sznurowym, przeplecionym wstęgą. Zdjęcie nr 6 przedstawia podniebienie schodów w opracowaniu kasetonowym, natomiast fotografia nr 7 – dekorację wzbogaconą o motyw palmetowy. Z kolei na zdjęciu nr 8 widoczny jest detal stylizowany na główki nitów – motyw rzadziej spotykany, a przez to szczególnie interesujący.



1. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 19 - fot. 2025 r. - widok ogólny.



2. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 19 - fot. 2025 r.



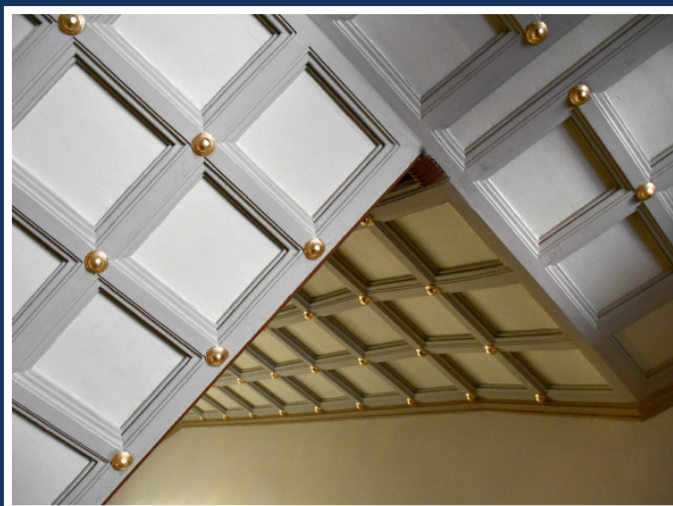
3. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 36 - fot. 2005 r.



4. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 29 - fot. 2025 r.



5. ul. Bolesława Śmiałego 4 - fot. 2025 r.



6. ul. Monte Cassino 7 - fot. 2025 r.



7. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 7 - fot. 2005 r.



8. al. Wojska Polskiego 46 - fot. 2025 r.

Wnętrze klatki schodowej kamienicy przy al. Marszałka Józefa Piłsudskiego, prawdopodobnie jedynej takiej w Szczecinie, gdzie występuje **dekoracja sztukatorska na stropie** i ścianie ostatniej kondygnacji budynku.



2. Marszałka Józefa Piłsudskiego 37 - fot. 2025 r.



1. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 37 - fot. 2025 r.

Balustrady

Pełniły i nadal pełnią funkcję użytkową. Ich obecność w przestrzeni architektonicznej to nie tylko oczywistość techniczna, ale przede wszystkim wymóg bezpieczeństwa. Ale przecież – podobnie jak inne elementy wyposażenia – balustrady miały być też piękne. Projektowano je z troską o detal, z dbałością o formę, z wyobraźnią, która wykraczała poza ramy technicznego myślenia i zbliżała się do wrażliwości artystycznej. Wchodząc po schodach i opierając dłoń na balustradzie, rzadko myślimy o tym, że trzymamy rękę nie tylko za poręcz, ale dotykamy fragment historii i świadectwa rzemieślniczej wyobraźni.

Do lat 90. XIX wieku dominowały głównie odlewy żeliwne, składające się z powtarzalnych modułów. Malowane były w kolorze głębokiej czerni, często z detalami podkreślonymi złoceniem. Żeliwne balustrady cechowały się wyjątkową odpornością na uszkodzenia, wilgoć, upływ czasu i ludzką nieostrożność, przez co ich powierzchnia przez długie lata zachowywała niezmienny wygląd, nie wymagając specjalnej konserwacji.

Wraz ze zmieniającą się modą, żeliwo zaczęło ustępować miejsca nowocześniejszym konstrukcjom – balustradom kutym, metalowym. Tworzono je z giętych płaskowników lub prętów, a ich wypełnienie często stanowiły motywy roślinne – liście, kwiaty, wijące się pnącza. Pomiedzy słupkami rozciągała się misterna, ażurowa „koronka”, utkana z fantazyjnych wolut i spiralnych ornamentów.

W szczecińskich kamienicach najczęściej jednak stosowano balustrady drewniane – klasyczne konstrukcje składające się z szeregu pionowych tralek, okrągłych lub wielobocznych. Często bogato

profilowane, z elementami kul, gruszkowatych wybrzuszeń, pierścieni – nierzadko o wyraźnym rzeźbiarskim charakterze. Występowały również skromniejsze warianty: balustrady deskowe, ozdobione skromną dekoracją snycerską. Tralki ustawione rytmicznie tworzyły przejrzystą, ażurową, lecz spójną przegrodę, która nie zaciemniała nadmiernie przestrzeni i nie ograniczała dopływu światła.

W każdej balustradzie wyróżniały się masywniejsze słupki początkowe i końcowe – stanowiące element konstrukcyjny podtrzymujący poręcz. Najczęściej przybierał on formę efektownych, wysokich, stylizowanych kolumniek.

Zwieńczeniem balustrady była poręcz – gładka, wygodna w dotyku i elegancka w formie. W miejscu, gdzie rozpoczynała swój bieg, często spotkać można snycerskie cuda: fantastyczne stworzenia, wijące się woluty, rzeźbione motywy roślinne. **Tak wyjątkowego opracowania rzeźbiarskiego nie spotyka się już dziś w klatkach wykonanych z aluminium, szkła i betonu.**

Drewniane balustrady oraz poręcze wykonywano z trwałych gatunków drewna. Choć wymagały większej uwagi i regularnej konserwacji, ich satynowa faktura oraz komfort dotyku w pełni rekompensowały te wymagania. Przetrwały ponad sto lat porannego pośpiechu, wieczornych wyjść i powrotów, dziecięcych rąk zsuwających się po nich w radosnej zabawie.

Metaloplastyczne balustrady stanowiły luksusowy element wyposażenia, spotykany przede wszystkim w kamienicach zlokalizowanych przy reprezentacyjnych alejach. Dzięki możliwości formowania żelaza w lekkie, asymetryczne linie o kształcie litery „C”, nadawano im wyjątkową płynność i elegancję. Ich forma często nawiązywała do wzorów balustrad balkonowych, tworząc harmonijną kompozycję między fasadą budynku, a jego wnętrzem.



1. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 19
- fot. 2025 r. - widok ogólny.



2. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 19 - fot. 2025 r. - detal.



3. ul. Monte Cassino 36 (sień od al. Piłsudskiego) - fot. 2005 r.



4. ul. Monte Cassino 36 - fot. 2025 r. - detal



5. ul. Monte Cassino 36 - fot. 2025 r. - detal



6. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 7 - fot. 2005 r.

W XIX wiecznych kamienicach chętnie przywoływano style z przeszłości. Często jednak nawiązania te miały charakter dość swobodny. Dlatego też w nowo wybudowanych klatkach schodowych, zgodnie z ówczesnymi standardami, pojawiały się w **balustrady drewniane** zdobione detalami stylizowanymi na dawne epoki. Przykładem może być balustrada widoczna na fotografii nr 1, w której zastosowano motyw maswerkowy, inspirowany ornamentyką gotycką.

Na fotografiach nr 2-4 ukazane zostały interesujące balustrady, częściej spotykane w willach niż w kamienicach czynszowych. Fotografia nr 2 ukazuje balustradę złożoną z prostych, pionowych tralek, której centralnym akcentem jest płycina z płaskorzeźbionym wieńcem przewiązanym stylizowaną wstęgą – nawiązującą do klasycystycznych inspiracji.

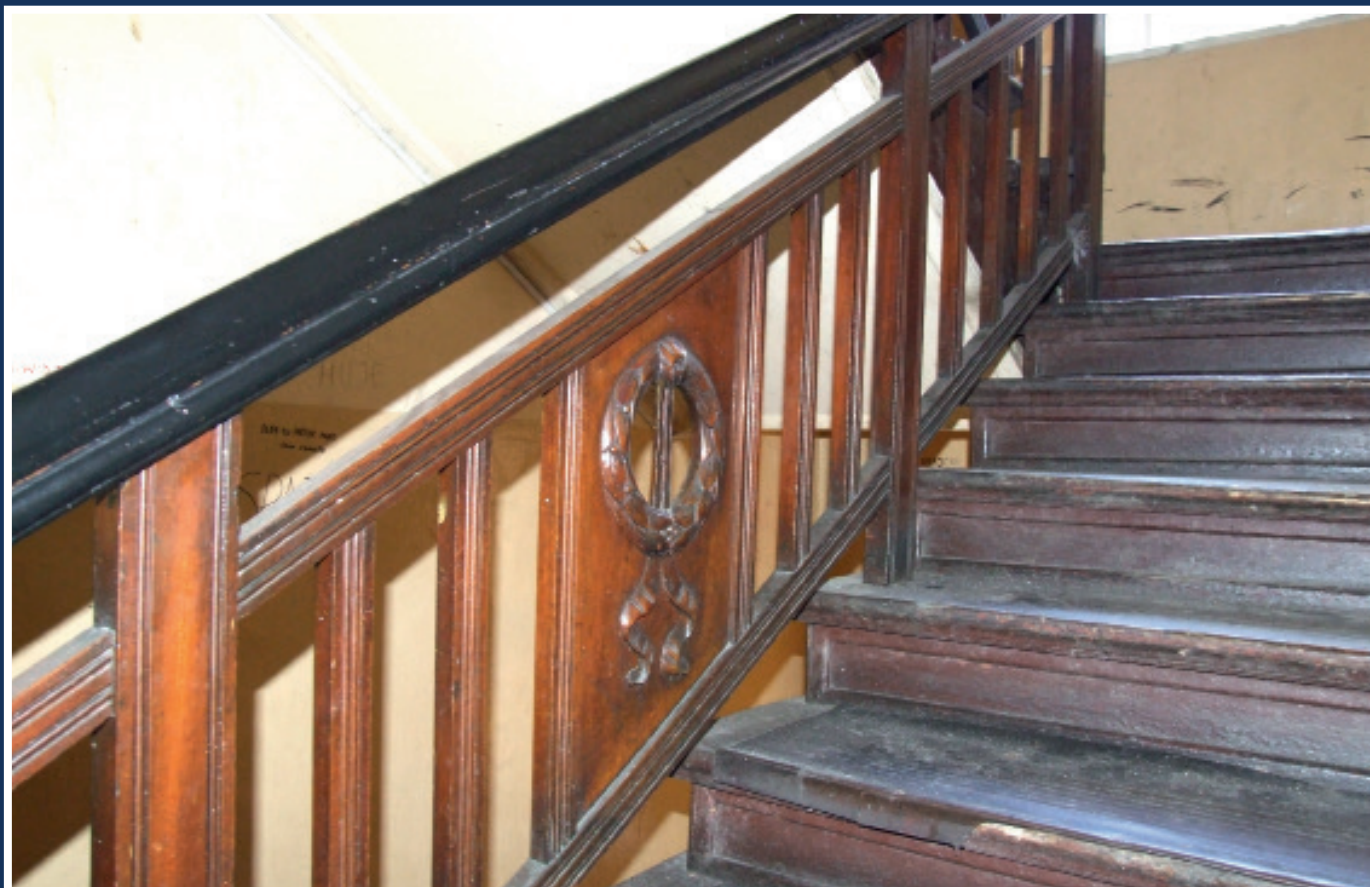
Fotografia nr 3 to przykład balustrady o pełnym, drewnianym wypełnieniu, z dekoracyjnym opracowaniem płycin. Kompozycja opiera się na rytmicznych, prostokątnych polach, których wykroje mają formę profilowanych arkad o miękkiej linii łuku. W płycinach dekorację stanowi motyw secesyjnego pięciopłatkowego kwiatu, który mimo masywnej konstrukcji wprowadza lekkość i płynność.

Z kolei fotografia nr 4 ukazuje efektowny przykład balustrady deskowej, w której wyróżniającym elementem są rytmiczne powtarzające się otwory o owalnym wykroju. Wypełnienia zdobi subtelny fryz miękkiej fali bądź wywiniętego liścia kampanuli, a w zaokrąglonym narożu, pełniącym podporę balustrady, zastosowano motyw kampanuli - złożony z kwiatków w kształcie dzwonka, skierowanych ku dołowi.

Pozostałe fotografie prezentują klasyczne balustrady z tralek, wielobocznych lub okrągłych, mocno wybrzuszonych i profilowanych, stylizowanych na efektowne kolumnienki.



1. ul. Monte Cassino 7 - fot. 2025 r.



2. ul. Zygmunta Starego 1 - fot. 2005 r.



3. ul. Bolesława Śmiętego 24 - fot. 2025 r.



4. al. Piastów 13 - fot. 2025 r.



5. ul. Edmunda Bałuki 24 - fot. 2025 r.





6. al. Papieża Jana Pawła II 42 (wejście od ul. Śląskiej) - fot. 2025 r.



7. ul. Śląska 41 - fot. 2025 r.



8. al. Wojska Polskiego 63 - fot. 2025 r.

Na fotografiach prezentowane są **słupki początkowe i pośrednie balustrad** oraz ozdobne głowice **poręczy**.

Większość kolumniek, w toku użytkowania, w ostatnich dziesięcioleciach, utraciła swoje oryginalne zwieńczenia. Fotografia nr 1, przedstawiająca rzeźbiony słupek z postacią gryfa, pochodzi z 2005 roku – widoczna w zwieńczeniu szyszka dziś już nie istnieje. Na zdjęciu nr 2 widoczny jest słupek początkowy ze śladami po uszkodzonym zwieńczeniu.

Fotografie nr 3, 4, 5 i 6 ukazują rzeźbione głowice poręczy w formie fantazyjnych maszkaronów lub wolut, pełniące jednocześnie funkcję słupków początkowych. Fotografie nr 7-11 prezentują różnorodne wzory – zgodne z ówczesną modą. Fotografia nr 12 przedstawia wyjątkową kolumnkę z zachowanym zwieńczeniem – co dziś stanowi rzadko spotykany widok. Na fotografiach nr 13-14 zaprezentowane zostały klasycznie zakończone poręcze w formie ślimacznicy, z eleganckim snycerskim wykończeniem w postaci ornamentu roślinnego.



1. ul. Bolesława Śmiałego 4 - fot. 2005 r.



2. ul. Dubois 28 - fot. 2007 r.



4. al. Piastów 9 - fot. 2007 r.



3. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 7 - fot. 2007 r.



5. ul. Emilii Plater 8 - fot. 2007 r.



6. ul. Emilii Plater 8 - fot. 2025 r. – po remoncie przejazdu bramnego jak i klatki schodowej



7. ul. Edmunda Bałuki 20 - fot. 2025 r.



8. al. Papieża Jana Pawła II 17 - fot. 2005 r.



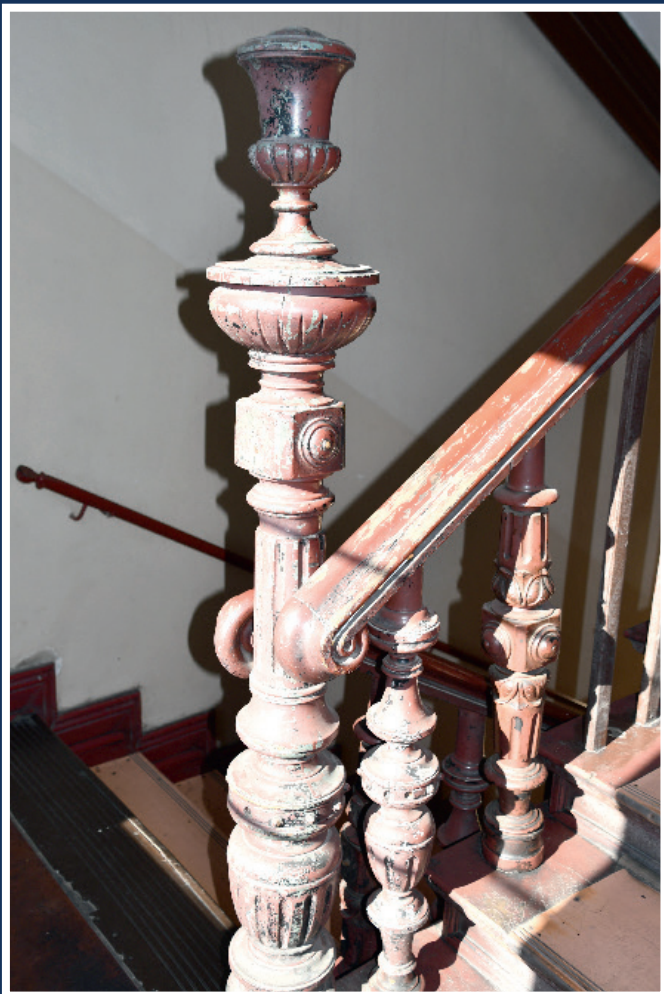
9. ul. Mazurska 42 - fot. 2005 r.



10. al. Piastów 13 - fot. 2025 r.



11. ul. Bolesława Śmiałego 9 - fot. 2025 r.



12. al. Wojska Polskiego 46 - fot. 2025 r.



13. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 24b - fot. 2025 r.



14. ul. Bolesława Krzywoustego 57 - fot. 2005 r.



Łagodnym refleksem światła...

Okna. W kłatkach schodowych dawnych kamienic były czymś więcej niż tylko źródłem oświetlenia i przewietrzenia – stawały się instrumentem do gry światła z przestrzenią i kolorem. Bo kiedyś światło miało znaczenie tak wielkie, że zasługiwało na to, by ująć je w piękne ramy.

Wysokie i przestronne, zamknięte łukiem odcinkowym lub pełnym, choć częściej zakończone prostym nadprożem. Spotyka się zarówno konstrukcje jednoskrzydłowe, jednopoziomowe, jak i bardziej rozbudowane – czteroskrzydłowe, dwupoziomowe – dzielone profilowanymi szprosami na mniejsze tafle szkła. Stolarza okienna w tamtym okresie najczęściej utrzymana była w stonowanych barwach: szarościach, beżach, brązach, zieleniach, a także w odcieniach bieli i écru.

Choć pełniły funkcję techniczną, okna były jednocześnie dziełem pracy artystycznej i rzemieślniczej. Ich forma, rozmiar oraz rozmieszczenie wpływały nie tylko na ilość światła wpadającego do wnętrza, ale również na kompozycję całej elewacji. A przecież estetyka – jak wiadomo, nie kończyła się tylko na fasadzie. Dlatego okna stanowiły istotny element projektu, któremu architekci poświęcali wiele uwagi. Nieliczne zachowane dziś przykłady wyróżniają się unikatowymi detalami snycerskimi, szczególnie na listwach przymykowych. Są to detale, we współczesnej stolarce rzadko spotykane.

Na przełomie XIX i XX wieku bardzo rozpowszechnione stało się ozdabianie kłatek schodowych oraz mieszkań barwnymi przeszkleniami. Moda na witraże dotarła wówczas z Paryża i Wiednia. W Szczecinie zachowało się już niewiele przykładów takich oszkleń, a ich kunszt wciąż budzi podziw. Kompozycje były starannie przemyślane – w środ-

kowej części okna, na wysokości wzroku, umieszczano tafle przezroczystego szkła, by zapewnić widoczność i odpowiednie doświetlenie wnętrza. W pozostałe geometryczne podziały wkomponowywano szkło barwione, trawione lub z drobnymi witrażami. Promienie słońca sączyły się przez kolorowe szyby, rzucając migotliwe refleksy na ściany i podłogi, po których codziennie poruszali się mieszkańcy.

W nieremontowanych kłatkach schodowych wciąż można dostrzec „białe koronki” – popularny na przełomie wieków motyw dekoracyjny. Delikatny wzór powstawał z połączenia przeziernych i matowych powierzchni szkła. Wykonywano go tradycyjnymi technikami: trawienia szkła płaskiego z użyciem kwasu fluorowodorowego, malowaniem farbami emaliowanymi lub metodą piaskowania. Tzw. szkło muślinowe – zdobione ażurową dekoracją roślinną lub geometryczną, wykonywano zazwyczaj przy użyciu szablonów. Równie popularne było tzw. szkło bordiurowe, dekorowane ornamentami z wijących się roślinnych motywów. Szyby muślinowe stanowiły nieodłączny element dekoracyjny kłatek schodowych oraz przeszkleń w wewnętrznych skrzydłach drzwiowych sieni szczecińskich kamienic. Ich wyjątkowość polegała na tym, że nie zatrzymywały światła – łagodnie je rozpraszały, wprowadzając miękki blask, nadając przestrzeniom elegancji i odrobiny kameralności, zarazem oddzielając od podwórkowych widoków.

Epoka witraży i szkła muślinowego ustąpiła miejsca nowoczesnym, plastikowym oknom. Tym większy należy się szacunek tym, którzy z troską próbują ratować choćby fragmenty przeszłości – wkomponowując dawne kolorowe szyby w nową stolarkę lub osadzając szkło muślinowe w nowoczesne ramy. Z szacunku do rzemieślniczej tradycji.

Poniższa galeria przedstawia wybrane przykłady szczecińskich **dekoracyjnych oszkleń** z przełomu XIX i XX wieku. Dzięki temu, że moda na ozdabianie wnętrza w tej formie była powszechnie stosowana, wiele takich realizacji przetrwało II wojnę światową. Niestety, kolejne zniszczenia przyszły później – już z naszej ręki.

Fotografia nr 1 z 2005 roku ukazuje okno podzielone na mniejsze kwatery, wypełnione barwionymi szybkami oraz szkłem muślinowym. W dolnej częściowego jednego ze skrzydeł widoczna jest zielona wstawka – to współczesny dodatek. Obecnie w tej klatce schodowej zamontowano nowoczesne okna, bez zachowanego podziału historycznego. Z dawnego oszkleń pozostało jedynie to zdjęcie.

Zdjęcie nr 2 i 3 przedstawia wstawki z czerwonego, barwionego szkła. Na fotografii nr 4, w tym samym oknie, widoczne są jeszcze szyby wykonywane historyczną metodą ciągnioną. Cechą charakterystyczną szkła produkowanego tą techniką była jego falista powierzchnia oraz liczne niedoskonałości – dziś uznawane za cenny ślad dawnej produkcji.

Fotografie nr 6 - 8 dokumentują okno z geometrycznym podziałem i fragmentarycznie zachowanym szkłem matowym, prawdopodobnie trawionym – sądząc po jego fakturze.

Na zdjęciach nr 9-10 ukazane zostało okno łukowe w konstrukcji mieszanej. W jego górnej, stałej części w 2007 roku wciąż znajdowały się dekoracyjne witraże, choć część z nich była już poważnie uszkodzona. Obecnie nie zachowały się – zostały zastąpione oknami z PCV. Zdjęcie nr 11 – również tego samego okna – prezentuje bogatą snycerkę w szczeblinach, widoczną od strony zewnętrznej.

Fotografie nr 12-14 to dobrze zachowane przykłady szkła muślinowego. Z kolei fotografia nr 15, wykonana w 2005 roku, dokumentuje szybę bordiurową z ciągłym ornamentem roślinnym w postaci liścia klonu, znajdującą się w nadświetlu wewnętrznych drzwi sieni. Niestety, nadświetle wraz z oszkleńtem zostało zlikwidowane podczas późniejszego remontu.

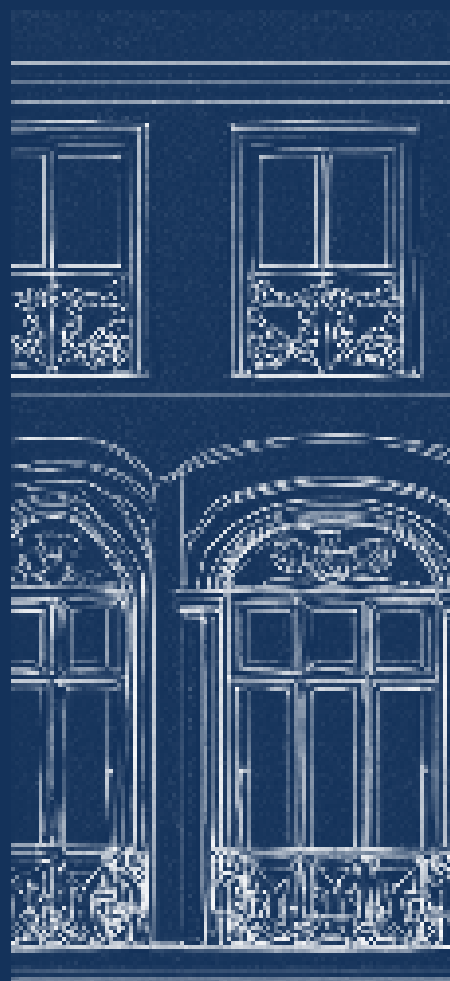
Na zdjęciach nr 16 do 18 widoczne kwatery z malowaną dekoracją na szkłe. Fotografie nr 19 -21 ukazują udaną próbę zachowania historycznego oszkleń – wkomponowanego w nowoczesną stolarkę.



1. ul. Bolesława Śmiałego 45 - fot. 2005 r.

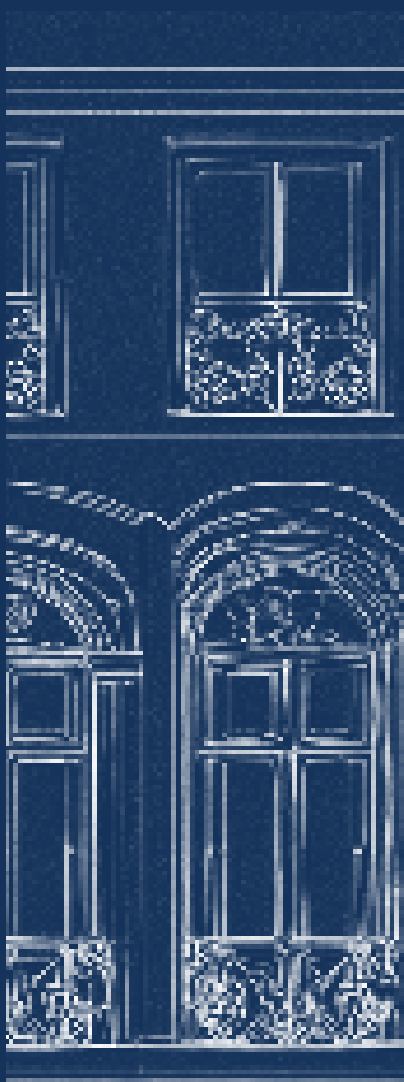


2. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 22 - fot. 2007 r.





3. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 22 - fot. 2025 r.



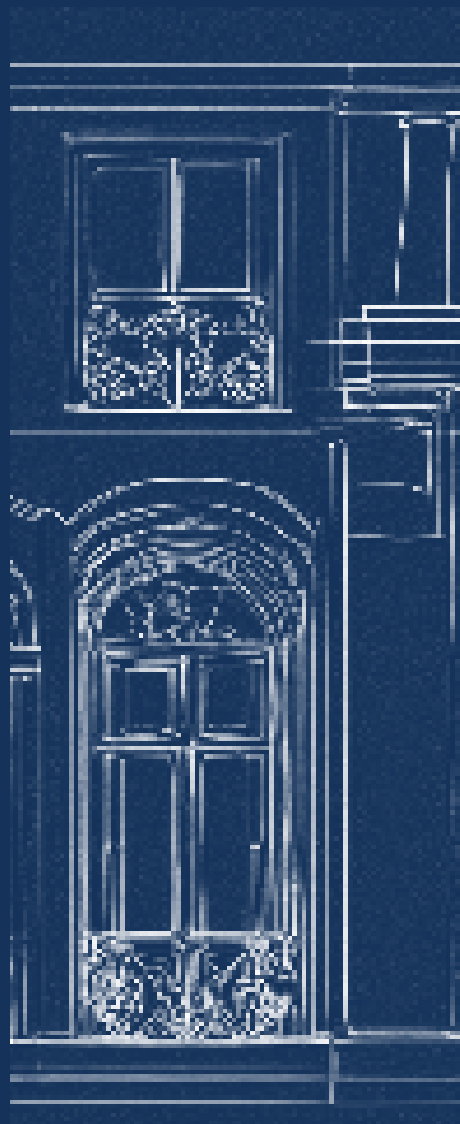
4. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 22 - fot. 2007 r.



5. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 22 - fot. 2025 r.



6. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 29 - fot. 2025 r.

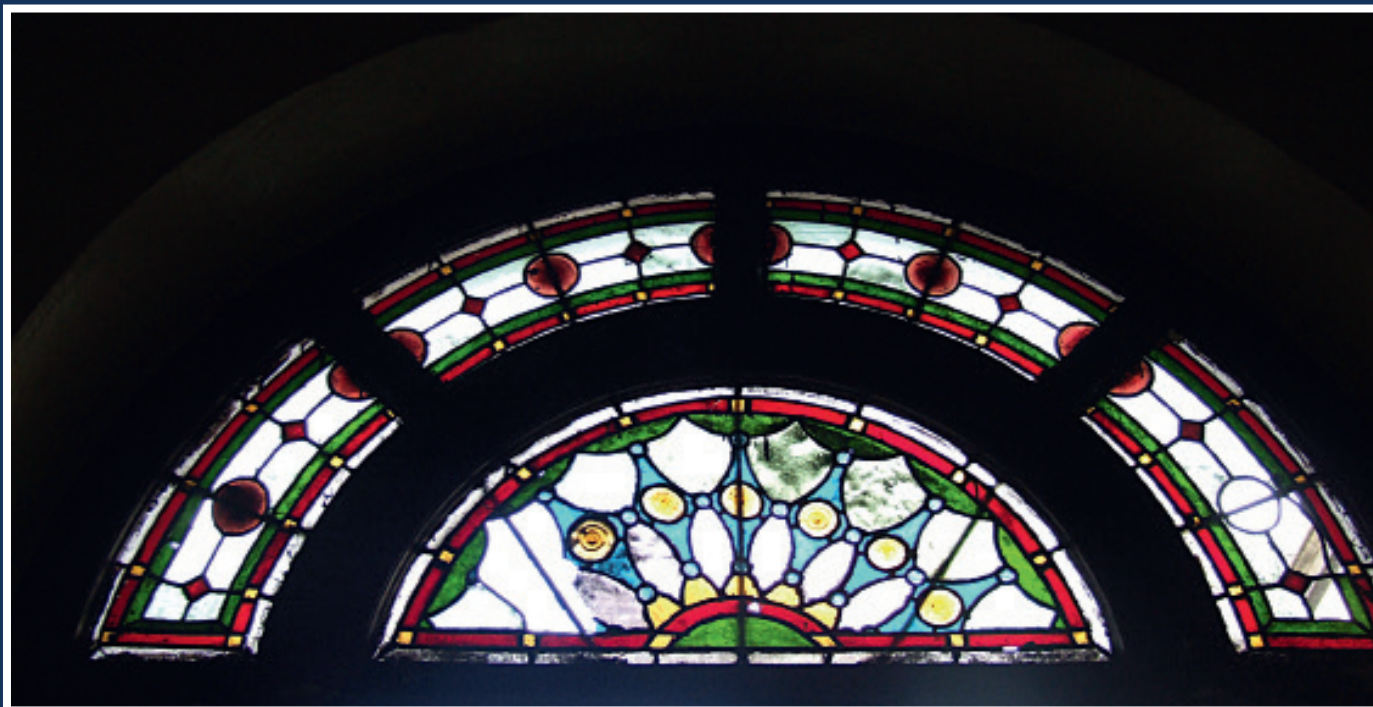




7. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 29 - fot. 2025 r.



8. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 29 - fot. 2025 r.



9. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 21 - fot. 2007 r.



12. al. Wojska Polskiego 42 - fot. 2025 r.



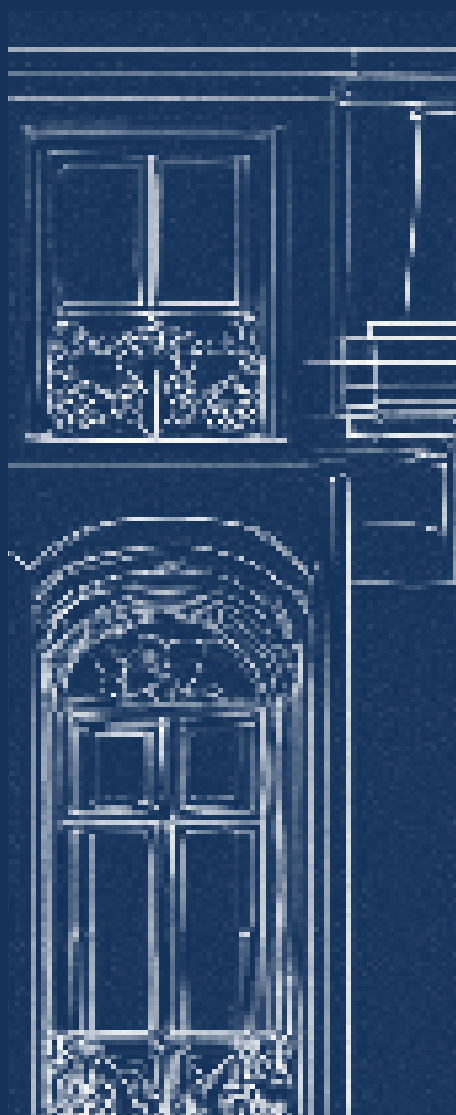
10. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 21 - fot. 2007 r.



11. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 21 - fot. 2007 r.



13. al. Wojska Polskiego 53 - fot. 2025 r.



14. al. Wojska Polskiego 53 - fot. 2025 r.



15. ul. Małopolska 5 - fot. 2005 r.



16. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 37 - fot. 2005 r.



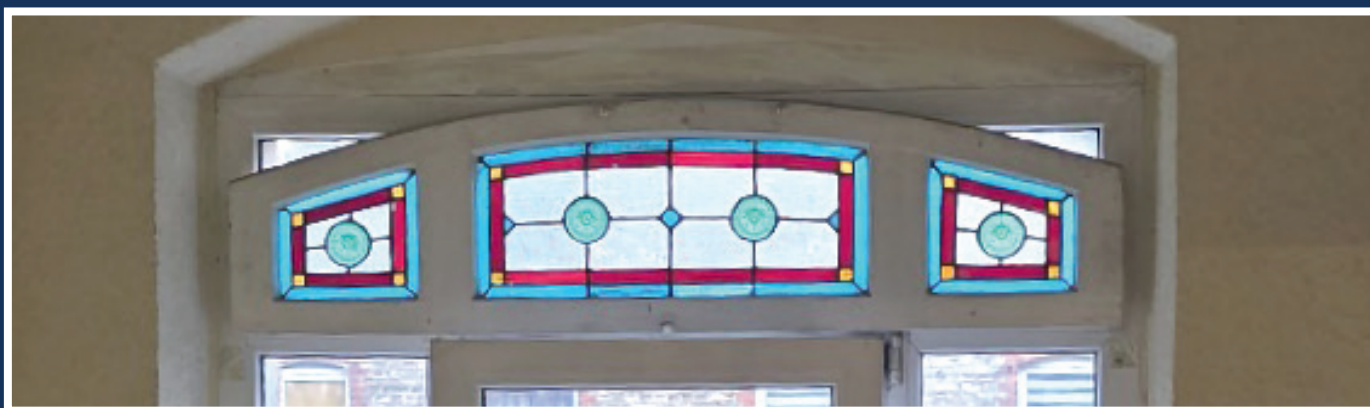
17. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 37 - fot. 2005 r.



18. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 37 - fot. 2005 r.



19. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 15 - fot. 2025 r.



20. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 15 - fot. 2025 r.



21. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 15 - fot. 2025 r.

Wszystkie przedstawione elementy w tej części opracowania stanowią dziś świadectwo rozwoju ówczesnego przemysłu i rzemiosła. I gdyby nie wandalizm – zarówno w czarnych jak i ten w białych rękawiczkach – mogłyby fascynować jeszcze nie jedno pokolenie szczecinian.

Dziedzictwo pod presją

Dlaczego tak łatwo przychodzi nam zacieranie przeszłości?

Po wojnie, na obszarach włączonych do Polski, starano się uwypuklać wyłącznie akcenty polskości. Przejęliśmy pieczę nad zachowanymi zabytkami, które były świadectwem działalności wybitnych mistrzów sztuki i kultury, słynnych szczecińskich budowniczych miasta, filantropów i historyków. Tradycja i kultura mogła stać się fundamentem budowania unikalnej tożsamości miasta. Tymczasem wiele pamiątek przeszłości padło ofiarą bezmyślności!

Pracami remontowymi powinno dążyć się do wyeksponowania walorów zabytkowych, minimalizując ingerencję w ich oryginalną substancję.

Po 1945 roku przestronne apartamenty okazałych kamienic przekształcono w biedne, wielorodzinne czynszówki. Niewłaściwe zarzą-

danie oraz niedofinansowanie miejskich przedsiębiorstw zajmujących się lokalami i budynkami komunalnymi w latach 1945-1970, doprowadziły do ich postępującej degradacji. W latach 70. XX wieku przeprowadzono szeroko zakrojone remonty generalne, które pozbawiły część budynków ich pierwotnej estetyki. Z fasad oraz wnętrz przestrzeni wspólnych i mieszkań zniknęła bogata sztukateria. Dokonano również wielu wyburzeń i przekształceń.

Zakrywano farbami malowidła i polichromie. Usuwano zabytkowe kafle oraz ozdobne korony pieców, zastępując je masowo produkowanymi kafłami. Zniszczono glazurę, którą były wyłożone ściany w przejazdach, a oryginalne zdobnicze balustrady balkonów wymieniano na proste, metalowe pręty. Brak profesjonalnej konserwacji elementów stolarki doprowadził do stopniowej degradacji wielu drewnianych bram, drzwi i okien.

Dziś o tych *ratujących kamienice przemianach* możemy dowiedzieć się z dawnych zielonych kart ewidencyjnych. W wielu przypadkach stan kamienic w 1945 roku oceniano jako dobry, z zachowaną bogatą dekoracją wnętrz. Natomiast już na początku lat 70., wiele budynków wymagało pilnych remontów, po których ich stan został zubożony o kolejne walory architektoniczne.

Przytoczę kilka cytatów z zielonych kart ewidencyjnych:

ul. Bolesława Krzywoustego 15

Bogata dekoracja wnętrz do czasu remontu kapitalnego w 1972 roku. 1972-1974 remont kapitalny. Przebudowa mieszkań i zniszczenie całego wystroju sztukaterii i drewnianej boazerii. Renowacja elewacji z zachowaniem elementów dekoracyjnych, nadbudowa 5 kondygnacji, dach płaski, papa.

Al. Marszałka Piłsudskiego

- 17 – sklep mięsny z wyposażeniem, kafelki, sztukaterie, posadzka, rok 1976
- 24 a – 1970 renowacja mieszkań, zabicie sztukaterii z sufitów i wymiana pieców
- 28 – w czasie remontu w 1976 roku usunięto dekoracje klatki schodowej. W czasie remontu zmieniono ozdobne metalowe balustrady balkonów na proste balustrady z metalowych prętów.
- 36 – W 1974 roku w sieni, po remoncie zachowano tylko fasetę.
- 24 c – Lata 70. XX wieku – zbito sztukaterie w sieni.
- 29, 30, 36 – 1974 – częściowe zabicie sztukaterii w przejazdach bramnych.

Kablowy zawrót głowy

W latach 90. XX. otwarte dotąd przejazdy zostały pozamykane. Domofony przejęły rolę dawnych maszkaronów, strzegących domostwa przed wszelkim złem. Ekspłodował rynek telefonii i telewizji kablowej. Okablowano nie tylko wszystkie kamienice i ulice – ba! – całe miasto oplótł gęstsze przewodów, drutów i kabli.

Czy ktoś przygotował wytyczne, instrukcje, projekty dla tych instalacji? Nic z tych rzeczy! Wszystkim nam odebrało rozum!

Mechanicznymi młotami, przecinakami i wiertarkami rozpruwano ściany na jednym wdechu bezmyślności. Poszatkowano zabytkowe polichromie i malowidła, a sztukaterie przewiercano na wylot. Liście akantu rozrywały się w strzępy, odłamki kartuszy sypały się na posadzki, a esownice – na widok młotów – w panice prostowały swoje zwoje. Festony osuwały się w omdleniu, a roztrzaskiwane pilastry z jękiem obracały się w gruz.

To zaledwie kilkanaście przykładów z całego Szczecina, dowody niezrozumienia wartości zabytkowych oraz braku realnego obowiązku ochrony naszego dziedzictwa, z jakim zetknęłam się w latach 2005-2007 oraz ponownie 2025 roku.

Prezentowane fotografie dokumentują brak jakichkolwiek wytycznych dotyczących lokalizacji instalacji – brak refleksji nad tym, gdzie i jak montować skrzynki elektryczne, prowadzić okablowanie czy instalować urządzenia. Nie brano pod uwagę istniejących sztukatorskich dekoracji czy zachowanych fragmentów polichromii, które były bezpowrotnie niszczone podczas prac instalatorskich i remontowych.



1. ul. Edmunda Bałuki 22 - fot. 2005 r.



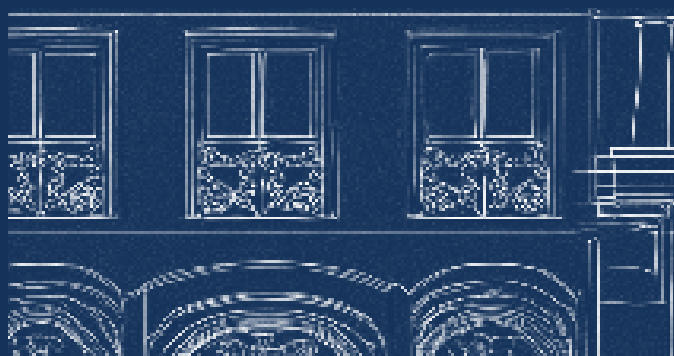
3. ul. Edmunda Bałuki 22 - fot. 2005 r.



2. ul. Edmunda Bałuki 22 - fot. 2005 r.



4. ul. Edmunda Bałuki 22 - fot. 2005 r.



6. al. Marszałka Józefa Piłsudskiego 16 - fot. 2005 r.



7. al. Wojska Polskiego 42 - fot. 2025 r.



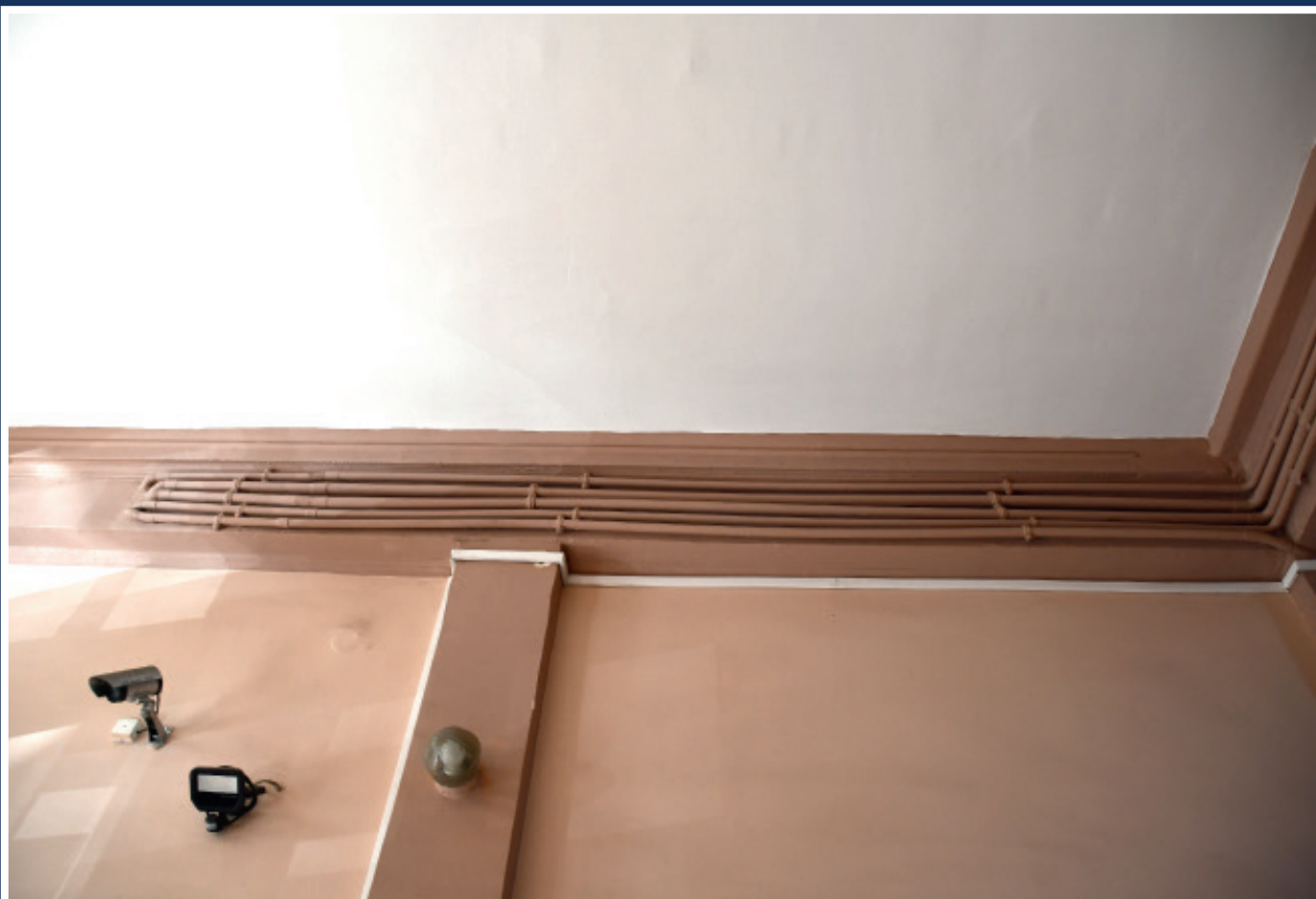
5. ul. Jagiellońska 1- fot. 2005 r.



8. ul. Jagiellońska 12- fot. 2005 r.



9. ul. Jagiellońska 12 - fot. 2005 r.



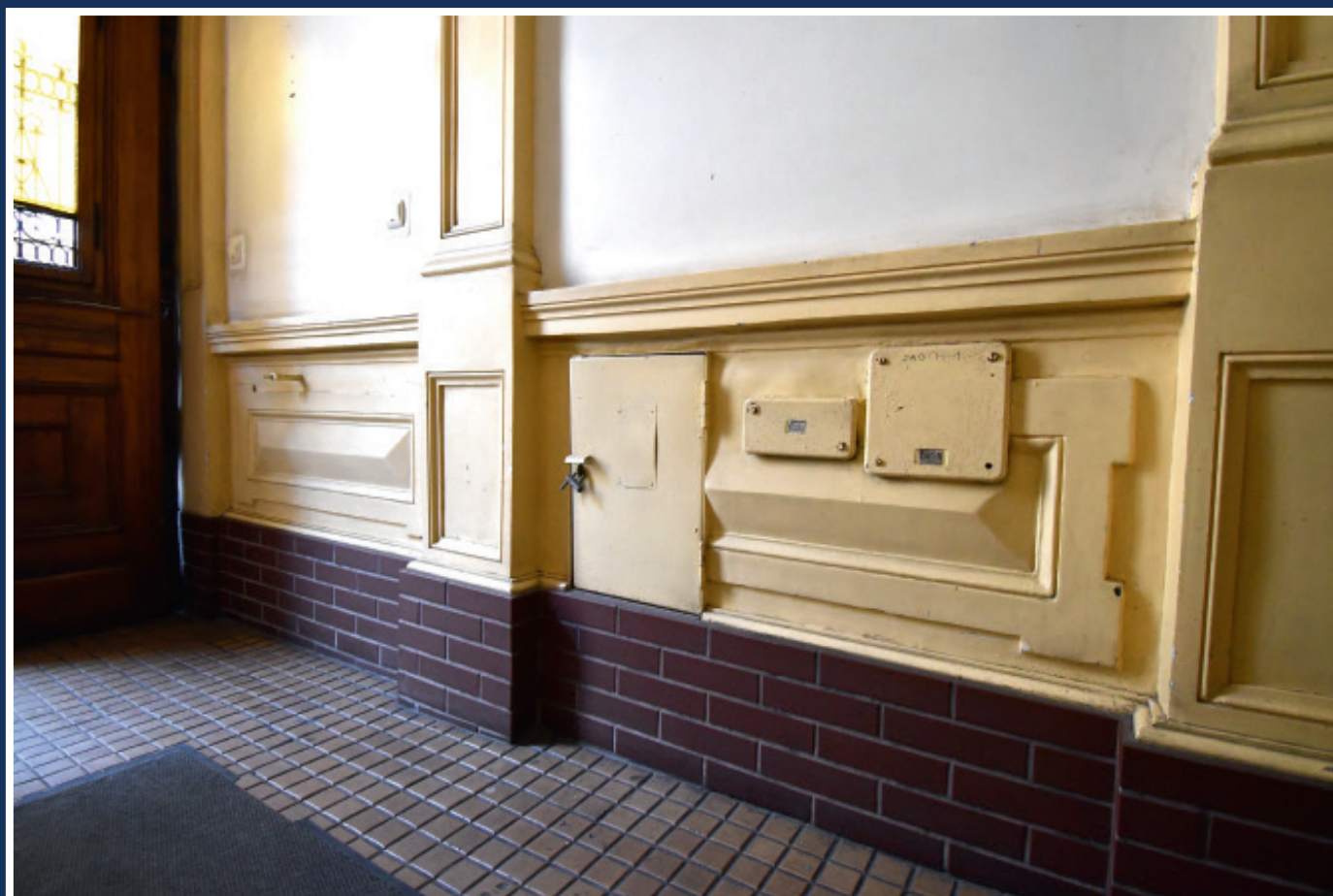
10. ul. Bolesława Krzywoustego 8 - fot. 2025 r.



12. ul. Kaszubska 19 - fot. 2005 r.



11. ul. Kaszubska 59 - fot. 2007 r.



13. ul. Kaszubska 60 - fot. 2025 r.



14. ul. Kaszubska 63-64 - fot. 2005 r.



15. ul. Mikołaja Kopernika 16 - fot. 2005 r.

Wiele zaniedbywanych przez dziesięciolecia budynków wciąż pozostaje w fatalnym stanie.

Od lat trwają wyburzenia, których nikt nie jest w stanie powstrzymać. Ta destrukcja nie pojawiła się nagle – jest prowadzona nieprzerwanie od 1945 roku. **80 lat niszczyliśmy to miasto!**

W 1996 roku powołano biuro Miejskiego Konserwatora Zabytków, które włączyło się w program renowacji historycznego Śródmieścia, zapoczątkowany w 1991 roku przez Zespół ds. Renowacji Miasta. Objęcie Centrum ochroną konserwatorską umożliwiło przeprowadzenie prac renowacyjnych i konserwatorskich na fasadach budynków – niestety w ograniczonym zakresie. Zezwolono jedynie na reanimację elewacji, pomijając ochronę zabytkowych elementów z przejazdów bramnych i klatek schodowych.

Przez dziesięć lat do zadań Miejskiego Konserwatora Zabytków należało przeprowadzenie działań mających na celu dokumentację substancji zabytkowej miasta oraz nadzorowanie prac konserwatorsko-remontowych.

W tym celu prowadzone są szeroko zakrojone badania na występowanie polichromii oraz kolorystyki kamienic. [...] Dzięki konsekwentnym działaniom w wielu przypadkach udało się ocalić bogatą niegdyś dekorację przejazdów bramnych, obfitującą w różnorodne sceny rodzajowe [...] (cytat pochodzi ze strony internetowej Portalu Miłośników Dawnego Szczecina Sedina.pl – „10 lat pracy Zespołu Miejskiego Konserwatora Zabytków”).

Ale co dokładnie oznacza „w wielu przypadkach”?

Z dostępnych informacji na stronie Biuletynu Informacji Publicznej wynika, że prace prowadzono w kamienicy przy ul. Chodkiewicza 2 (1999 rok). Z kolei w artykule poświęconym jubileuszowi pracy Miej-

skiego Konserwatora Zabytków wspomina się o dwóch kamienicach przy ul. Bałuki oraz Bolesława Śmiałego.

Proces konserwacji i remontów budynków jest żmudny i kosztowny, jednak odkładany na kolejne dekady – sprzyja nieodwracalnym zniszczeniom.

Wydawałoby się, że zarządcom i wspólnotom – właścicielom zabytkowych kamienic powinno zależeć na ich losie – w końcu **właśność wiąże się z odpowiedzialnością**. Rzeczywistość często temu jednak przeczy. Wszyscy wiemy, że kluczową rolę odgrywają pieniądze. Mieszkańcy zazwyczaj nie dysponują wystarczającymi środkami, aby pokryć koszty gruntownych remontów całych kamienic. Gdy brakuje funduszy, a konserwator wyraża zgodę na prace renowacyjne i rewitalizacyjne, przeprowadzane „po kosztach”.

Odremontowana zostaje jedynie fasada, podczas gdy od zaplecza tylne ściany i oficyny popadają w ruinę. Zamiast poddać zabytkowe drzwi konserwacji, wymienia się je na tańsze zamienniki. We wnętrzach bramy skruwa się stare tynki, nie zwracając uwagi na to, że spod warstw wtórnych wyłaniają się cenne polichromie! Nowe ściany pokrywa się tanią okładziną z marketu.

Najbardziej przerażające jest to, że o losie zabytkowej architektury decydują dziś ludzie, którzy nie rozumieją znaczenia ochrony dziedzictwa. Kierują się wyłącznie doraźnym interesem i możliwościami. Doprawdy, **miasto dzięki niewybaczalnym posunięciom pozbyło się kłopotu i oddało historyczne budynki, w ręce osób nieświadomych ich kulturowej wartości**.

Tylko profesjonalne remonty, prowadzone pod nadzorem konserwatorskim, mogą wydobyć resztki prawdziwego piękna i styl historycznych budynków. Niestety, takich realizacji jest jak na lekarstwo. Może dlatego, że nie ma już czego ratować?

Brama do fantazji

W 2005 roku, wchodząc w ten niepozorny przejazd bramny, natknęłam się na coś absolutnie niezwykłego. Polichromiczny obraz – zawieszony gdzieś pomiędzy jawą a snem. Zarys malowidła był ledwo czytelny, jakby zatopiony w geście obrony lub zapomnienia, pod błyszczącą, przyciemniającą warstwą czegoś w rodzaju „lakieru”. (Fot. 1)

Strop podzielony był na mniejsze, geometryczne pola, zamknięte w sztukatorskich ramach. Wieńczył przestrzeń i przyciągał wzrok każdej niepokornej wyobraźni, która nie zadowala się oczywistością. Na polichromii, przed moimi oczami, zakwitł **motyw antycznej groteski**. (Fot. 2 i 3)

Na zewnętrznych polach, zrodzone z ludzkiej fantazji – hybrydyczne istoty. Zawieszone na płaskich, żelaznych plakietach – pół rośliny, pół stworzy uzbrojone w kartusz herbowy. (Fot. 4 i 5)

W kwadratach wewnętrznych, pośród wijącej się roślinności, unosiły się małe, skrzydlate putta. Ich delikatne dłonie podtrzymywały wstęgę zwiewnie osiadającą między łodygami i liśćmi.

Kolorystyka choć przytłumiona znacznie „patyną” w detalach odsłaniała żywe akcenty – nasycone błękitem perełki, nawleczone z malarską pieczołowitością na cienkie łożyski. Po bokach obrazu dostrzec można było drobną biżuterię zawieszoną na płatkach kwiatowych – całość przypominająca formę florystyczne precjoza, misternie wykute z metalu. (Fot. 6)

W centralnej części stropu, tuż przy rozecie, z antycznych waz wyrastały rośliny, strzeżone przez skrzydlate smoki lub mityczne gryfy. Ich biodra oplatały „metalowe” opaski – granica, w której stworzenia przeistaczały się w płożące się liście akantu splecione z fantazyjną wicią kwiatową. (Fot. 7 i 8)

Tę zjawiskową, poetycką kompozycję ujmowała miękko modelowana faseta – ozdobiona naprzemiennie festonami z liści laurowych oraz dębowych, przeplecione skrzyżowaną wstęgą.

Miedzy faseta a obramowaniem stropu wylaniał się niemal niewidoczny rysunek bordiury – zbyt ciemny... zatarty. Dostrzegłam tam jednak rajski ogród, pełen różnorodnych, niemal wyczuwalnych zapachem owoców. Wyobraźnia i zarys kształtów podpowiadały obecność owocowego króla – symbolu gościnności, obfitości, bogactwa i prestiżu – soczystego ananasa z rozetą kolczastych liści w towarzystwie prawdopodobnie kolby kukurydzy. Wokół niego układały się inne owoce: połyskujące czerwienią wiśnie bądź czereśnie, kiście słodkich winogron, drobne owoce dzikiej róży oraz grubo skórzaste, aromatyczne cytryny. A nieco dalej – rumieniący się owoc nieśmiało skryty pod lancetowatym liściem... Czyżby to była słodka brzoskwinia? Hm... A może jednak jabłko? (Fot. 9 i 10)

Po latach powróciłam w to miejsce, z lepszym aparatem, z bijącym mocno sercem i nadzieją, że raz jeszcze przekroczyć próg do świata pełnego fantazji i poezji, gdzie dane mi będzie skosztować wzrokiem słodkiego owocu.

Co zastałam? Zobacz Państwo na fotografii nr 11.



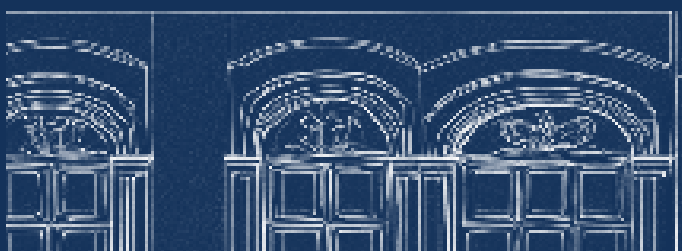
1. ul. Kaszubska 65 - fot. 2005 r. - strop w przejeździe bramnym.



3. ul. Kaszubska 65 - fot. 2005 r. - fragment stropu części zewnętrznej.

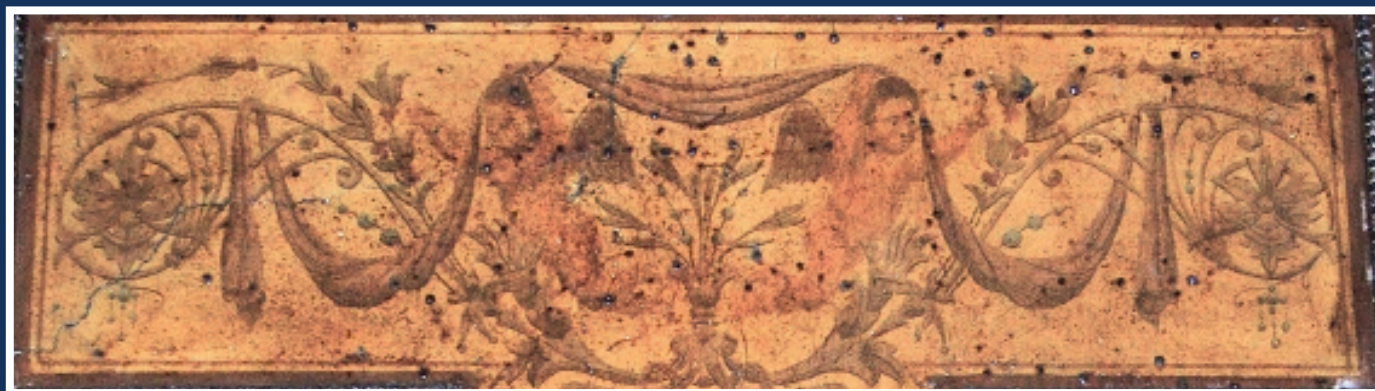


2. ul. Kaszubska 65 - fot. 2005 r. - fragment stropu części środkowej.





4. ul. Kaszubska 65 - fot. 2005 r. - fragment stropu - skrzydlate gryfy-smoki.



6. ul. Kaszubska 65 - fot. 2005 r. - fragment stropu części zewnętrznej – detal-putta



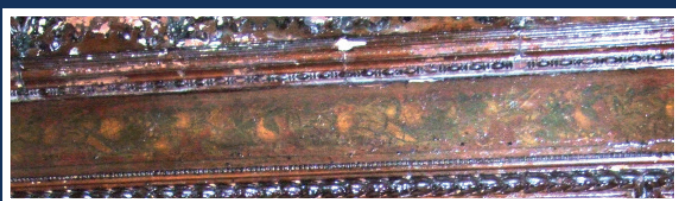
7. ul. Kaszubska 65 - fot. 2005 r. - fragment stropu części zewnętrznej – detal-roślinne stwory



8. Kaszubska 65 - fot. 2005 r. - fragment stropu części zewnętrznej – detal-roślinne stwory



5. ul. Kaszubska 65 - fot. 2005 r. - fragment stropu -detal-skrzydlate grzyf-smoki.



9. ul. Kaszubska 65 - fot. 2005 r. - fragment owocowej bordiury.



10. ul. Kaszubska 65 - fot. 2005 r. - fragment owocowej bordiury.



11. ul. Kaszubska 65 - fot. 2025 r. - stan po remoncie.

Errata - do numeru czwartego TVSiódemki.
W tekście Małgorzat Wrzosek

str. 29, zdjęcie podpisane jako: ul. Śląska 10 – powinno być: ul. Jagiellońska 10

str. 41, wszystkie zdjęcia podpisane jako: ul. Śląska 42 – powinno być: al. Papieża Jana Pawła II 42 (wejście od ul. Śląskiej).

str. 42, wszystkie zdjęcia podpisane jako: ul. Śląska 42 – powinno być: al. Papieża Jana Pawła II 42 (wejście od ul. Śląskiej).

str. 43, wszystkie zdjęcia podpisane jako: ul. Śląska 42 – powinno być: al. Papieża Jana Pawła II 42 (wejście od ul. Śląskiej).

str. 46, wszystkie zdjęcia podpisane jako: ul. Edmunda Bałuki 21 - powinno być: ul. Edmunda Bałuki 20

Przepraszamy!



Malarz zachłanny

część trzecia

Zapytałby ktoś: tkwić w miejscu i z niego się donikąd nie wyprawiać, bo można zgubić wyjście, którym na ten świat się przyszło? Mówią, tyle złą jest na świecie, bo dusze, których czas ziemski minął, nie mogą znaleźć z niego wyjścia.

Inny odpowie: nie ma takiego miejsca, które powstrzymałoby mnie od szukania innego. Mniej ważne jest, by to nowe znaleźć. Szukanie miejsca ma sens głębszy niż jego znalezienie.

Kolejny, nie podnosząc wzroku pomyśli: człowiek to nie drzewo. Gdyby miał tkwić w jednym miejscu, nie zostałby obdarzony mobilnością.

Ten nowy, co jeszcze się nie odzywał, uśmiechnął się w duchu: ja się mam tłuc po świecie? On wokół mnie - niech krąży!!!

Dyskusja trwa od, och, będzie już kilka miliardów lat. I tak nikt tej informacji nie sprawdzi. Świat nie ułatwia człowiekowi w jego doli, człowiek - prawdę rzekłszy - ułatwienia żadnego nie szuka. Dlaczego? O, to jest dobre pytanie...

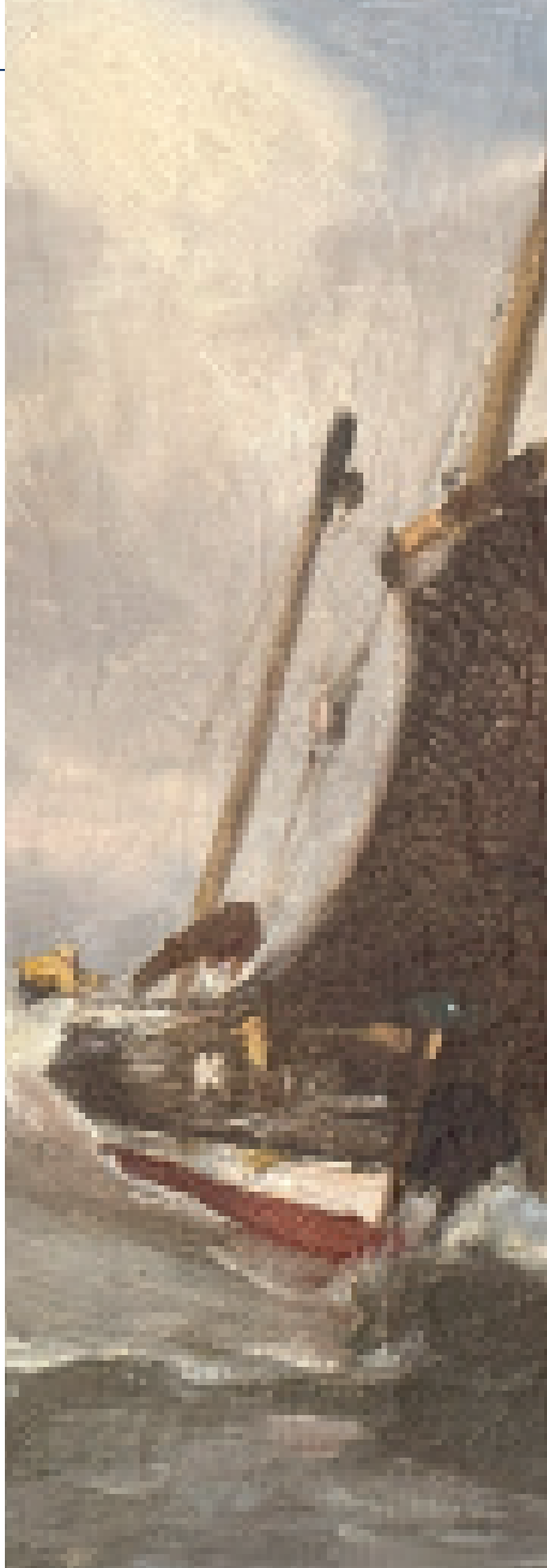
I tylko któregoś dnia siędzie, zapatrzy się w obraz i powie już tylko to jedno słowo - przemineło.

Zygmunt Niedźwiedź, a nie pytałem go o jego zamiar, tak „poukładał” swój kolekcjonerski kosmos, że - niczym Sześciowid - może obracając się o zaledwie dziewięćdziesiąt stopni - by wędrować przez malarskie fascynacje na przykład Eugena Dekkerta. Bo pan Doktor ma obrazy wokół siebie, nad sobą, a cała podłoga jest - jeśli nie ciekawymi meblami, to innymi cudnościami dopełniona.

Dziś trzecia, dekkertowskiej twórczości - odsłona. W latach 1899-1913 malarz mieszkał w Szkocji. Studiował w Glasgow School of Art. Swoje prace prezentował w Royal Glasgow Institute of Fine Arts oraz w innych galeriach Irlandii i Szkocji. Tam utrwał na płótnie... inne morze? Innych jego ludzi. Tak, przede wszystkim sztorm. W różnych językach, brzmieniowo przynajmniej - w słowie tym jest wiele prze-mocy. Siła i gwałtowność wysuwają się tam na plan pierwszy. Ale dekkertowskie obrazy zdają się ledwie tolerować to siłowe morze. Nawet sytuacje krytyczne, wydawać by się mogło - beznadziejne, nie kończą się roztrzaskaniem łodzi o podwodne szkiery czy przybrzeżne skały. Łódź przemyka, daje się nieść morzu, które - czy nie tak czuł to artysta - żadne jest równie jak marynarze, doznań ekstremalnych?

Po co te doznania jednemu i drugiemu? Nie, nie po to, by się sprawdzać mieli. Taka gra sensu nie ma. Ona pokazuje możliwości. Stopień dostosowania się partnerów - nie rywali. Odkrywanie zasobów wiedzy, umiejętności, instynktu wreszcie, które - gdyby do sytuacji krytycznej doszło - pozwolą sternikowi wybrać najlepszą taktykę w ... relacji człowieka z żywiołem.

A może... może idzie o coś zupełnie innego? Trzeba byłoby się może bardziej w te płótna zapatrzeć? Bo może morze jest tu tylko pretekstem, scenografią, mającą ułatwić nam poszukiwanie sensu naszej życiowej nawigacji? Po coś tu w końcu na ten świat przyszliśmy? Ale... skąd? Którędy?





Płot

Stał tu zawsze. Któregoś dnia, po obu jego stronach pobudowano dwa domy.

Ona urodziła się bezgłośnie, w chwilę po tym, jak tam, w izbie rozświetlanej ledwo tłącym się kawałkiem drewna, urodził się on. W krzyku i złorzeczeniu, w bluźnierstwie i błaganiu o ulgę...

Po południu, gdy od podwórza słońce obeszło oba domostwa, dzieci wyniesiono na boży świat. Najpierw, po tej stronie płotu, stara babka zrobiła krzyż na czole dziewczynki. Potem – po tamtej stronie – stary mężczyzna pobłogosławił chłopca.

Po chwili, bez słowa, obie rodziny wróciły do domów. Nikt z tych nie spojrzał na tamtych, tamci – nie zwrócili wzroku w stronę tych.

Nigdy wcześniej nikt, w żadnej sprawie, granicy wyznaczonej przez płot nie przekroczył. Jakby z obu stron płotu było tylko... nic.

Już w połowie listopada, płot zniknął zasypany śniegiem. Kiedy jednak przychodziła pełnia, na śniegu wyczuwalna bardziej niż widoczna była wyraźna kreska granicy między obejściami.

Wiosną na płocie nie wieszano pierzyn, a garnków nie nadziewano na sztachety, nie opierano o niego rolniczych narzędzi.

Ona i on biegali po swoich podwórkach. Bywało, stawały naprzeciw siebie, niemal w bezruchu, ale żadne nigdy nie zobaczyło w całości drugiego, bo sztachety płotu były nabite zbyt gęsto.

Milczały. Nie płakały, nie śmiały się, nie przezywały.

Nikt też ich nie przywoływał. Wystarczyło skrzypnięcie drzwi, by wiedziały, co robić.

Pewnej wiosny, gdy pierwszy raz wybiegły na podwórza, mogły ujrzeć siebie... ponad płotem. Twarze, oczy, usta – wszystko w jednym obrazie. Ale żadne nie podniosło wzroku. Stały w milczeniu, zaciekawione sobą, jakby jednak oplątane niewidzialną żelazną liną.

Kiedy on szedł za pługiem, ona pielęła grządki w części ogrodu, przy sadzie graniczącym z jego polem. Od świtu do zmroku byli nieomal na wyciągnięcie ręki od siebie, ale na tyle daleko, że już żadnemu nie starczyłoby życia by świat obejść naokoło i... wejść na tamto podwórze, zagon czy sad.

Któregoś dnia poczuł, że trochę mocniej zaplotła warkocz. Wiedział, że chciała ukryć pierwsze siwe włosy. Zauważył, że wyciągając wiadro ze studni wlewała już tylko połowę jego zawartości do cebrzyka, który z mozołem niosła do domu. Ona zaś nabierała pewności, że on z pewnym wysiłkiem unosi siekierę i pozwala jej, by własnym ciężarem rozłupywała kolejne polano. Kiedyś walił tą siekierą z taką mocą, że drzazgi leciały we wszystkie strony jak refleksy ogniska nad wartko płynącą nieopodal rzeką. Nigdy jednak za tamtą stronę płotu. Liczyła każdy jego krok, wiedziała, że aby przejść przez podwórze musi ich zrobić dziś dwa razy więcej niż wtedy, gdy żurawie wpadając w wir powietrza znad stepu, z wrzaskiem zataczały koło nad wsią i pędziły ku światom bez płotów.

Do glinianego kubka wlała ostatnie krople mleka. Już więcej nie będzie go miała. Krowa padła. Nikt nie wie, ile miała lat. Chwilę przed świtem, z przyzwyczajenia poszła do opustoszałej obory, a wracając odniosła wrażenie jakby w oknie domu po tamtej stronie płotu pojawił się jakiś cień.

Cień zatrzymał się na chwilę, pierwszy raz w życiu zwrócił wzrok w jej stronę. Włożył czapkę na głowę, zapiął surdut. I umarł.

Poczuła ogromny ciężar w piersiach. Spojrzała na nie. Zdziwiona. Jakby nigdy wcześniej ich nie widziała. Wolno uniosła rękę, przycisnęła ją z całych sił, jakby chciała chwycić tkwiący tam przez całe życie jakiś kolec. Albo wcisnąć go jeszcze bardziej, wbić.

Gdy słońce zaszło obejście od podwórka, zobaczyło, że ona siedzi na środku izby, a z zaciśniętej pięści skapnęła na podłogę kropla krwi.... Ostatnia.

Na cmentarz poniesiono ich w jednym kondukcie. Pochowano, jakżeby inaczej, skoro całe życie mieszkali obok siebie, razem, tam, na skraju, po jednej stronie cmentarnego płotu.

List czwarty

tekst i fotografie - Małgorzata Wrzosek

Moim ojcem – wiatr, a matką – rzeka.
Pyta Pan, która?
Sercu najbliższa.
Odra.

Wiatr i rzeka – dwa żywioły, które kształtują każdy fragment mojego życia.

Wiatr, nieustannie rzeźbi mój charakter, stawia nowe wyzwania. To on popycha mnie wciąż do przodu, czasem delikatnie unosząc, a czasem gwałtownie szarpiąc, ale zawsze kształtuje moje wnętrze tak, abym stawiała się silniejsza.

Rzeka zaś, niegdyś dała mi „nowe, drugie życie”. Bo ona jest życiem. Ma swój początek i koniec. Jej koryto jest tętnicą naszej planety. W nim znajduję źródła wody i pokarmu.

W najtrudniejszych chwilach, gdy nikt nie potrafił mi pomóc, ona, jak matka, przytulała mnie, otaczała spokojem, chroniła tytaniczną siłą. O nic nie pytała, nie osądzała, po prostu płynęła ze mną, prowadząc ku nowym horyzontom.

Przeprowadziła mnie na swój “drugi brzeg”, gdzie znalazłam spokój, wyciszenie i ukojenie.

Często jadę tą drogą, przy której zostawiłam poprzednie życie. I chociaż ta nowa podróż okazała się trudna i czasem przerażająca, to każdy najmniejszy krok na jej drodze był wschodem nowego życia.

Rzeka na zawsze pozostanie w moim sercu.

Zastanawia się Pan, co to za “nowe, drugie życie”? Dostałam je wtedy, kiedy uświadomimy sobie, że mam... tylko jedno. Ale to już inna, niestety - prawdziwa historia. To opowieść o miłości, nadziei i odwadze. Może kiedyś o wszystkim Panu opowiem. Jeśli zechce Pan posłuchać. Teraz, chowam ją głęboko w sercu, tylko dla siebie.



Helena Raszka
Noc ma włosy do samej ziemi

Noc ma włosy do samej ziemi
a we włosach – gwiazdy.
Gdybym ja miała takie włosy,
musiałbyś mnie pokochać.
Chodziłbyś ze mną skrajem obłoków,
mówił –
moja złota,
złota od gwiazd,
skryjmy się przed codziennością.
A ja bym wplatała w warkocze mroku
twoje uśmiechy –
światła
chroniące przed ciemnością.